Marek Raczkowski: Teściowa załatwiła mi maturę z religii ▸27

Po co Trzaskowski poszedł do kościoła ▸14

WYSOKIE OBCASY

Psychoterapia nie jest dla każdego

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ, JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Trump między Rosją a Wenezuelą

Co on kombinuje

▸2-5, 16-20

FOT. GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 02>

Ryszard Petru Chce zostać nowym Hołownią ▸11

Generacja A Skutki uboczne antydepresantów ▸31

Meksyk Jak nie rewolucja, to inwazja USA ▸40

Ukrainiec na czele Sejmu ▸45

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 10-15 stycznia 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 7.11106, 1 Nakład 75 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 5935e39405

WAŻNY TEMAT

Sztandar też mają biało-czerwony

A ty umarłbyś za Grenlandię?

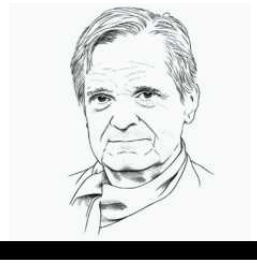

Zielona wyspa na Atlantyku, prawie zawsze biała. Największa na świecie. Gdzieś w pół drogi – na mapie – pomiędzy Ameryką a Europą, przynależna Danii. Niespełna sto tysięcy mieszkańców, może tylko pięćdziesiąt, zamieszkujących zwłaszcza południowo-zachodnie wybrzeże. W większości Inuici, mówiący po grenlandzku.

Grenlandzkie reportaże „Migot", „Lud" Ilony Wiśniewskiej, „Anaruk" Czesława Centkiewicza. Tyle z pamięci. Zaglądam do internetu i zaczynam tonąć: „pod tą wyspą jest jeszcze jedna wyspa" (Julia Hartwig), pod rzeczywistością domniemaną i wymyśloną – kolejna, a pod nią następna, i dalsza. Uniwersytet Grenlandzki, piłka ręczna, seria kryminalna Greenland Crime Omnibus Christoffera Petersena, wzrost liczby samobójstw...

Każdy może przeczytać sobie sam, z doświadczenia prawie nikt nic nie wie, lecz od niedawna, od kiedy Donald Trump zdradza się z apetytem na Wyspę, wielu z nas byłoby gotowych umrzeć za Grenlandię.

I nie ma się z czego śmiać. Kiedy wojna w Ukrainie jest zbyt realna i bliska, żeby przeżywać ją w wymiarze baśniowym, kiedy młodzi przestają już nawet pamiętać, że Ameryka znaczyła tyle, co wolność, niechętni zarówno dyktaturze, jak i ekspansjonizmowi, przemocy i arogancji, skłonni jesteśmy sami wziąć w ręce sztandar Grenlandii, głosić jej wolność i bronić do krwi ostatniej.

Zwłaszcza że – co uzmysławia nam specyfika telewizyjnego przekazu – sztandar ten jest jak niepatetyczny, antyretoryczny wariant sztandaru własnego. Polskiego. I jest w tej zbiorowej gotowości do obrony Grenlandii echo wolnościowego instynktu, pogłos Rewolucji Francuskiej i Wiosny Ludów, jest też niezgoda na szaleństwo. Na świat, w którym każdy absurd może stać się upiorną rzeczywistością, wojna Króla Maciusia – wewnętrznym konfliktem NATO.

„Dość tego: koniec nacisków, insynuacji i fantazji o aneksji", miał powiedzieć Jens Frederik Nielsen, premier Grenlandii. I przez chwilę jest także naszym prezydentem, człowiekiem słusznej sprawy wypowiedzianej adekwatnym, czystobrzmiącym, jednoznacznym słowem. ●

Jarosław Mikołajewski

Andrzej rysuje

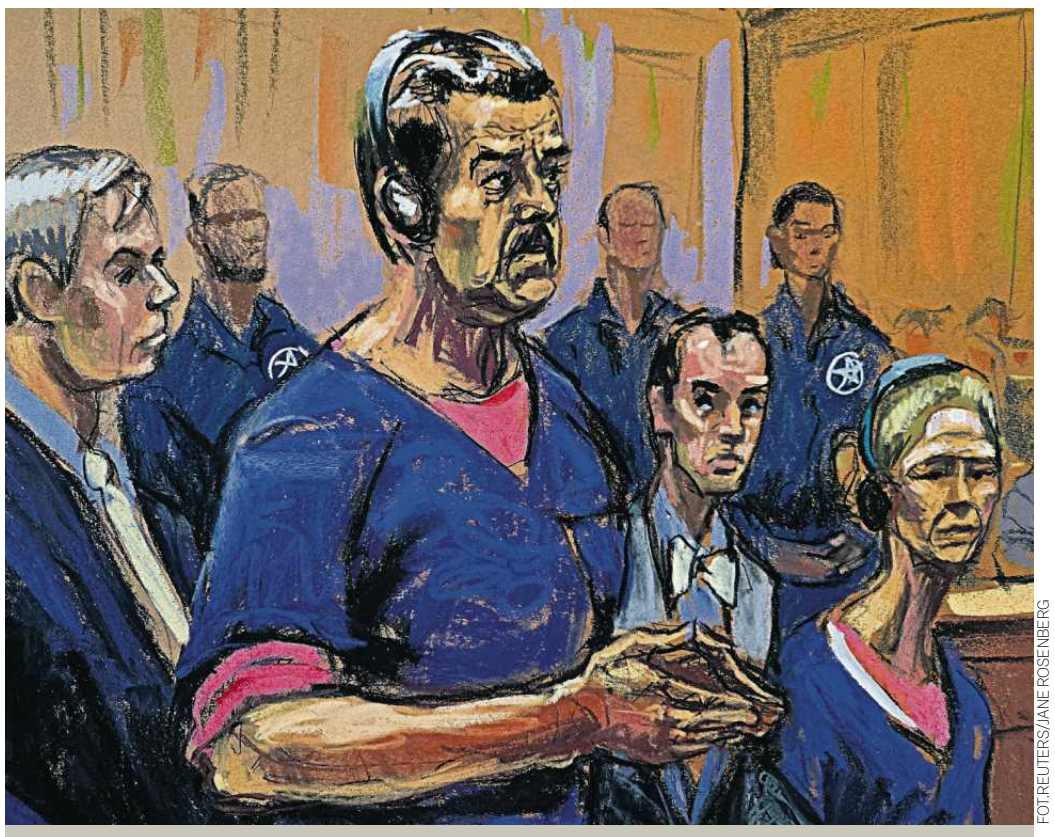

FOT. REUTERS/JANE ROSENBERG

• Nicolas Maduro i jego żona Cilia Flores stają przed sądem federalnym na Manhattanie pod zarzutem „zmowy narkoterrorystycznej", prania pieniędzy i posiadania nielegalnej broni. Te same zarzuty mają m.in. syn Maduro, Ernesto oraz szef MSW Diosdado Cabello

437

TYS. DOLARÓW

• **zarobił użytkownik platformy hazardowej Polymarket, który w piątek wieczorem przewidział porwanie Nicolasa Maduro.** Zapewne miał tajne informacje o nadchodzącej akcji militarnej, bo jeszcze w piątek rano prawie nikt nie obstawiał tak szybkiego upadku wenezuelskiego autokraty. Szczęściarz, który jest nowym graczem – zarejestrował się na platformie chwilę wcześniej – zainwestował w zakład 30 tys. dolarów.

Teraz hazardziści obstawiają

• **wyrok Maduro** (47 proc. stawia na ponad 60 lat więzienia)
• **zwolnienie go** (poniżej 1 proc.)
• oraz to, czy w sprzedaży pojawią się **kubki z wizerunkiem** Maduro w więziennym uniformie (35 proc.).

• **Więcej w tekście Ireneusza Sudaka**
▶ **Wyborcza.biz**

Delcy Rodriguez
Naftowa „tygrysica" imponuje Amerykanom

Władzę po Maduro w Republiki Boliwariańskiej – to oficjalna nazwa Wenezueli – przejęła wiceprezydent Delcy Rodriguez. Jej mandat uznały już Brazylia, Rosja, Chiny, Iran i Turcja oraz liczne kraje regionu.

55-letnia prawniczka jest córką Jorge Antonio Rodrigueza, działacza radykalnej lewicowej partii Liga Socjalistyczna, zamordowanego przez wenezuelską policję w 1976 r., oraz siostrą obecnego przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Jorge Rodrigueza, jednego z najbardziej wpływowych strategów politycznych rządu.

Studiowała prawo, w 2006 r. została ministrą w kancelarii ojca socjalistycznej „rewolucji boliwariańskiej" Hugo Chaveza. W 2013 r. objęła resort komunikacji i informacji, a następnie dyplomację. Jako zagorzała obrończyni rządu Nicolása Maduro na arenie międzynarodowej otrzymała przydomek „tygrysicy". Kilka lat później następca zmarłego Chaveza mianował ją wiceprezydentem.

Od sfałszowanych wyborów prezydenckich w 2018 r. Rodríguez jest na liście 11 dygnitarzy objętych sankcjami przez UE. Bruksela oskarża ją o „podważanie demokracji i praworządności w Wenezueli", w tym o „uniemożliwienie opozycji udziału w procesie politycznym".

W 2024 r. Maduro dodał do jej portfolio resort finansów i ropy naftowej – miała zarządzać przeciwdziałaniem amerykańskim sankcjom wobec najważniejszego sektora gospodarczego kraju. Wywiązała się z zadania – udało jej się, jak zauważa „The New York Times", ustabilizować gospodarkę po latach kryzysu i zwiększyć produkcję ropy mimo zachodniego embarga. Pomagała nawiązywać kontakty elit biznesowych Wenezueli z inwestorami zagranicznymi i dyplomatami.

FOT. REUTERS/LEONARDO FERNANDEZ VILORIA

„Nie jest umiarkowaną alternatywą dla Maduro. Była jedną z najpotężniejszych i najbardziej nieprzejednanych postaci w całym systemie" – mówi Imdat Oner, analityk polityczny i były dyplomata turecki pełniący służbę w Wenezueli.

W październiku media ujawniły, że Rodríguez rozpoczęła poufne negocjacje z Waszyngtonem. Plan przewidywał zmianę władzy w ciągu trzech lat i jej przywództwo do wyborów zaplanowanych na styczeń 2031. Amerykańscy urzędnicy byli pod wrażeniem „jej zarządzania wenezuelskim sektorem naftowym" i przekonali administrację Trumpa, że Rodriguez „będzie skutecznie bronić przyszłych amerykańskich inwestycji energetycznych".

Jeanne Durieux, „Le Figaro"

wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na **UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU** i bądź na bieżąco przez cały weekend*

6P4NHY1

1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 10-11.01.2026 r.

eprasa.pl 5935e39405

KONCERN
UNITED STATES OF AMERICA

Połknął mniejszy, upadający koncern wydobywczy Wenezuela.
A przy okazji zakończył XX wiek w Ameryce Łacińskiej

FOT. FOT. MICHAEL NAGLE/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

• **Nowy Jork, obalony prezydent Wenezueli Nicolas Maduro w drodze z lądowisk dla helikopterów na Wall Stree na rozprawę w sądzie federalnym**

Mateusz Mazzini

Równo pięć lat przed porwaniem w Caracas Nicolása Maduro Stany Zjednoczone, także pod dowództwem Donalda Trumpa, przeprowadziły operację wojskową o podobnym stopniu precyzji i podobnym znaczeniu strategicznym. W nalocie dronowym na budynek w Bagdadzie 3 stycznia 2020 roku zabito Kassima Sulejmaniego, generała irańskiej Gwardii Rewolucyjnej, odpowiedzialnego za akcje wywiadowcze, sabotaż i terroryzm.

Przez kilka dni świat wstrzymywał oddech, bo ajatollahowie grozili odwetem, a wszyscy już wiedzieli, że Trump jest politykiem nieprzewidywalnym, więc nie była wcale wykluczona wielopiętrowa eskalacja, a może nawet wojna światowa. Ale kilkanaście dni później tajemniczy wirus z Chin, atakujący górne drogi oddechowe, zaczął rozprzestrzeniać się po całej planecie, zamykając miliardy ludzi w domach na miesiące, a czasem na lata.

Dzisiaj wiemy, że zabicie Sulejmaniego był sygnałem, jak Trump rozumie relacje międzypaństwowe i rolę w nich siły militarnej. Obserwujemy powtórkę – precyzyjny atak na wysokiego rangą przedstawiciela wrogiej dyktatury bogatej w ropę i obłożonej zachodnimi sankcjami, która sprzedaje surowiec na czarnym rynku, głównie do Chin i Korei Północnej, dwóch – wówczas – największych adwersarzy Ameryki.

Zabijając dowódcę formacji zbrojnej ważniejszej niż regularna armia, będącej państwem w państwie, Trump chciał wysłać władzom w Teheranie sygnał: możemy unieszkodliwić każdego w waszej strukturze, więc zacznijcie z nami rozmawiać. Wstrzymajcie program nuklearny na dobre, przestańcie straszyć Izrael i zasilać chińską maszynę przemysłową, to może was oszczędzimy. A jeśli ktoś wewnątrz reżimu się przestraszy, nawiąże kontakt, zainicjuje przewrót pałacowy i zaoferuje lepsze warunki współpracy – tym lepiej dla USA i samego prezydenta.

Oczywiście Sulejmani to nie Maduro, a Iran to nie Wenezuela. Inny kontynent, inne znaczenie i wpływ na świat, inne poparcie dla reżimu, inna skala zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego USA, inna sieć sojuszników pod postacią państw narodowych i organizacji paramilitarnych. Punkt wspólny jest jeden, za to ważniejszy od wszystkich różnicy – pomysłodawca obu operacji. To Trump, człowiek patrzący na świat wyłącznie w kategoriach relacji bilateralnych, chciwy władzy, poklasku i zasobów, który w dodatku uważa, że prawo, czy to międzynarodowe, czy krajowe jest tylko przeszkodą w efektywnym rządzeniu – rozumianym nie jako sprawowanie władzy w kategoriach politycznych, a maksymalizacja zysków. Przede wszystkim dla własnej rodziny i akolitów, dla narodu, którym się rządzi, przy okazji.

O Sulejmanim przypomniał mi James Story, były i zarazem ostatni ambasador USA w Caracas. Kiedy rozmawiałem z nim na początku listopada, amerykańska kampania ataków na kutry rybackie i motorówki, rzekomo wykorzystywane do przemytu narkotyków, wchodziła już w trzeci miesiąc. Ku wybrzeżom Wenezueli płynął lotniskowiec USS Gerald Ford, w pewnym momencie Amerykanie skoncentrowali tam 10 procent siły ognia całej swojej marynarki.

Zapytałem wówczas Story'ego, czy to tylko prężenie muskułów, czy jednak przygotowanie do jakichś działań militarnych. Ocenił szanse ataku na 80 procent – ale wykluczył tradycyjną inwazję. Tłumaczył, że Trump nie rzuci sił lądowych, bo kieruje administracją zbudowaną z ludzi o bliskowschodniej traumie. On sam, jak i jego kluczowi podwykonawcy – Pete Hegseth, weteran z Iraku, dziś sekretarz wojny, Elbridge Colby, urzędnik tymczasowej amerykańskiej administracji po obaleniu Saddama Husajna, dziś podsekretarz bezpieczeństwa, J.D. Vance, marine służący na zapleczu w Iraku, dziś wiceprezydent typowany na prezydenta – uważają, że bliskowschodnie wojny czasów George'a W. Busha były idiotyczne, bezsensowne i katastrofalne w skutkach dla Partii Republikańskiej i całego amerykańskiego narodu.

„Kiedy weszliśmy do Iraku, chcieliśmy usunąć każdego, kto był w rządzącej partii Baas. To się okazało niemożliwe, ugrzęźliśmy na lata, a ci miejscowi, którzy razem z nami chcieli obalać Saddama, zaczęli z czasem zwalczać także nas, bo rozwalaliśmy ich kraj. Uwierz mi, że wszyscy wyciągnęli z tego lekcję" – tłumaczył mi Story. W Wenezueli stawiał na precyzyjne uderzenie w ważny element reżimu, które oligarchom i mundurowym wyśle wiadomość: poddajcie się, bo to samo możemy zrobić z każdym z was.

Story pomylił się tylko w dwóch punktach: atak przewidywał w ciągu 30 dni, czyli miesiąc wcześniej niż nastąpił, a na ofiarę typował Diosdado Cabello, szefa MSW i tajnej policji, najbrutalniejszego funkcjonariusza dyktatury, osobiście odpowiedzialnego za kampanię prześladowań i tortur opozycjonistów.

•

Ale data śmierci irańskiego generała nie jest jedyną, którą trzeba przypomnieć, żeby zrozumieć, co właściwie wydarzyło się w weekend w Caracas. Drugą jest 21 stycznia 2025 roku, dzień po inauguracji drugiej kadencji. Wówczas Trump zaatakował Kanadę, rządzoną jeszcze przez Justina Trudeau, grożąc inwazją i aneksją jako 51. stanu USA. Powód? Rzekome zalewanie amerykańskich ulic fentanylem i innymi narkotykami syntetycznymi. W ruch poszły 25-procentowe cła i Kanadyjczycy naprawdę zaczęli się bać, że Amerykanie unie-

eprasa.pl 5935e39405

ważnią ich państwowość. Bo Trump nie tylko groził im za fentanyl, ale też przekonywał, że kontrola nad ich krajem jest kluczowa dla bezpieczeństwa narodowego USA.

W tym miejscu trzeba zrobić przypis metodologiczny: co dla obecnego lokatora Białego Domu i jego administracji oznacza „bezpieczeństwo". Od początku tej kadencji można było to przeczuwać, a opublikowana w grudniu Narodowa Strategia Bezpieczeństwa rozwiała wątpliwości: Trump postrzega bezpieczeństwo w kategoriach XIX-wiecznych. To naturalne, że duże państwo panujące nad ogromnym terytorium, z liczną armią, wielką populacją, potężną gospodarką i dostępem do surowców wymusza swoją wolę na innych państwach za z pomocą instrumentów gospodarczych lub zbrojnie. Liczy się naga siła państw narodowych i to one są podstawowym elementem porządku światowego, a nie jakiś dialog, multilateralizm, poszanowanie praw, sojusze oparte nie tylko na interesach, ale i na wartościach.

A co Trump miał na myśli, gdy mówił, że Kanada jest mu potrzebna dla zwiększenia bezpieczeństwa USA? To samo, co amerykańscy nafciarze i brytyjscy dyplomaci rywalizujący o wpływy w upadającym imperium otomańskim w pierwszych dekadach XX wieku: strategiczne zasoby naturalne. Z Kanady pochodzi 70 procent wszystkich węglowodorów – w tym 60 procent ropy i prawie 100 procent gazu ziemnego – importowanych do USA oraz około 80 procent energii elektrycznej kupowanej za granicą. Trump nie chce podbić państwa. Chce dokonać wrogiego przejęcia przedsiębiorstwa wydobywczego.

Właśnie taki proces rozpoczął się 3 stycznia o 1:45 czasu lokalnego w Caracas, kiedy grupa specjalna Delta Force wtargnęła do rezydencji Maduro, by pojmać go i jego żonę. Amerykanie nie dokonali żadnej zmiany ustrojowej w Wenezueli, nie obalili marksistowskiej – czy raczej od lat już tylko udającej marksistowską – dyktatury, która istnieje tam od 1999 roku. To nie była operacja w stylu zimnowojennym, kiedy na polecenie Henry'ego Kissingera CIA w miejsce jednego przywódcy instalowało innego. Amerykańska armia po prostu aresztowała i wywiozła dwójkę znaczących ludzi, całkowicie ignorując konsekwencje polityczne, jakie ten ruch wywoła.

Trump nie zmienił ustroju w Wenezueli – suwerennym państwie, tylko przejął kontrolę nad Wenezuelą – upadającą, niewydolną firmą wydobywczą, pozbywając się kluczowych menedżerów, którzy marnowali je potencjał.

•

Prezydent biznesmen całkowicie ignoruje prawo międzynarodowe, a wolne, niepodległe państwa nie są dla niego ani wolne, ani niepodległe, bo postrzega je jako kawałek ziemi, duży punkt na mapie, gdzie można coś wykopać z ziemi lub na niej zbudować i na tym zarobić. To, czy mieszkający tam ludzie będą żyć w demokracji, czy w dyktaturze, czy podniesie się ich poziom życia, czy spadnie, czy odzyskają władzę nad własnym krajem, jak będzie się nazywał ich nowy ustrój i kim będzie ich nowy przywódca, jest bez znaczenia.

Dlatego pisanie o jakimkolwiek planie Stanów Zjednoczonych dla Wenezueli, doszukiwanie się strategii czy myślenia wybiegającego na kilka kroków w przód jest stratą czasu. Biały Dom nie ma żadnego pomysłu na Wenezuelę, bo nikogo w Białym Domu nie obchodzi, co się z nią stanie. Nieważne, kto przejmie władzę, byleby wpuścił amerykańskie koncerny i im nie przeszkadzał. A jeśli wierzgnie, podzieli los Maduro.

Potwierdza to karkołomna argumentacja prawna mająca uzasadnić aresztowanie wenezuelskiego dyktatora i postawienie go przed sądem na Manhattanie – a więc przed amerykańskim, a nie międzynarodowym wymiarem sprawiedliwości. Waszyngton twierdzi, że z prawnego punktu widzenia nie aresztował polityka czy dyplomaty, a jedynie osobę fizyczną. Trump nie uznaje Maduro za prawowitego

FOT. REUTERS/AGUSTIN MARCARIAN

• **Buenos Aires, Argentyńczycy palą flagę USA podczas protestu pod ambsadą amerykańską przeciwko atakowi na Wenezuelę**

prezydenta z powodu sfałszowanych przezeń wyborów w 2024 roku. Tu ma rację, fałszerstwa były ewidentne, Maduro powinien być odsunięty od władzy. To samo zresztą mówi Unia Europejska, a głową państwa Maduro był bezprawnie prawdopodobnie już od 2018 roku, kiedy skala nieprawidłowości w wyborach była gigantyczna. W związku z tym Maduro z żoną można było wywieść do USA, bo nie przysługuje mu immunitet dyplomatyczny wynikający z prawa międzynarodowego.

Większy problem jest z uzasadnieniem interwencji wojskowej – wszak aresztowania obywatela Maduro dokonała grupa Delta Force, czyli jednostka amerykańskich sił zbrojnych, a więc operacja w Caracas była ofensywnym aktem zbrojnym. Zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych takie działanie jest nielegalne – choć istnieje od tego jeden wyjątek: samoobrona przed atakiem zagrażającym bezpieczeństwu państwa. W tym miejscu zaczynają się fikołki prawne, bo Republikanie twierdzą, że prezydent miał prawo zignorować „konstytucję ONZ". Ich prawnicy przytaczają tak zwane Memorandum Barra z 1989 roku – 22-stronicowy dokument przygotowany przez Billa Barra, wówczas prokuratora w Departamencie Sprawiedliwości, późniejszego prokuratora generalnego u George'a H. Busha i przez rok u Trumpa za pierwszej kadencji. Dokument ten zakłada, że w przypadkach „nagłego zagrożenia" prezydent USA może nie stosować zapisów Karty Narodów Zjednoczonych.

Problem w tym, że memorandum nie jest aktem prawnym, a jedynie opinią, w dodatku czysto teoretyczną. Profesor Ryan Goodman, prawnik i politolog z New York University, w analizie dla portalu Just Security wytknął administracji nie tylko te słabości. Zauważył, że w osobie Nicolasa Maduro w ogóle nie można doszukać się „nagłego zagrożenia dla bezpieczeństwa", bo Wenezuela nie szykowała się do inwazji na Amerykę, nie wystrzeliła w jej kierunku pocisków, a handel narkotykami, o który oskarżany jest dyktator, stanowi, owszem, zagrożenie dla bezpieczeństwa – ale na pewno nie nagłe.

Jeśli za wyjątek uchylający prawo międzynarodowe Waszyngton uznaje handel narkotykami, to pretekstem do ataku może uczynić każde inne niemilitarne zagrożenie - wybuch epidemii w sąsiednim państwie czy udział jakiegoś kraju w katastrofie klimatycznej

Tymczasem interpretacja, której trzyma się Waszyngton, prowadzi do bardzo niebezpiecznego precedensu, który profesor Oona Hathaway z Yale opisała w wywiadzie dla „New Yorkera": jeśli za wyjątek pozwalający na uchylenie prawa międzynarodowego uznaje się handel narkotykami, to samo można zrobić z każdym innym niemilitarnym zagrożeniem. Jeśli w sąsiednim kraju wybucha epidemia, mamy prawo zaatakować go prewencyjnie, żeby choroba do nas nie doszła. Podobnie kraj, z którego pochodzi duża liczba migrantów. Albo taki, który w jakiś sposób przykłada się do katastrofy klimatycznej, jeśli zjawiska z nią związane odciskają się na Ameryce. Na dobrą sprawę wszystko może być pretekstem do inwazji na obce państwo.

Dlatego to, co zrobili Amerykanie w Caracas, jest tak bardzo niebezpieczne dla wszystkich, równie dla Europejczyków: w istocie w sobotę nad ranem Donald Trump zalegalizował wojnę jako pełnoprawny instrument uprawiania polityki międzynarodowej.

Na tym nie koniec absurdów prawnych. Bo logiczną konsekwencją stanowiska, że Maduro nie jest prawowitym prezydentem, powinno być uznanie za głowę państwa osoby, która naprawdę wygrała w 2024 roku, czyli Edmundo Gonzaleza. Tymczasem jego nazwisko nie przewinęło się od soboty ani razu w wystąpieniach Trumpa, w jego postach czy w rozmowach z dziennikarzami. Etycznie jest się do czego przyczepić, ale prawnie trudno krytykować Trumpa za to, że zbagatelizował jako „nieposiadającą poparcia" Marię Corinę Machado, bo pokojowa noblistka nie ma poza moralnym żadnego tytułu do przejęcia władzy w Caracas. Ale Edmundo Gonzalez jest zwycięzcą głosowania, uznaje go Europa, a prezydent Francji Emmanuel Macron napisał w serwisie X, że Gonzalez jest teraz prawowitym wenezuelskim przywódcą.

Tymczasem Trump na kogoś w rodzaju namiestnika USA arbitralnie mianował Delcy Rodríguez, wiceprezydentkę w reżimie Maduro, córkę marksistowskiego rewolucjonisty torturowanego w latach 70. przez wytrenowanych przez CIA prawicowych wenezuelskich oficerów bezpieki. Trudno nie zauważyć sprzeczności – jeśli bowiem Maduro nie był wybrany zgodnie z prawem, jakim cudem legitymację do rządzenia ma jego zastępczyni? Jeśli nie uznajemy legalności reżimu, dlaczego wyjmujemy z niego tylko jeden klocek, który w dodatku w naszym rozumieniu nie jest klockiem ustrojowym, tylko elementem syndykatu kryminalnego? Dlaczego nie wspieramy przejęcia władzy przez tego polityka, któremu ta władza się należy w wyniku wygranych wyborów?

Odpowiedzi już udzieliliśmy: bo Trumpa nie obchodzi, czy w Wenezueli będzie demokracja, faszyzm, czy komunizm. Ważne, żeby rządził ktoś, kto da mu zarobić na ropie.

•

Dlatego w najbliższych miesiącach Wenezuelę czeka chaos. Jak zauważa James Bosworth, latynoamerykanista i autor newslettera *Latin American Risk Report,* nie jest powiedziane, że osoba, która dziś kieruje rządem, będzie to robić za 10 dni czy za 10 tygodni. W wywiadzie dla „The Atlantic" Trump powiedział wprost, że jeśli Rodriguez nie będzie posłuszna, „czeka ją los gorszy od tego, który spotkał Maduro". Czyli nie chodzi o bycie dyktatorem, kradzież wyborów, marksistowską orientację ideologiczną ani nawet o handel narkotykami. Marco Rubio deklarując, że choć Maduro został pojmany, na wszelki wypadek „amerykańskie siły pozostaną Karaibach", oznajmił, że następcy Maduro mają realizować plany Waszyngtonu.

Ale na razie nowa głowa państwa może czuć się w miarę bezpiecznie. Bloomberg i „Miami Herald" już w listopadzie spekulowały, że to ona może być wskazaną przez USA następczynią Maduro. Amerykanie nakładali wtedy spersonalizowane sankcje na handlarzy ropą blisko związanych z kręgiem dyktatora, ale przedsiębiorcy uważani za ludzi Rodríguez zostali oszczędzeni i bez przeszkód handlowali na czarnym rynku. Poza tym wiceprezydentka jest pragmatyczną technokratką, więc otwarcie się na amerykańskie „inwestycje" uzna za i elastyczne, i autentycznie korzystne dla upadłej gospodarki.

A przede wszystkim Biały Dom chciał wskazać kogoś ze środka reżimu, nie zaś opozycjonistę w typie Machado czy Gonzaleza, bo wariant demokratyczny wymagałoby gigantycznego wsparcia militarnego i politycznego. Misji stabilizacyjnej oraz tak zwanego *nation building*, jak w Iraku czy Afganistanie. Demokratyzacja to robota na długie lata, a i tak rzadko się udaje. Amerykanie nie mają w tej chwili na to zasobów i apetytu, nie mówiąc o fakcie, że demokracja jako wartość niespecjalnie kogokolwiek w Waszyngtonie teraz obchodzi.

•

Sobotnia operacja była tak prosta i udana również dlatego, że amerykańskie wojsko miało Wenezuelczyków świetnie rozpracowanych dzięki kontaktom wewnątrz reżimu. „The New York Times" podał, że CIA miało źródło w rządzie Maduro, dzięki czemu Amerykanie byli w stanie precyzyjnie ustalić miejsce pobytu dyktatora w nocy z piątku na sobotę.

Używane przez Wenezuelę rosyjskie systemy przeciwrakietowe S-300 i S-400 Pentagon łatwo unieszkodliwił, bo zna je od lat, a Wenezuelczycy dodatkowo ułatwili sprawę, nie aktualizując oprogramowania i baz danych od 2016 roku. Sprzęt chodził na starym systemie, który Amerykanie znali na wylot, więc bez problemu go wyłączyli.

Z punktu widzenia Europy, w tym Polski, znacznie ciekawsze jest jednak pytanie, dlaczego oporu nie stawiała osobista ochrona Maduro, złożona również z Kubańczyków i najemników z dawnej Grupy Wagnera. Rosjanie są tam aktywni od lat i blisko współpracowali z samym dyktatorem – kiedy reżim w 2024 roku pacyfikował opozycję po sfałszowanych wyborach, mundurowi z naszywkami Wagnera na kurtkach pałowali ludzi na ulicach. Gdzie byli w sobotę? Czy przeszli na stronę nowej władzy? Czy przekupili ich Amerykanie? A może Trump dogadał się z Władimirem Putinem?

Domorośli eksperci od geopolityki i fani teorii spiskowych już wietrzą właśnie to – spisek, tajny układ Amerykanów z Rosjanami. I mają ku temu podstawy. W internecie szybko pojawił się zapis dawnego przesłuchania przez Kongresem Fiony Hill, doradczyni Trumpa do

eprasa.pl 5935e39405

Jak doszło do pojmania prezydenta Maduro

W nocnym ataku na Wenezuelę uczestniczyło ponad 150 samolotów i komandosi elitarnego oddziału Delta, którzy wcześniej ćwiczyli porwanie prezydenta w budynku będącym repliką rezydencji Maduro

FOT. @REALDONALDTRUMP VIA REUTERS

• **Donald Trump z szefem CIA Johnem Ratcliffem obserwują akcję Delta Force w Caracas**

spraw Rosji za pierwszej kadencji, dzisiaj rektorki brytyjskiego Durham University. Hill mówiła w 2019 roku na Kapitolu, że Rosjanie już wiele lat temu proponowali Trumpowi „dziwny układ". „Wy wycofacie wsparcie z naszego podwórka, czyli z Ukrainy, a my usuniemy się z waszego, czyli z Wenezueli".

Brzmi sensacyjnie, ale to jednak typowa operacja dyplomatyczno-dezinformacyjna Rosjan: rzucić kontrowersyjny pomysł, który niekoniecznie traktuje się serio, zobaczyć reakcje, wyciągnąć z nich wnioski, a przy okazji zasiać trochę fermentu. A poza tym Putin nie musiał zawierać z Trumpem żadnego układu w sprawie Wenezueli. Przy takiej administracji w Waszyngtonie, antyeuropejskim nastawieniu Białego Domu i zaniechaniu walki z dezinformacją Maduro nie był Putinowi już do niczego potrzebny. Rosjanie doskonale wiedzą, że nie mają wystarczających zdolności militarnych i taktycznych, żeby z pomocą kraju w rodzaju Wenezueli cokolwiek na półkuli zachodniej zdziałać – oraz że nie muszą. Po co mieliby straszyć Trumpa „rewolucyjną" i „wyzwoleńczą" Wenezuelą, skoro sami są w stanie go przekonać właściwie do wszystkiego?

Putin za latynoskim dyktatorem nie płacze, tak jak nie płakał za syryjską dyktaturą Baszara al-Asada. Wzruszył ramionami i znów skoncentrował na tym, co dla niego egzystencjalne – wojnie w Ukrainie i relacjach z Chinami.

•

Jeśli interwencja w Wenezueli stanowi dla Rosjan jakiś problem, to zupełnie inny niż militarny czy wizerunkowy. Przez ostatnie lata wenezuelską ropę obejmowały międzynarodowe sankcje, więc była dostępna tylko na czarnym rynku i w ograniczonych ilościach. Wpuszczenie jej do oficjalnego obiegu – bez względu na to, kto to zrobi – spowoduje gigantyczny wzrost podaży. Co to oznacza, przeanalizował Javier Blas, surowcowy ekspert Bloomberga i współautor wydanej również w Polsce książki „Świat na sprzedaż". Blas zauważa, że przywracając doktrynę Monroego i kontrolę USA nad półkulą zachodnią, Trump przywłaszcza sobie 40 procent wszystkich światowych złóż ropy naftowej. Z dnia na dzień staje się największym graczem na rynku. Konsekwencje są dwie, obie dla Kremla negatywne.

Po pierwsze – Trump wysyła Rosjanom sygnał, że jeśli będą chcieli zawrzeć umowę w sprawie Ukrainy, będą musieli bardziej się postarać. Oferowanie roponośnych pól na Syberii nie wystarczy, bo Amerykanie mają już na własność pola w Wenezueli, znacznie bogatsze. Piłka po stronie Kremla, poprzeczka właśnie została podniesiona. Po drugie, uwolnienie wenezuelskiej ropy może doprowadzić do ustanowienia górnego limitu cen, na przykład 50 dolarów za baryłkę. Wówczas objęci sankcjami Rosjanie musieliby sprzedawać jeszcze taniej. Taka cena odcięłaby tlen rosyjskiej machinie wojennej. Usunięciem Maduro Trump może zagłodzić Moskwę znacznie szybciej niż jakimikolwiek embargami.

Rosjanie nie mogą narzekać, bo byli ostrzeżeni. W grudniu mój rozmówca utrzymujący regularne kontakty z administracją Trumpa, w tym z Andy Bakerem, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego wiceprezydenta J.D. Vance'a, opowiedział mi o kulisach kampanii sankcyjnej Trumpa. „Europejczykom trudno to zrozumieć, ale dla Amerykanów dzisiaj Wenezuela jest znacznie ważniejsza od Ukrainy" – mówił. „Kiedy Donald Trump nakładał sankcje na zagraniczne spółki córki rosyjskich koncernów naftowych, wszyscy w Europie byli pod wrażeniem i cieszyli się, że Biały Dom jest po stronie Ukrainy. Tyle tylko, że w tych sankcjach nie chodziło o Kijów, ale o Caracas" – uśmiechnął się.

Po czym wytłumaczył, że wenezuelski reżim utrzymywał się wyłącznie dzięki temu, że podupadające państwowe przedsiębiorstwo wydobywcze PDVSA wspierały Łukoil i Rosneft. Bez rosyjskich inżynierów i sprzętu Maduro nie miałby petrodolarów. Dlatego Trump uderzył w podmioty handlujące z Rosjanami w Europie, i to pomimo sprzeciwu jego bliskiego ideologicznego sojusznika, Viktora Orbána.

Czas pokaże, czy rosyjskie spółki rzeczywiście się z Wenezueli już wycofały, robiąc miejsce Chevronowi i innym amerykańskim firmom. Dla zrozumienia, jak myślą i co planują Amerykanie, ważna jest intencja – Trump nie chciał powstrzymać Rosjan w Ukrainie, tylko osłabić Maduro w Caracas. W amerykańskiej kalkulacji strategicznej Ameryka Łacińska jest ważniejsza od Europy. To jedna z dwóch kluczowych lekcji, które natychmiast z akcji Delta Force muszą wyciągnąć europejscy, w tym polscy, politycy i dyplomaci.

•

A lekcja druga jest taka, że Donald Trump nie ma żadnych hamulców. Nic go nie ogranicza, uważa się za wszechmocnego, gardzi prawem i legitymizacją demokratyczną – czego dowodem fakt, że grozi interwencją militarną również uczciwie wybranym przywódcom, jak prezydentka Meksyku Claudia Sheinbaum czy prezydent Kolumbii Gustavo Petro, a wcześniej premierowi Trudeau, którego w dodatku nie uznawał za głowę państwa, bo osobiście nie lubił.

> *Co Trump miał na myśli, gdy mówił, że Kanada jest mu potrzebna dla zwiększenia bezpieczeństwa USA? To samo, co amerykańscy nafciarze i brytyjscy dyplomaci rywalizujący o tereny roponośne w upadającym imperium otomańskim w pierwszych dekadach XX wieku*

W tych wszystkich przypadkach przewija się ten sam schemat. Oskarżenia o bycie krajem upadłym i utratę kontroli na rzecz gangów. Oskarżenia o zalewanie Stanów Zjednoczonych narkotykami. A w tle ogromne zasoby naturalne, węglowodory, wielkie tereny do przejęcia na półkuli zachodniej, uznanej za wyłącznie amerykańską strefę wpływów.

A na niej leży przecież też Grenlandia, autonomiczne terytorium Danii, a więc członka Unii Europejskiej i NATO. Po sobotniej akcji w Caracas Trump zdążył już stwierdzić, że USA „potrzebują Grenlandii dla bezpieczeństwa". W odpowiedzi premierka Danii Mette Frederiksen oświadczyła, że takie rozmowy są „bez sensu". Ma rację, ale tylko jeśli kieruje się logiką i konwencjonalnym rozumieniem stosunków międzynarodowych. Bo o jakim bezpieczeństwie mówi Trump, skoro Grenlandia to terytorium NATO, więc w przypadku ewentualnego chińskiego czy rosyjskiego ataku Ameryka i tak będzie chroniła wyspę – w dodatku z pomocą wojskową Europejczyków. Za to po aneksji duńskiego terytorium będzie musiała bronić go sama. Ale bycie na bakier z pragmatyzmem ewidentnie Trumpowi nie przeszkadza.

Również dlatego nie można zakładać, że Amerykanie nie ruszą po Grenlandię. Wręcz przeciwnie, dzisiaj to wielce prawdopodobne. W drugiej kadencji amerykański prezydent nie rzuca słów na wiatr, tylko robi to, co anonsował w kampanii i co zapowiada na swojej platformie społecznościowej TruthSocial.

•

A tymczasem w Wenezueli prześladowania opozycjonistów i zwykłych zdesperowanych obywateli będą trwać, bo w Caracas i przy władzy zostali najbrutalniejsi przedstawiciele reżimu, w tym minister spraw wewnętrznych Diosdado Cabello. Czas pokaże, czy on i inni mundurowi wysokiego szczebla dogadają się z nową władzą, czy też sami ją przejmą. Tak czy inaczej, kraj czeka chaos i wybuch przemocy. O stabilizacji nie ma mowy – a przecież to miało być celem amerykańskiej interwencji. Bez stabilizacji nie będzie ukrócenia handlu narkotykami ani ograniczenia nielegalnej migracji. Tyle tylko, że zupełnie nie o to chodziło Trumpowi.

Co nie zmienia faktu, że niechcący, kierując się doraźnym zyskiem i zamysłem nie strategicznym, a taktycznym, przejmując przedsiębiorstwo Wenezuela, Trump dokonał czegoś wiekopomnego. Z odejściem Maduro w Ameryce Łacińskiej kończy się epoka, której początki sięgają rewolucji kubańskiej z lat 50.

Na kontynencie nie ostał się już żaden poważny lewicowy przywódca wychowany w duchu antyamerykańskim, antyimperialistycznym, według zasad propagowanych przez Fidela Castro i Ernesto „Che" Guevarę. Nawet Lula, bohater związków zawodowych i socjalista starej daty, dzisiaj prezydent Brazylii, w sprawie Maduro i Wenezueli taktycznie milczy, by nie zirytować Trumpa, który przecież groził mu mieszaniem się w najbliższe wybory prezydenckie.

3 stycznia 2026 roku dla półkuli zachodniej ostatecznie skończył się wiek XX. Długi wiek instytucji, zasad, norm, multilateralizmu i prymatu demokracji nad innymi formami rządów. Jest kwestią czasu, kiedy XX wiek ostatecznie dobiegnie końca również w Europie Zachodniej i Środkowej. ●

eprasa.pl 5935e39405

KRAJ

TU JEST JAKBY

Wyrzuciliśmy poradniki kapłanek minimalizmu i skandynawskie poradniki wnętrzarskie, zalogowaliśmy się do chińskich platform z dostawą do domu następnego dnia. A weterani młodzieżowych strajków klimatycznych oszczędzają na promocjach w Pepco, Dealz, Action

Arkadiusz Gruszczyński

Nie oszukujmy się: w sklepach, o które pytasz, wszyscy robią zakupy – mówi mi Małgorzata, 37-letnia matka dwóch dorastających chłopaków, która z mężem, mechanikiem samochodowym, mieszka w okolicy Głogowa na Dolnym Śląsku. Pytam o Pepco, Action, Dealz, KiK i Rossmanna, a także o Temu, czyli chiński odpowiednik Allegro i Amazona. We wszystkich tych sklepach można kupić na promocjach dosłownie wszystko: od kosmetyków, karmy dla kota, słodyczy, garnków, blaszanego ogrodzenia czy szklanek. Często kilka lub kilkadziesiąt złotych taniej niż w innych miejscach.

Ceny wynikają z pochodzenia oferowanych tam produktów, czyli głównie z Chin, które monopolizują w ostatnich latach rynki europejskie, ale nie tylko. Przepis na sukces zdradza na swojej stronie Action: „Kupujemy hurtowo i płacimy mniej. Do tego wydajnie przewozimy, przechowujemy i sprzedajemy nasze produkty. W każdym kraju nasze sklepy oferują niemal identyczny asortyment. Cała ta prostota i wydajność oznacza, że możesz korzystać z najniższych cen".

O skali sukcesu mówią liczby: w ubiegłym roku przychody Pepco wyniosły 4,5 miliarda euro, na czysto spółka zarobiła 219 milionów euro, blisko 20 procent więcej niż w 2024 roku.

O popularności tego typu marketów świadczy również gęstość ich sieci – samo Pepco ma w Polsce ponad 1,3 tysiąca sklepów. Oraz memy, które należy traktować jak barometr nastrojów społecznych. Na jednym z nich widzimy młodego mężczyznę stylizowanego na francuskiego hrabiego z XVIII wieku z podpisem: „Ja w drodze do RPA" – od Rossmann, Pepco, Action. Na innym jest Andrzej Duda, który pyta: „Były pieniądze?". I podpis: Gdy po wypłacie odwiedzacie świętą trójcę (Rossmann, Pepco, Action).

Skoro sklepy typu – jak mawiali nasi dziadkowie i prababcie – „szwarc, mydło i powidło" stały się ironiczną częścią internetu, to znak, że są naprawdę poważnym fenomenem społecznym, który mówi nam coś istotnego o Polsce.

●

Wracam do Małgorzaty, która mieszka w małym domu na przedmieściach. – Zobacz, na przykład te pokrowce na krzesła kupiłam w Pepco, a przecież niczym nie różnią się od podobnych, za które zapłaciłabym więcej w Ikei czy jakimś innym sklepie – tłumaczy. – Szklanki i kubki też tam kupiłam, są nieco gorszej jakości, ale mam małe dzieci, które je tłuką, więc aż tak nie szkoda. Ręczniki kupiłam w Action, dywanik do łazienki też mam stamtąd, a jak robimy urodziny dla dzieci, to większość słodyczy kupujemy w Dealzie. Dlaczego? Bo jest taniej, a poza tym każdy chce żyć nieco ładniej i lepiej, co nie? A tam można kupić rzeczy po prostu piękne.

Jej mieszkanie na pierwszy rzut oka nie różni się niczym szczególnym od domów z polskich seriali: sterylna, biała przestrzeń z kilkoma kolorami, ładnymi meblami i dodatkami z popularnych sklepów. – Córka organizowała ostatnio sylwestra z koleżankami i w Action kupiły kubeczki z brokatem, słomki, talerzyki, chipsy, balony. I za wszystko zapłaciły mniej niż 100 złotych – opowiada Julia, 40-letnia matka studiującej córki i syna, który całe dnie spędza przed komputerem.

– Mówisz, że to jednorazowe rzeczy? No tak, ale nam to nie przeszkadza, niech się dzieci bawią – odpowiada szczerze na moje wątpliwości, że zakup produktów może nie śmieciowych, ale z pewnością jednorazowych nie ma za wiele wspólnego z ekologią.

– To są uzależniające miejsca – mówi z kolei Katarzyna, 25-letnia studentka pielęgniarstwa z Głogowa. – Nauczyłam się, że wchodzę do Pepco czy Dealza z konkretną listą, nie oglądam innych rzeczy i szybko uciekam. Patrząc na półki, nagle zdajesz sobie sprawę z tego, że wszystko ci się przyda: szczoteczka do zębów, nowa kuweta dla kota, zapas ręczników papierowych, które są w promocji. Ale powiem ci, że przestałam kupować chemię w tych tanich sklepach. Kiedyś wzięłam mydełko w płynie znanej firmy i po otwarciu okazało się, że było rozwodnione. Lepiej wydać nieco więcej pieniędzy, niż myć się rozcieńczonym mydłem w płynie – kwituje dziewczyna.

Musiałem na własne oczy zobaczyć te miejsca. W Głogowie znajdują się pod jednym adresem: inwestor kilka lat temu postawił coś na kształt pasażu handlowego, w którym są wszystkie sklepy z tanimi produktami, a na piętrze działa siłownia. Jeszcze do niedawna był tam też Empik, ale nie zyskał dużej popularności.

Sklepy, które mnie interesują, są do siebie podobne: z regałów wylewają się kolorowe produkty, olbrzymie opakowania ze słodyczami, chipsy, batony, czekolady, słodkie napoje, energetyki, kosmetyki, ubrania, zabawki, dywaniki, sianko dla chomików, puszki z jedzeniem dla zwierząt, świece zapachowe, ozdoby. Nadmiar sprawia, że kupujący czuje się, jakby wylądował w samym środku narkotycznego snu – alejki są wąskie, z każdej strony atakuje was inny produkt, wokół biegają rozchichotane nastolatki robiące sobie zdjęcia, a w drodze do kasy i tak skusicie się na trzy opakowania słodkich batoników w cenie dwóch oraz sześć puszek Coca-Coli w cenie trzech.

●

Z tego, co słyszę od Małgorzaty, Julii i Katarzyny, i na podstawie moich obserwacji wyciągam trzy robocze wnioski:

- popularność sklepów z tanimi produktami, które imitują droższe, wynika z aspiracji polskiego społeczeństwa;
- pewna część Polaków nie uważa, że wydawanie pieniędzy na jednorazowe ubrania, słabej jakości szklanki czy plastikowe ozdoby jest czymś, co negatywnie wpływa na środowisko naturalne – a nawet jeśli, to coś od życia się należy, dlaczego mają żyć gorzej i brzydziej niż inni, zamożniejsi;
- lokalizacja sklepów w małych miastach jest kluczowa dla zrozumienia fenomenu zjawiska, który można nazwać „konsumpcjonizmem imitacji".

Konfrontuję te wnioski z ekspertką, która prowadzi badania zachowań konsumenckich w Polsce. – Na poziomie społecznym tanie markety dają poczucie przynależności – tyle osób szpera obok nas na półkach. Jednocześnie to są miejsca, które oferują namiastkę codziennego luksusu rozumianego nie jako jakość, ale jako emocja obfitości i nowości – mówi Marta Majchrzak z pracowni badawczej HERSTORIES. – W warunkach niepewności ekonomicznej i przeciążenia codzienną gonitwą, wiązaniem końca z końcem takie doświadczenia stają się współdzieloną realną wartością. Dla wielu kobiet, które na co dzień zarządzają domem, budżetem i emocjami innych, są to jedne z niewielu przestrzeni, w których mogą poczuć sprawczość i przyjemność.

Liczy się też to, w jaki sposób te sklepy są zaprojektowane.

– Pepco czy Action są dosłownie stworzone pod układ dopaminowy. Dopamina nie jest hormonem szczęścia, tylko neuroprzekaźnikiem motywacji i nagrody, który uruchamia się wtedy, gdy pojawia się obietnica przyjemności, nowości albo zysku. Jedni, szukając zakupowej dopaminy, wybiorą przeszukiwanie Vinted, inni pójdą do taniego marketu, w którym nagroda jest natychmiastowa, a kupowany produkt namacalny – tłumaczy psycholożka społeczna.

Ale ciekawią mnie też wątki ekologiczne, a mówiąc dokładnie: mimowolne zaprzeczenie katastrofie klimatycznej poprzez zakupy zbędnych przedmiotów. – Z badań wiemy, że im większe poczucie niepewności ekonomicznej, tym większa skłonność do sięgania po rzeczy, które dają natychmiastową ulgę, normalność lub iluzję luksusu. Wiedza o klimacie przegrywa nie dlatego, że jej nie ma, ale dlatego, że codzienne życie wymaga regulowania napięcia – tłumaczy mi Marta Majchrzak.

●

W latach dziewięćdziesiątych polski kapitalizm był agresywny, kolorowy i wszechobecny. Z rozkładanych łóżek na Placu Defilad sprzedawano ubrania i kiełbasę, ludzie zakładali firmy, przemycali papierosy, otwierali wypożyczalnie kaset VHS. Jednocześnie miliony zwolnionych z fabryk i Państwowych Gospodarstw Rolnych

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

LUKSUSOWO

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

lądowało na bruku, żyjąc przez lata z zasiłków. Potem weszliśmy do Unii Europejskiej, dzięki której poprawiła się nieco jakość usług publicznych, pojawili się stabilni i zagraniczni inwestorzy, nad Wisłą wydarzył się cud, tym razem gospodarczy.

Gdzieś na początku drugiej dekady XXI wieku, kiedy ideologia ciepłej wody w kranie zaproponowanej przez Donalda Tuska spotkała się z wyobrażeniem klasy średniej prezentowanej w takich serialach jak „Na Wspólnej" czy – w wariancie jeszcze bardziej aspiracyjnym, wielkomiejskim – „Magda M.", kapitalizm stał się na chwilę wyrafinowany. Firaneczki kupowane na metry na bazarze zastąpiły wyszukane zasłony, meblościanki zamieniliśmy na proste meble ze szwedzkich firm, a poliestrowe dywany w fikuśne wzory wyparły eleganckie panele i jeszcze elegantsze parkiety. Polacy zaczęli podróżować – nie tylko na zorganizowane wakacje z biur podróży – ale też na własną rękę, na weekend, na tydzień do popularnych europejskich stolic.

Dokładnie w tym samym czasie, mniej więcej 15 lat temu, na świecie zaczęli pojawiać się ewangeliści minimalizmu.

Amerykańska publicystka Becca Rothfeld w książce „Wszystko to zbyt małe. Eseje ku chwale nadmiaru" opisuje dosyć dokładnie ten trend, przypominając o autorach poczytnych poradników, którzy namawiali do wyrzucenia z mieszkania wszystkich nieużywanych na co dzień przedmiotów. Z domów powinny więc zniknąć wszystkie przeczytane książki, rzadko zakładane ubrania, stare szklanki, pamiątki z podróży, notatniki, kable, a nawet meble. W nowoczesnych mieszkaniach miało być biało, sterylnie, szpitalnie, transparentnie, ponieważ tylko w takiej przestrzeni mózg mógł naprawdę odpocząć i skupić się na tym, co najważniejsze – a więc na samym sobie.

Co ciekawe, choć w sumie niezbyt zaskakujące, tak samo było wcześniej z Bauhausem w architekturze czy z modernistycznym wzornictwem – minimalizm nie był czymś tanim: geometryczne ściany, dobrze zaprojektowane meble, nawet jeśli kupione w szwedzkiej sieci, wycyklinowany parkiet – to przecież wszystko kosztuje. Rothfeld: „Oferta sklepów Ikea przywodziła na myśl wnętrza zaprojektowane tak, jakby nie mieszkali w nich żywi ludzie. Była wyrazem zbytku upozowanego na niedostatek. Nie przypadkiem więc mania porządkowania naszej przestrzeni zbiegła się w czasie z modą na prostotę – kolejnym stanem, w którym wmawiamy sobie, że raduje nas to, czego nie umiemy zmienić".

A no właśnie: młoda Amerykanka wychodzi od krytyki kultury minimalizmu tylko po to, żeby skrytykować kapitalizm. Według niej prostota i pozorne skromne życie ukrywają prawdziwe problemy kapitalizmu, czyli nierówności ekonomiczne, prywatyzację instytucji publicznych czy koncentrację na interesach najbogatszych. „Bo większość postulujących równość modeli ekonomicznych obiecuje obywatelom jedynie tyle, ile im się należy, nic więcej. Wszelki nadmiar wzbudza podejrzliwość, toteż jeśli w ogóle w jakiejś formie ma wystąpić, wymaga szczegółowego usprawiedliwienia" – czytam we „Wszystkim zbyt małym".

Ale świat minimalizmu, oszczędności, skandynawskiej wstrzemięźliwości odchodzi na naszych oczach, choć Rothfeld jeszcze tego nie zauważyła. Pisarka nadal uważa, że „zewsząd wzywa się nas, byśmy czcili małość. Oferuje się nam dzisiaj krótkie książki pełne krótkich zdań, zawodowi odgracacze wnętrz pouczają nas, jak pozbyć się zbędnego zbytku, liczne praktyki medytacyjne mają sprawić, że oczyścimy umysły z myślenia i z wszelkich innych złogów, bombardują nas nostalgiczne apele ze strony apostołów wstrzemięźliwości seksualnej".

Dla wielu kobiet, które na co dzień zarządzają domem, napiętym budżetem i emocjami innych, sklepy typu Pepco, Dealz czy Action to jedne z niewielu przestrzeni, w których mogą poczuć sprawczość i przyjemność

A tymczasem bunt mas – klasy niższej średniej, prekariuszy i „błękitnych kołnierzyków" – rozkręca się w najlepsze. Tylko nie na ulicach, z paleniem opon pod ministerstwami i rzucaniem kamieniami w witryny domu towarowego Vitkac, ale z pomocą Blika przy kasach sklepów typu Pepco czy KiK. Bunt konsumpcyjny, manifestujący się poprzez „chcemy żyć jak »oni«".

Poradniki kapłanek minimalizmu zostały zastąpione promocjami, zakupami na chińskich platformach z dostawą do domu następnego dnia, nadmiarem drobiazgów oraz przedmiotów codziennego użytku taniutkich, ale imitujących drogie marki i modne gadżety, wyrzucaniem pieniędzy w błoto, ustawianiem na regałach i komodach kolejnych przedmiotów o estetyce „premium". Nie ma już skromnego życia, które miało chronić naszą planetę, nie ma Europejskiego Zielonego Ładu ani porozumień paryskich zakładających osiągnięcie neutralności klimatycznej do końca tego stulecia. Plastikowe rurki i jednorazowe reklamówki zastąpiliśmy jeszcze większą liczbą plastikowych kubeczków i jednorazowych zabawek, ubrań, długopisów, talerzy i innych śmieci.

Pamiętam doskonale euforię klimatyczną sprzed kilku lat, kiedy młodzieżowe strajki klimatyczne przechodziły przez największe europejskie miasta. Dzisiaj ci emerytowani aktywiści robią zakupy w sklepach z tanimi i tandetnymi produktami, a na sylwestra stroją dom w girlandy, które 1 stycznia lądują w śmietniku.

Być może ta rewolucja, która znalazła odzwierciedlenie w europejskim prawie zobowiązującym cały kontynent do oszczędzania energii, kupowania elektrycznych samochodów, zastępowania kopciuchów pompami ciepła i wygaszaniu elektrowni węglowych, nie mogła się udać. Ponieważ kraje rozwijające się chciały żyć tak, jak ich bogaci kuzyni z Zachodu, a ubożejące społeczeń-

eprasa.pl 5935e39405

stwa z USA, Anglii, Francji czy Hiszpanii postanowiły odzyskać dobrobyt, jaki był udziałem ich dziadków i rodziców – i zaczęły wierzyć, że przywrócą go im prawicowi populiści. Którzy zazwyczaj są klimatycznymi negacjonistami.

Atmosferę dzisiejszych czasów nie tworzą medytacja, uważność czy walka o klimat, tylko niewyobrażalne bogactwo z serialu „Sukcesja" i luksus z „Białego Lotosu". No ale dlaczego to wszystko ma tłumaczyć popularność Konfederacji?

Politycy skrajnej prawicy, dla których państwo i podatki są czymś podejrzanym oraz programowo niepotrzebnym, nie mówią o usługach publicznych, dostępności lekarza, tanim transporcie, mieszkaniu dla każdego. Budują wizerunek zdrowej i – co ważniejsze – szczęśliwej rodziny na skojarzeniach z sobotnim grillem we własnym ogrodzie, na własnym domu z katalogu, przy którym parkuje niedrogi, ale nowy SUV, najlepiej niemieckiej marki, z nowym, większym telewizorem co parę lat.

Słowem, Konfederacja przekonuje społeczeństwo, że ludzie powinni zarabiać dużo pieniędzy, a następnie je wydawać. Ten wizerunek pielęgnuje i potwierdza życiem Sławomir Mentzen, który zarobił miliony na tym, na czym zarabiają nielubiani przedstawiciele technokratycznej klasy wyższej, czyli na prowadzeniu kancelarii podatkowej – ale prezentuje się wyborcom jako człowiek obrotny, zaradny, pracujący na sukces w postaci niemieckiego samochodu premium i wakacji w Dubaju własnymi rękoma. Jak wy, przedstawicielki handlowe, monterzy okien i właścicielki kilkuosobowych firm remontowo-budowlanych.

Pół biedy, gdyby nie ciąg dalszy komunikatu Konfy: cały ten dobrobyt i konsumpcja muszą się opierać na kopaniu węgla, wydobywaniu ropy i spalaniu węglowodorów. Liberalni rynkowo, konserwatywni obyczajowo populiści odwołują się w ten sposób do skojarzenia, że tam, na Zachodzie, który po tylu wyrzeczeniach wreszcie doganiamy, było dostatnio, kiedy było „jak dawniej": bez ograniczeń emisji i innych „lewackich" regulacji.

●

Całkiem liczni inteligenci starej daty oraz przedstawiciele tak zwanej klasy kreatywnej w internetowych komentarzach potrafią wyciągnąć z tego wszystkiego wniosek, że – zbijając w jeden kilka najpopularniejszych motywów klasistowskiej krytyki – „ciemne 500 plus żyje »zastaw się, a postaw się«, zamiast wziąć się do roboty".

Tymczasem popularność sklepów z tanimi rzeczami mówi coś bardzo prostego: po latach wyrzeczeń Polacy w końcu stwierdzili, że mogą zacząć żyć po swojemu, upiększać niskim kosztem swoje mieszkania, jeździć samochodami – a że kilkunastoletnimi i spalinowymi, cóż, na takie nas stać – kupować online kilogramy ubrań czy butów, wywalać tony jedzenia, czyli żyć tu i teraz.

Rozumiejący szeroki, globalny kontekst krytycy powiedzą, że tańczymy na szalonym balu na „Titanicu". I rzeczywiście, kryzys klimatyczny jest faktem, tak jak wojna w Ukrainie, którą alt-prawicowi populiści chcieliby wyprzeć ze świadomości, bo kosztuje realnie, ciąży moralnie, budzi niepokój o własną przyszłość i przeszkadza cieszyć się mniej lub bardziej skromnym dobrobytem. A my, wiedząc, że kończy się XX-wieczny świat demokracji parlamentarnej, swobód obywatelskich, wzrostu gospodarczego, bezpieczeństwa militarnego, idei, praw człowieka, ignorujemy napędzane konsumpcją niszczenie naszej planety. Choć każda tragiczna susza, każda wojna o wodę, każda wielka powódź napędzają mechanizmy podkopujące ten ciężko wywalczony dobrobyt. Z rosyjską propagandą na czele.

Ale czy poczucie winy i zawstydzanie nie są właśnie tym, czego chcą i z czego korzystają Konfederaci, AfD i jej zwierciadlane lewicowe odbicie Die Linke, lepeniści ze Zjednoczenia Narodowego, trumpiści z Make America Great Again? W „Tygodniku Powszechnym" Paweł Bravo tak opisuje pomysł prawicowego *backlashu* na lewicową narrację unijnych technokratów: „Przez dekadę dźwignią sprzedaży i kształtowania oczekiwań była negatywność, brak, uwolnienie, odwołujące się do poczucia winy, strachu przed nieczystością i skazą. *Free From*. Bez glutenu, bez cukru, bez mięsa oczywiście. Bez takich czy śmakich grzesznych substancji. Wahadło się jednak właśnie ruszyło i od postu ruszamy w stronę karnawału, weszliśmy w epokę *Rich In*. Mamy się wzbogacać, wypełniać, być mocniejsi, spełnieni, wyżsi. Bardziej blond i niebieskoocy".

Jeśli porzuciłbym na chwilę elitarne pouczanie i tłumaczenie świata w stylu „»oni« są codziennie bombardowani reklamami nowych sprzętów AGD, a »ich« aspiracje rozbudzają seriale i portale społecznościowe", to ująłbym sprawę nieco łagodniej: trudno zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy w dzieciństwie oglądali, jak ich rodzice liczą każdą złotówkę z zasiłku czy pensji minimalnej, mieliby z własnej woli wyrzekać się nieco lepszego życia. Zwłaszcza gdy wiedzą, że ono może za parę lat – wszystko jedno, za sprawą Putina, Trumpa czy sztucznej inteligencji – się skończyć. Dlaczego nie mieliby za mniej niż 100 złotych kupić sobie do mieszkania czegoś, co przypomina luksus? Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego ludzie nie mieliby z sympatią spoglądać na polityków, którzy mówią: nie miejcie wyrzutów sumienia. Tyle że...

– Kupujemy, żeby odzyskać kontrolę i przywrócić poczucie normalności, a tym samym pogłębiamy wszelkie kryzysy. Obfitość, której tak byliśmy spragnieni, zaczyna przygniatać, a nowe rozwiązania stają się źródłem problemów – mówi Ewa Wasiewicz, badaczka z SONS Strategic Consultants. – I koło się zamyka, połykamy własny ogon.

Napompowana konsumpcja i polityka, która nie nakłada żadnych ograniczeń na wolny rynek, mają przerażające konsekwencje. Pytanie, jak będzie wyglądała reakcja na ten nieliberalny – w sensie nieludzki i przeciwny prawdziwym wolnościom – atawistyczny prawicowy kapitalizm. Bo gdy w latach trzydziestych do władzy dojdą socjaldemokratyczni populiści lub wojujący ekolodzy, na przykład z niemieckiej Grupy Wulkan, być może przywrócą sprawiedliwość społeczną i równowagę gospodarczą roztropnie: reformatorsko, z poszanowaniem przegranych idei i grup społecznych, z zachowaniem działających instytucji i zdobyczy wolnorynkowej gospodarki.

Ale równie dobrze odbudowa mitycznego dawnego, lepszego świata może wyglądać tak, jak w rewolucyjnej trumpistowskiej Ameryce: burzenie starego porządku, niszczenie tego wszystkiego, co uznajemy za symbol *ancien régime'u*. Można sobie wyobrazić wywłaszczanie zbyt dużych nieruchomości, burzenie centrów danych, które zużywają masę prądu i wody, czy zamykanie lotnisk, by zatrzymać odbieranie paszportów.

W wieku radykalizmów alternatywne społeczeństwo, o którym marzymy, może przybrać i taką formę. ●

Być może europejska ekologiczna rewolucja nie mogła się udać. Ponieważ kraje rozwijające się chciały żyć tak, jak ich bogaci kuzyni z Zachodu, a ubożejące społeczeństwa z USA, Anglii, Francji czy Hiszpanii zatęskniły za dawnym dobrobytem

Paragony dumy

Więcej o konsumpcji, aspiracjach Polaków, luksusie, zakupach małych i dużych:

- „Ikea na kwasie". Czemu milenialsi i zetki uzależniają się od Flying Tigera
- To miały być wymarzone wakacje. Łukasz wydał na rodzinny pobyt w Dubaju 38 tysiące
- Z kontem VIP Piotr dostał saloniki na lotnisku i Tindera premium. Dlaczego bogaci mają więcej
- Specjalista od luksusu: Nie kupuję narracji o młodym pokoleniu lekceważącym pieniądze
- „Już nie biorę długich kąpieli, manikiur raz na dwa miesiące, naczynia zmywam w zlewie, a zarabiam 7 tysięcy". Drożyzna dopadła klasę średnią
- 67 zł za jajecznicę. „Ludzie sobie tam zdjęcia robią". Skąd się biorą „paragony grozy"?
- Spora część luksusu ma znaczek „made in China". To po co przepłacać? Wybrałem się na zakupy po chińskie podróbki
- **na Wyborcza.pl/magazyn**

Codzienność do kontroli

Jak się nie bać, jak ufać ludziom i instytucjom, jeśli takie rzeczy dzieją się nawet w Szwajcarii

Agnieszka Kublik

Wsylwestrową noc w Szwajcarii wybuchł pożar. Nie żyje 40 osób, połowa nie miała 18 lat. 119 rannych wciąż w szpitalach. Przyczyny już znamy: nieodpowiedzialność, lekkomyślność, bylejakość, beztroska, nonszalancja, niedbalstwo, fuszerka, partactwo. No i pazerność. Miłość do kasy. Właściciele baru Le Constellation, którzy, jak czytamy, maksymalizowali zyski, zwężając schody i zagęszczając stoliki, dostali zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci, nieumyślnego doprowadzenia do obrażeń ciała i nieumyślnego doprowadzenia do pożaru.

Ale pianka dźwiękochłonna, która zajęła się od fontann zimnych ogni, choć łatwopalna, została dopuszczona przez kontrolerów bezpieczeństwa. Kiedy? Bo ostatnia inspekcja była w 2019 roku. Czyli od 6 lat nikt nie sprawdzał, czy to bezpieczny bar. Odpowiedzialni za okresowe kontrole przeciwpożarowe nie mają pojęcia dlaczego. Może dlatego w barze było za mało gaśnic i brakowało wyjść ewakuacyjnych.

Le Constellation miał licencję na alkohol, ale nie na prowadzenie dyskotek. A „szalone tańce do rana" widniały na zaproszeniach na Sylwestra. No i był tylko dla dorosłych, a zginęły tam dzieciaki.

Do cholery, czy teraz wybierając się na drinka, na obiad czy na tańce mamy żądać przy wejściu informacji o wynikach ostatniej kontroli przeciwpożarowej? Pytać o wyjścia ewakuacyjne? Sprawdzać, czy są wystarczająco szerokie? Szukać gaśnic? Domagać się informacji, z czego są ściany i czy nie z łatwopalnych materiałów?

Do cholery, czy teraz wybierając się na drinka, na obiad czy na tańce mamy żądać przy wejściu informacji o wynikach ostatniej kontroli przeciwpożarowej? Pytać o wyjścia ewakuacyjne? Szukać gaśnic?

W styczniu 2019 roku w pożarze escape roomu w Koszalinie zginęło pięć piętnastolatek. Jedyne okno było zabite deskami i okratowane, w budynku nie było dróg ewakuacyjnych. A nowo zatrudniony pracownik nie przeszedł żadnego szkolenia. W trakcie gry wyszedł z budynku rozmienić dziewczętom pieniądze, wrócił, gdy szalał pożar.

Do cholery, planując taką zabawę, trzeba sprawdzić dokumenty budynku i pracowników?

Policja z Gdyni we wtorek szukała faceta, który w Żabce wlał coś do butelki z octem. Odstawił ją na półkę i sobie poszedł. Na szczęście nagrała to sklepowa kamera.

Do cholery, mamy teraz w spożywczaku sprawdzać, czy w butelce z octem jest ocet? A w butelce z sokiem sok?

A halloweenowe cukierki z igłami czy pinezkami dla dzieciaków? Mięso z gwoździami na trawniku, by psy się skusiły?

Do cholery, mamy wszystko sprawdzać, przewidywać zagrożenia na każdym kroku? I się bać?

Ale druga strona medalu jest taka: im więcej wiemy, im więcej mamy informacji o takich przypadkach, tym bardziej jesteśmy świadomi, na co uważać, co sprawdzać. A przede wszystkim mamy świadomość, czego żądać od państwa: by wykonywało swoje obowiązki tam, gdzie od tego zależy życie.

Że procedury mogą zawieść, a fachowcy przymknąć oko lub o czymś zapomnieć nawet w Szwajcarii – to zła wiadomość. Że dziś wiemy o zagrożeniach, które kiedyś też istniały, ale nie mieliśmy ich świadomości – to dobra wiadomość. ●

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

Scenariusze na 2026 rok

Co musi się zdarzyć, by był lepszy

To na pewno nie będzie nudny rok. Czekają nas ważne wybory w wielu krajach świata, a Europa będzie musiała nie tylko wspierać Ukrainę i przyciskać Putina, ale też bronić się przed destrukcyjnymi działaniami Trumpa.

Imielski

Trudno być w dzisiejszych czasach optymistą, ale też świat pełen pesymistów niczego by nie osiągnął. Dlatego to będzie w kilku miejscach pozytywny scenariusz, który nie musi się sprawdzić. Choć bardzo bym chciał, żeby tak się stało.

Wcale nie było tak źle

Zacznę od wyliczenia kilku pozytywów z ostatniego roku. Dzięki wyborowi Donalda Trumpa i agresywnej polityce nowej amerykańskiej administracji wobec Europy unijni przywódcy zrozumieli, że nasz kontynent musi sam o siebie zadbać. Dziś nie chodzi już tylko o gospodarkę, która – to oczywiste – musi być bardziej innowacyjna i konkurencyjna, bo to przekłada się na portfele i zadowolenie obywateli.

Przyspieszyło wzmacnianie europejskich armii i zwiększanie wydatków na obronność, by Europa nie była bezzębnym tygrysiątkiem w sytuacji, gdy Rosja marzy o odrodzeniu imperium.

No właśnie, Rosja. Władimir Putin musi być cały czas w szoku, że Europa stoi murem za walczącą z rosyjską agresją Ukrainą i że nie udało się kremlowskim strategom i pieniądzom nas podzielić. Co więcej, Unia Europejska systematycznie ogranicza uzależnienie od rosyjskich surowców.

I tak powinno w 2026 r. pozostać, bo Europa właśnie potwierdziła swoją determinację we wsparciu Ukrainy – udzieliła jej wspólnie 90 mld euro pożyczki zabezpieczonej przyszłymi reparacjami ze strony Rosji. Szkoda tylko, że – na razie – zabrakło unijnym przywódcom odwagi, by po prostu skonfiskować zamrożone w UE rosyjskie aktywa warte ponad 200 mld euro. Ale to może kwestia czasu.

No i Ukraina. Sytuacja na froncie i nastroje społeczne wcale nie są tak złe, jak wielu próbuje je przedstawić. Od czasu rosyjskiej inwazji z lutego 2022 r. jeżdżę tam systematycznie, przede wszystkim na tereny przyfrontowe i cały czas jestem pod wrażeniem, jak działa ukraińskie państwo, instytucje takie jak koleje czy prywatna Nowa Poczta, jak wracają do życia miasta i wioski. I jak wciąż dobre są nastroje społeczne, choć – to też oczywiste – jest ogromne pragnienie, by już nikt nie ginął na froncie czy w bombowych atakach na ukraińskie miejscowości.

A jeszcze Mołdawia obroniła w wyborach parlamentarnych proeuropejski kurs, w Rumunii walkę o fotel prezydenta też wygrał proeuropejski kandydat.

Tyle pokrótce na start, czas przejść do przyszłości.

Mieszanie Putina i Trumpa

Zacznijmy od naszego kraju, i to będzie akurat pesymistyczna, realistyczna ocena. Po raz pierwszy od upadku komunizmu mamy sytuację, że w kluczowych sprawach bezpieczeństwa państwa prezydent tak otwarcie walczy z premierem.

Karol Nawrocki mianował na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza, który uważa Donalda Tuska za zdrajcę i w końcówce rządów PiS stał na czele komisji ds. rosyjskich wpływów, która miała lidera KO wyeliminować z życia politycznego.

To Nawrocki odmawia podpisania nominacji dla wielu ambasadorów, ostentacyjnie nie chce powołać niektórych sędziów, nie koordynuje działań na arenie międzynarodowej z rządem. Wreszcie blokuje nominacje oficerskie w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służbie Kontrwywiadu Wojskowego.

W sprawach współpracy małego i dużego pałacu nic się nie zmieni, a nawet pogorszy. To będzie rok, w którym Nawrocki będzie chciał jeszcze bardziej zaszkodzić rządowi, bo przecież już w 2027 r. są wybory parlamentarne. I będzie mimowolnie wspierał takie ugrupowania jak KKP Grzegorza Brauna, bo do dziś nigdy nie skrytykował jego działań.

Jest też prezydent zagorzałym trumpistą i jasno stawia interesy USA ponad interesami UE, której częścią jest Polska. Tacy ludzie są „użytecznymi idiotami" amerykańskiej administracji, która wprost mówi, że chce rozwalenia najważniejszego europejskiego projektu w historii. Czyli ma dokładnie taki sam cel jak Putin.

Putin może zostać przyparty do muru, bo ogromny zagrożeniem dla niego jest finansowe uzależnianie się od Chin, które wykorzystują słabość Rosji do rozszerzania wpływów w Azji

I tu przechodzimy do spraw przyszłych wyborów, które czekają Europę i świat. W wielu, jak dotychczas, będą chcieli namieszać Rosjanie. Ale i Trump i jego ludzie będą chcieli wspomagać „swoich" kandydatów. Tak jak zrobili to z Nawrockim, gdy do Rzeszowa przyjechała sekretarz bezpieczeństwa narodowego Kristi Noem. I na konferencji konserwatystów CPAC wprost powiedziała, że Nawrocki „musi zostać prezydentem", a wygrana Rafała Trzaskowskiego byłaby katastrofą podobną jak rządy Bidena.

Tak samo będzie w kwietniu na Węgrzech, gdzie Fidesz Viktora Orbana może po 16 latach stracić władzę. Partia TISZA Petera Magyara ma w sondażach nawet 10-12 pkt. proc. przewagi. Orban jest jednym z ulubieńców i Trumpa i Putina. Węgierski premier jako jedyny unijny przywódca spotyka się z rosyjskim watażką i nie podpisał się np. pod stanowiskiem UE ws. porwania przez USA wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro.

Przegrana Orbana – oby się ziściła – byłaby ogromną zmianą w wewnętrznej polityce UE i ogromną zmianą dla Węgier, które w ostatniej dekadzie zapadają się w oligarchicznym, skorumpowanym systemie. A sami Węgrzy biednieją w bardzo szybkim tempie.

Wyborów w UE będzie więcej. I w każdych Amerykanie będą chcieli zamieszać, stawiając na siły antyeuropejskie. W marcu głosowanie odbędzie się w Słowenii, w maju na Cyprze, we wrześniu w Szwecji, w październiku w Danii. Będą też kolejne w ostatnich latach w Bułgarii, bo w grudniu znów upadł tam rząd.

Jest szansa, że mimo rosyjskiej dezinformacji, wsparciu platform cyfrowych kontrolowanych m.in. przez Elona Muska i bezpośrednim zaangażowaniu się administracji Trumpa wszędzie wygrają proeuropejscy, antyputinowscy liberalni demokraci.

Ameryka też zagłosuje

A przecież są wybory i w świecie. W maju swojego prezydenta będą wybierać Kolumbijczycy, a obecny Gustavo Petro startować już nie może. Trump i jego ludzie od dawna grożą Petro, a po porwaniu Maduro to nie są słowa rzucane na wiatr. Kolumbia wciąż jest miejscem, gdzie produkuje się mnóstwo narkotyków trafiających na rynek USA i do Europy, a państwo nie może sobie z tym poradzić.

W październiku o przedłużenie swojej władzy powalczy w Brazylii prezydent Lula da Silva, którego Trump szczerze nienawidzi, za to lubi Putin. W dodatku jednym z kontrkandydatów Luli będzie Flavio Bolsonaro, syn uwięzionego poprzedniego prezydenta Jaira Bolsonaro, skazanego za próbę zamachu stanu. Biały Dom uznaje wyrok dla Bolsonaro za polityczne prześladowanie.

Najpóźniej w październiku muszą się też odbyć wybory w Izraelu, a Benjamin Netanjahu może stracić po nich władzę. A jest to największy międzynarodowy sojusznik Trumpa, który walczy nie tylko o polityczną przyszłość – wisi nad nim widmo skazaniu w trwającym już pięć lat procesie korupcyjnym, w którym zarzuca mu się przekupstwo, oszustwo i nadużycie zaufania.

Netanjahu boi się tego jak ognia i w listopadzie zeszłego roku złożył do prezydenta Izaaka Herzoga wniosek o ułaskawienie. Decyzji jeszcze nie ma, a w Izraelu niezwykle rzadko zdarzają się ułaskawienia przed zapadnięciem wyroku.

Utrata rządów przez obecną koalicję oznaczałaby, że władzę stracą też liderzy skrajnie prawicowych ugrupowań, jak minister finansów Becalel Smotricz.

Bardzo ważne głosowanie odbędzie się w listopadzie w samych Stanach Zjednoczonych, tzw. połówkowe. Amerykanie wybiorą całą Izbę Reprezentantów i 35 ze 100 senatorów. Nastroje wśród Republikanów są dziś kiepskie, bo wbrew tromtadracji Trumpa gospodarka nie rozwija się dobrze, nakładanie na świat cła nie przyniosły profitów, za to spowodowały wzrost cen w USA.

Może się więc okazać, że w Kongresie dojdzie do zachwiania władzy – Demokraci przejmą Izbę i zmniejszą przewagę Republikanów w Senacie. A co do Trumpa – właśnie dołuje on w sondażach, i jest to trend spadkowy od kwietnia 2025 r. Te problemy mogą spowodować wzrost oporu wobec jego polityki w obozie samych Republikanów i tym samym większą racjonalizację polityki Białego Domu.

Putinowi jak najgorzej

Być może będzie to też miało wpływ na zaostrzenie kursu ekipy Trumpa wobec Putina. I być może zamiast mizdrzenia się do watażki z Kremla Amerykanie przykręcą mu maksymalnie śrubę. Tak, by rosyjska gospodarka, która już ma potężne problemy, jeszcze bardziej się zapadnie i zmusi Kreml do prawdziwych i racjonalnych rozmów o zakończeniu rozlewu krwi w Ukrainie.

Zapytałem żołnierzy z oddziału specjalnego Kraken, którzy byli i są na najtrudniejszych odcinkach frontu, jak wyobrażają sobie zakończenie walk. Odpowiedzieli, że nie są naiwni i nie wierzą w wycofanie się Rosjan z zajętych terenów. Dlatego należy zamrozić linię frontu, Kijów de iure nie zrzeka się żadnych terytoriów, a przyszłość okupowanych ziem to zadanie dla dyplomacji.

I tu dodali trzy ważne elementy: w Ukrainie, w strefie przyfrontowej, natychmiast zostaje rozlokowany międzynarodowy kontyngent wojsk z udziałem państw NATO, sankcje na Rosję nie są znoszone automatycznie, a Kijów dostaje olbrzymie fundusze na odbudowę.

To może się wydarzyć, jeśli USA, Europa i inne kraje wspierające Ukrainę, takie jak Kanada będą w końcu działać wspólnie. Pozytywy już są – Francja i Wielka Brytania ogłosiły, że po zawieszeniu walk wyślą swoich żołnierzy do Ukrainy, a kilka innych państw, w tym Polska, zapewni np. wsparcie logistyczne.

Putin może zostać przyparty do muru, bo ogromnym zagrożeniem dla niego jest finansowe uzależnianie się od Chin, które przy okazji wykorzystują słabość Rosji do rozszerzania swoich wpływów w Azji Centralnej. I mimo wszystko musi liczyć się z niepokojami społecznymi, jeśli dojdzie do ekonomicznej zapaści. Bo mimo rządzenia twardą ręka do dziś nie zdecydował się na dużą mobilizację ludzi z ważnych ośrodków miejskich takich jak Moskwa, Petersburg, Kazań czy nawet Jekaterynburg. Jednym z powodów jest spadający poziom życia Rosjan.

A Putin też ma wybory parlamentarne, prawdopodobnie we wrześniu. Jest oczywiste, że niespodzianki nie będzie i putinowska Jedna Rosja je wygra, ale kampania wyborcza nawet w dyktaturze może spowodować, że ludzie zaczną szeroko szeptać o swoich problemach wywołanych agresją na Ukrainę.

Na koniec życzę nam, liberalnym demokratom na całym świecie, oraz Ukrainie jak najlepiej. Za to wszelkim antydemokratom o zamordystycznych zapędach, Putinowi i wszystkim jego sojusznikom, także tym w Polsce, jak najgorzej. Przypominam jednak, że demokracja umiera w ciszy i sama się nie obroni. Trzeba się więc mobilizować i o nią walczyć.

Roman Imielski

eprasa.pl 5935e39405

JA JESTEM RUBIO. NIE, TO JA JESTEM RUBIO!

Kłody pod nogi Nawrockiemu rzuca jego własne otoczenie

Dominika Wielowieyska

Na linii Pałac Prezydencki – rząd iskrzy bez przerwy. Zarówno w polityce międzynarodowej, jak i wewnętrznej. O ile w sprawach krajowych to oczywiste: mamy dwa konkurujące obozy, o tyle na polu dyplomacji jest to szkodliwe. I choć konflikt będzie się zawsze tlił, czemu trudno się dziwić, to jednak warto zrobić wszystko, aby Polska prezentowała spójne stanowisko w kluczowych sprawach, dotyczących bezpieczeństwa. Tym bardziej że na szczęście w kwestii agresji Rosji i wojny w Ukrainie oba ośrodki władzy mają takie samo zdanie.

Na piątek zaplanowano spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z premierem Donaldem Tuskiem. Panowie omówili strategię, próbują dogadać się w sprawie priorytetów w polityce międzynarodowej na najbliższe miesiące. I dobrze. Ale w teatrze politycznym niewiele to zmieni, tarcia nie ustaną.

Porozumienie między „dużym" a „małym" pałacem, czyli rządem, jest często niemożliwe także z tego powodu, że w otoczeniu samego Nawrockiego naprawdę buzuje. A skoro frakcje wokół prezydenta walczą ze sobą, to Kancelarii Prezydenta trudno ustalić jedną strategię w sprawie kontaktów z administracją rządową. Kto z kim walczy? Napięcie widać między Marcinem Przydaczem, ministrem odpowiedzialnym w Pałacu Prezydenckim za sprawy zagraniczne a Sławomirem Cenckiewiczem, szefem prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Częścią problemu są relacje z Waszyngtonem. Ludzie prezydenta rywalizują w sferze kontaktów z Marco Rubio, który jest nie tylko sekretarzem stanu, ale także doradcą prezydenta Donalda Trumpa do spraw bezpieczeństwa. Ta druga funkcja – słyszę w PiS – jest najważniejsza, bo ten doradca ma gabinet blisko prezydenta i zyskuje poważny wpływ na decyzje Białego Domu. Więc powstaje pytanie: czy odpowiednikiem dla Rubio jest Przydacz, czy Cenckiewicz. Każdy z nich aspiruje do tej roli. Ale obaj zgodnie zirytowali się faktem, że wiceminister spraw zagranicznych Robert Kupiecki także zyskał funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego – tylko że u premiera. To nazwa adekwatna do funkcji Rubio. PiS uznał, że to próba zabrania jego prezydentowi kontaktów z ważną osobą w Białym Domu.

Wzajemna niechęć Przydacza i Cenckiewicza była opisywana wielokrotnie. Ostatnia kłótnia dotyczyła grudniowej wyprawy przedstawicieli BBN do Waszyngtonu. Generałowie Andrzej Kowalski i Adam Rzeczkowski to wojskowi kojarzeni z PiS, związani niegdyś z Antonim Macierewiczem, a towarzyszył im wiceszef gabinetu prezydenta Nikodem Rachoń, brat pracownika TV Republika i gwiazdy pisowskich mediów Michała Rachonia. Doszło do żenującej sytuacji, bo Kowalski, Rzeczkowski i Rachoń kazali attaché wojskowemu generałowi Krzysztofowi Nolbertowi siedzieć w samochodzie i nie pozwolili mu uczestniczyć w spotkaniu.

Przydacz się wściekł, bo co prawda Nolbert pracuje w ambasadzie z szefem placówki Bogdanem Klichem, co brzmi jak pocałunek śmierci – Klicha, ministra obrony w koalicji PO-PSL, środowisko Jarosława Kaczyńskiego obsadziło PiS po katastrofie smoleńskiej w roli czarnego luda winnego zaniedbań w lotnictwie rządowym – ale w Waszyngtonie służy od czasów PiS. I jest postrzegany jako osoba z kręgu byłego prezydenta Andrzeja Dudy. Przydacz się z nim spotykał, współpracował na polu budowania relacji z Pentagonem. Podobno do tej sytuacji doszło za sprawą Rachonia, ale wiele wskazuje, że to kolejna odsłona rywalizacji prezydenckiego ministra i Cenckiewicza.

Onet sugeruje, że Przydacz był bliski przekonania Nawrockiego, by szefa BBN, mimo całej sympatii i wdzięczności prezydenta wobec dawnego mentora w IPN, wymienić na kogoś innego i generalnie przebudować całe Biuro – ale „Wyborcza" opisała spór o leki, które brał Cenckiewicz, wskazując, o jakie substancje chodzi. Służby odmówiły szefowi BBN dostępu do informacji niejawnych, argumentując, że nie podał wszystkich szczegółów swojej terapii. Cenckiewicz sugerował, że w zasadzie chodziło o coś w rodzaju paracetamolu. „Wyborcza" podała, że to nieprawda.

Zdaniem informatorów Onetu artykuł o lekach wywołał falę współczucia dla Cenckiewicza i zablokował dymisję – Nawrockiemu nie wypadało w takiej sytuacji odwołać szefa BBN. Jednak moi rozmówcy argumentują, że nie ma szans, aby prezydent wyrzucił Cenckiewicza, bo ich relacje są bardzo bliskie. Ludzie z centrali PiS na Nowogrodzkiej wątpią też, że artykuł w „Wyborczej" mógł wpłynąć na decyzję Nawrockiego.

●

Tak czy siak, konflikty w Pałacu Prezydencki toczą się w najlepsze. Nie tylko między BBN a Przydaczem, ale też między nimi a większością Kancelarii Prezydenta kierowanej przez Zbigniewa Boguckiego. Dodatkowo napięcie pojawia się między Rachoniem a Pawłem Szefernakerem, szefem gabinetu prezydenta opromienionym skuteczną kampanią kanwydata, w którego mało kto wierzył – bo obaj mają ambicję odgrywania najważniejszej roli w otoczeniu głowy państwa.

Możliwe, że po piątkowym spotkanie Tuska i Nawrockiego osłabną nie tylko wojenki w sprawie polityki zagranicznej. Może napięcie opadnie także w innych sprawach. Słyszę, że prezydent zmotywował Cenckiewicza do zmiany frontu

Przeciwnicy Cenckiewicza wskazują, że BBN wsadził Pałac Prezydencki na minę w sprawie myśliwców, które rząd obiecał Ukraińcom, bo oburzony Nawrocki ogłosił, że nic nie wie o wysyłaniu MiG-ów 29 do Ukrainy, tymczasem przedstawiciel BBN generał Mirosław Bryś był na spotkaniu z przedstawicielami Ministerstwa Obrony, gdzie była o tym mowa. Zazwyczaj powściągliwy i pielęgnujący dobre relacje z Pałacem Prezydenckim szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz tym razem nie gryzł się w język i ostro wypowiedział się o tej dezinformacji w TOK FM.

Inni moi rozmówcy trochę podśmiewają się z Przydacza, który przed świętami w TOK FM mówił, że odbywają się rozmowy telefoniczne Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem. – Popłynął, żadnych rozmów wtedy nie było, nie wiadomo po co to opowiadał – dowiaduję się w rządzie. Do połączenia doszło dopiero w drugi dzień świąt, 26 grudnia, a dwa dni potem prezydent brał udział w telekonferencji z udziałem Trumpa, Wołodymyra Zełenskiego i europejskich przywódców. – Tak naprawdę Nawrocki jest skuteczny w wypychaniu Tuska ze spotkań z Trumpem, ale całkowicie nieskuteczny, jeśli chodzi o załatwianie spraw zgodnie z polskim interesem – słyszę.

●

Na przełomie starego i nowego roku obserwowaliśmy spektakl pod tytułem „Kto komu nie przysłał notatki ze spotkań międzynarodowych".

Politykę zagraniczną prowadzi rząd, a prezydent ma z nim współpracować i reprezentować Polskę na świecie. W związku z tym oba ośrodki powinny sporządzać notatki z takich spotkań i informować się nawzajem o ich przebiegu. Ale tak się nie dzieje. Ministerstwo Spraw Zagranicznych oskarżało Pałac Prezydencki o brak notatki z rozmów Nawrockiego z Trumpem i z telekonferencji dotyczącej Ukrainy. Rzecznik Maciej Wewiór publicznie stwierdził, że resort nie otrzymał takich dokumentów od miesięcy, co utrudnia koordynację polityki zagranicznej. Wiceminister Marcin Bosacki narzekał na opóźnienia lub brak notatek z kluczowych wydarzeń. Na to minister Przydacz odparł, że rząd – czyli kancelaria premiera i MSZ – nie wysyła notatek z międzynarodowych spotkań premiera Tuska.

Czy wojenki podjazdowe przybiorą na sile? Możliwe, że piątkowe spotkanie Tuska i Nawrockiego spór załagodzi. Może napięcie opadnie także w innych sprawach. Słyszę, że prezydent zmotywował Cenckiewicza do zmiany frontu. Ostatnio szef BBN, od zawsze krytyk rządów Tuska i tropiciel jego samego, wystąpił w roli gołąbka pokoju. W rozmowie z Michałem Rachoniem na antenie Republiki oznajmił, że jest autorem kompromisowego pomysłu dotyczącego spotkania prezydenta z szefami służb specjalnych.

Awantura w tej sprawie wybuchła w listopadzie, kiedy to szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki wysłał do wszystkich szefów służb zaproszenie na „odprawę" do Pałacu Prezydenckiego. Pozostało bez odpowiedzi, bo szefowie służb podlegają premierowi, a nie prezydentowi i głowa państwa nie ma kompetencji organizowania „odpraw". W odwecie Nawrocki zablokował awanse młodych funkcjonariuszy na pierwszy stopień oficerski. Powszechnie uważano, że za wszystkim stoi Cenckiewicz – on jednak na platformie X z lekka się dystansował od tych decyzji. A teraz ogłosił, że sam zaproponował kompromis.

– Mogę to ujawnić po raz pierwszy. Ja zaproponowałem w rozmowie z jednym z ministrów, z ministrem Zalewskim z MON, w ramach kompromisu, zresztą skonsultowałem to wcześniej z panem prezydentem, taki model spotkania, w którym szefowie służb przyszliby z ministrem koordynującym czy ministrem nadzorującym te służby, więc w przypadku służb wojskowych, Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego, byłby to wicepremier Kosiniak-Kamysz – mówił Cenckiewicz dwa dni temu na antenie telewizji Tomasza Sakiewicza.

W rządzie nikt nie słyszał o tym, że to inicjatywa Cenckiewicza. – Po prostu Kosiniak-Kamysz rozmawiał o tym z Nawrockim, a potem rozmawiał z premierem i odpowiedzialnym za służby specjalne Tomaszem Siemoniakiem. Do spotkania dojdzie, zobaczymy, co z tego wyniknie – mówi mi jeden z członków gabinetu. Inny dodaje, że słyszał, iż Cenckiewicz kajał się za numer z generałem Nolbertem.

●

Poważnym problemem pozostaje brak nominacji dla ambasadorów. Minister Przydacz w środę rano w TVN24 zapowiedział, że w styczniu ma dojść do spotkania w tej sprawie, ale powtórzył, że brak porozumienia to wina MSZ, które lekceważy rolę prezydenta w tym procesie. Ponownie zażądał od resortu Radosława Sikorskiego wyjaśnień, dlaczego z placówek odwołano 50 ambasadorów.

Nie wspomniał jednak, że PiS także dokonał gremialnej wymiany ambasadorów, gdy doszedł do władzy w 2015 roku. A wicepremier i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w rozmowie z „Wyborczą" mówił, że wysyła do kancelarii premiera różne kompromisowe wersje dotyczące obsady placówek dyplomatycznych, ale pozostają bez odpowiedzi.

Z moich rozmów w PiS wynika, że właśnie z powodu wewnętrznych konfliktów w kancelarii prezydenta „duży pałac" nie jest w stanie przyjąć spójnej koncepcji rozmów z MSZ. Przydacz byłby gotów na kompromis, ale inni politycy z otoczenia Nawrockiego boją się, że ustalenie listy ambasadorów będzie postrzegane jako sukces Sikorskiego.

A z PiS płyną sygnały, że z kim jak z kim, ale z nim – dawnym prawicowcem, który zna mentalność tego środowiska na wylot, jednym z najbardziej liczących się w świecie polskich polityków i być może przyszłym kandydatem na prezydenta – nie należy się dogadywać. Więc jeśli Nawrocki zdecyduje się jednak na jakieś porozumienie i będzie mianował ambasadorów, to stanie się to wbrew woli samego Jarosława Kaczyńskiego. ●

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z PROBLEMÓW TRZEBA WYCIĄGNĄĆ SIĘ SAMEMU

Polityka to sztuka tego, co jest możliwe. Ale nie załatwia się tego przez media, tylko w rozmowach z partnerami z rządu – mówi Ryszard Petru, który chce szefować Polsce 2050.

Z **RYSZARDEM PETRU**
ROZMAWIA **WITOLD GADOMSKI**

WITOLD GADOMSKI: Pana kariera w polityce i życiu publicznym była prawdziwym rollercoasterem – od spektakularnych sukcesów po dotkliwe porażki. Czego nauczyły pana te doświadczenia, jak dziś je pan bilansuje i dlaczego chce pan stanąć na czele Polska 2050 jako jej przewodniczący?
RYSZARD PETRU: To dotyczy nie tylko mnie. Politycy, którzy przez ostatnie lata rządzili Polską, przeszli przez swego rodzaju rollercoaster. Mówię tu o Donaldzie Tusku, który nie wprowadził Kongresu Liberalno-Demokratycznego do Sejmu w 1993 roku, i Jarosławie Kaczyńskim, którego Porozumienie Centrum stało się partią kanapową. Nie wspominając o trudnej drodze Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Włodzimierza Czarzastego.

Sukcesy mało uczą, uczą porażki. Trzeba rozmawiać z ludźmi, szczególnie ze swoim zapleczem, z posłami, ze strukturami. Trzeba mieć dla nich czas i atencję. Sukces nie jest dany na zawsze. Lider jest odpowiedzialny za wszystkie błędy, nawet jeśli tak sam nie uważa. Z problemów samemu trzeba się wyciągnąć za włosy. I za bardzo nie można liczyć na innych w trudnych sytuacjach. A polityka to nie sprint, tylko maraton.

Dlaczego poparcie dla Polski 2050 jest bliskie zeru? Poza parlamentem trudno zauważyć jakąkolwiek aktywność partii.
– Zabrakło nam umiejętności twardych negocjacji wewnątrz koalicji, które zobaczyliby nasi wyborcy. Na szczęście jesteśmy w rządzie i mamy ostatnią szansę, żeby pokazać skuteczność.

Dotychczas Polska 2050 nie realizowała programu, który w 2023 roku poparli nasi wyborcy. Mieliśmy w programie dużo postulatów korzystnych dla przedsiębiorców, takich jak między innymi obniżenie składki zdrowotnej czy urlop chorobowy płacony od pierwszego dnia przez ZUS. Mało z tego udało się zrealizować.

Z kolei Szymon Hołownia, startując w wyborach prezydenckich, starał się mówić do 50 procent Polaków, więc w jego programie postulaty ważne dla przedsiębiorców zostały siłą rzeczy rozmyte. Nasz oryginalny program był skierowany do 20-30 procent wyborców, z czego mieliśmy nadzieję pozyskać połowę, czyli 10-15 procent.

Wersja wyrazista, centrowa, racjonalna gospodarczo, zawierająca także elementy mądrej polityki socjalnej została rozmazana. Dlatego część naszego elektoratu z 2023 roku przeszła do Konfederacji, na co wskazuje znaczna zwyżka notowań partii Mentzena w porównaniu z 2023 rokiem.

Dodatkowo, wewnątrz ugrupowania niektórzy moi konkurenci w Polsce 2050 odeszli od pierwotnego programu, proponując rozmaite podwyżki podatków lub wprowadzenie nowych (choćby kataster) czy też konfliktując się z grupami przedsiębiorców, na przykład deweloperami. Starają się nawet pozyskać elektorat na lewo od Lewicy, co moim zdaniem jest zupełnym nieporozumieniem.

Czy wasza partia w ogóle poza parlamentem istnieje?
– Kierownictwo nie zadbało wystarczająco o struktury, o obecność we władzach samorządowych, które mają ogromne znaczenie dla siły i trwałości partii. Ale ci, co zostali, to swego rodzaju pierwsza kadrowa, ludzie, którzy wierzą w sens oraz mają energię i chęć zmiany. Trzeba im teraz stworzyć szanse do działania i zapewnić sprawczość.

Przekaz centralny nie zawsze jest tym, jakiego oczekują. I jeszcze pojawiają się pomysły wychodzenia z rządzącej koalicji.

eprasa.pl 5935e39405

Są takie?
– To wyraz emocji i poczucia nieskuteczności. To skrajnie głupie i nieodpowiedzialne. Wiemy, jak to się kończy. Unia Wolności wyszła z koalicji z AWS w 2000 roku, uznając, że jej program nie jest realizowany, ale wyborców to nie przekonało. Negatywnie ocenili rząd, w którym Unia była przez trzy lata i była zań współodpowiedzialna. W konsekwencji partia przestała istnieć. AWS zresztą też. Jeżeli ktoś jest nieskuteczny, to powinien uderzyć się w pierś, przyznać to, a następnie skorygować działanie. Każde z ugrupowań tworzących koalicję walczy o swoje i nie możemy mieć do nich pretensji, że są bardziej skuteczni od nas. Polska 2050 powinna skupić się na kilku punktach i o nie walczyć w ramach rządzącej koalicji. Polityka to sztuka tego, co jest możliwe. Ale nie załatwia się tego przez media, tylko w rozmowach z partnerami z rządu.

A czy wśród działaczy, a zwłaszcza parlamentarzystów Polski 2050, jest w ogóle przekonanie, że to ma być partia prorynkowa, przyjazna dla przedsiębiorców?
Tu możemy znaleźć porozumienie z koalicjantami, akcentując korzyści gospodarcze, pamiętamy też o aspekcie społecznym. Czy to jest liberalizm? Nie, to jest pragmatyzm. Jeśli Polska 2050 chce być wyrazista i skuteczna, musi apelować nie do wszystkich, ale do jasno określonej grupy wyborców. Wtedy będzie miała szansę na dobry wynik i wejście do przyszłego, koalicyjnego rządu. Wyróżnij się albo zgiń. Musimy zawęzić nasz przekaz do trzech punktów:
• przedsiębiorczość;
• rozsądna transformacja energetyczna, ale nie kosztem społeczeństwa;
• mądra polityka społeczna – na przykład zwolnienie z podatku dodatkowych dochodów emerytów do 5 tysięcy złotych miesięcznie. To kosztowałoby budżet od 1 do 2 miliardów złotych netto, ale dałoby dodatkowe dochody dzięki aktywizacji emerytów.

Mówi pan: żadnych nowych podatków lub wzrostu tych już istniejących. Domaga się pan obniżki składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Ale wiemy, jak fatalna jest sytuacja budżetu. Ma pan pomysł na obniżenie deficytu i ustabilizowanie poziomu długu, który według rządowych wyliczeń do końca dekady zbliży się do 80 procent PKB?
– Wprowadzenie progu dochodowego w ramach programu 800+ da oszczędności, w zależności od poziomu tego progu – 8, 10, a nawet 15 miliardów złotych. To jest zresztą pomysł społecznie popularny, a politycy się tego boją. Dziś najbogatsze 20 procent rodzin otrzymuje z tego programu 13 miliardów złotych, a 20 procent rodzin najbiedniejszych – 12 miliardów złotych. Absurd jest widoczny gołym okiem.

Ograniczenie programu 800+ nie wystarczy, by ustabilizować dług.
– Potrzeba nowego podejścia, aby za te same pieniądze lepiej zorganizować nasz kraj. Jest wiele możliwości racjonalizacji wydatków w kilku obszarach, a poza tym mamy ogromną rezerwę w postaci majątku produkcyjnego należącego do skarbu państwa. Nie widzę powodu, by hotele, fabryki cukierków czy sklejki były państwowe. Trzeba uruchomić na nowo prywatyzację, która została przerwana przed dziesięciu laty. To pozwoli obniżyć dług, a tym samym koszty jego obsługi, które stanowią coraz większą część wydatków budżetu państwa. A część przychodów z prywatyzacji przekazać na armię.

Oczywistym polem racjonalizacji wydatków jest ochrona zdrowia. Mamy tu do czynienia z niewłaściwą wyceną kontraktów. W szpitalach są procedury, które generują straty, i takie, które przynoszą zyski. Nie ma próby zmiany wycen, gdyż to jest kłopotliwe. Zresztą centralny planista, jak wiemy z doświadczenia, nie potrafi wyznaczyć właściwych cen. W służbie zdrowia potrzebne są elementy konkurencji, która wymuszałaby obniżki kosztów. Taką konkurencję mogłyby wymusić kasy chorych, które zostały, niestety, przez rząd Millera zlikwidowane. W tej kadencji Sejmu nie ma mowy o dużej reformie systemu opieki zdrowotnej, ale taka reforma jest konieczna. Gdyby ze sobą konkurowało kilka funduszy (państwowych), można by porównywać ich koszty i sposób wyceniania procedur medycznych.

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

• 24.12.2024. Ryszard Petru pracował w Biedronce w Miasteczku Wilanów, w ramach krucjaty przeciw wolnej Wigilii

Silna gospodarka daje państwu nie tylko środki finansowe na obronność, lecz także stabilność, odporność na kryzysy oraz zdolność do długofalowego planowania

Rząd przewiduje duże wydatki na inwestycje publiczne. To też będzie znacznym obciążeniem dla budżetu.
– Większość inwestycji w energetykę może być realizowana prywatnie. To mogą być po prostu zyskowne przedsięwzięcia i nie ma potrzeby, by rząd je finansował. Duże rezerwy są w ciepłownictwie. Dziś każde miasto lub aglomeracja ma lokalny monopol naturalny – jedną sieć i jednego głównego operatora. Wystarczy uruchomić konkurencję, by przy dość niskich nakładach inwestycyjnych rachunki za ogrzewanie spadły. Państwo po prostu nie powinno przeszkadzać.

Dziewięć miliardów złotych wydajemy na górnictwo, które jest trwale deficytowe. Nie możemy tej branży dofinansowywać w nieskończoność. Warto też naprawiać system podatkowy, usuwając zbyt skomplikowane i niejasne przepisy. W wielu przypadkach są niesprawiedliwe, dają możliwość unikania podatków na przykład poprzez ceny transferowe, z czego korzystają wielkie umiędzynarodowione firmy. Tym samym firmy małe i średnie, które stanowią sól polskiej gospodarki, są pokrzywdzone.

Kolejna sprawa – wydajemy dużo na zbrojenia i to w najbliższych latach się nie zmieni. Jeżeli pieniądze te są przeznaczane tylko na zakup sprzętu za granicą, to z punktu widzenia gospodarki są stracone, wręcz „spalone". Trzeba wspierać krajowych, prywatnych producentów, którzy będą korzystać na koniunkturze w przemyśle zbrojeniowym. To może też być źródłem innowacji promieniujących na całą gospodarkę.

A jak idą projekty deregulacyjne w komisji, której pan przewodniczy?
– Przyjęliśmy ponad 70 projektów, ale wciąż przed nami głębokie zmiany, które mogłyby poprawić funkcjonowanie gospodarki. W krajach skandynawskich deregulacja była sposobem na zneutralizowanie efektu państwa socjalnego. Chodziło o zmniejszenie liczby przepisów powodujących w efekcie wzrost kosztów produkcji. My stoimy przed podobnym wyzwaniem. Rosną w Polsce koszty wynagrodzeń, przestajemy być pod tym względem krajem konkurencyjnym. Wyższe niż w większości krajów europejskich są koszty energii.

Kiedyś postawiliśmy na centra usług wspólnych. Działa ich w Polsce około dwóch tysięcy i zatrudniają ponad 450 tysięcy osób. ABSL, czyli Stowarzyszenie Liderów Usług Biznesowych, podało niedawno, że wkrótce zniknie z tej branży 200 tysięcy miejsc pracy. Przeniosą się do krajów tańszych, na przykład do Rumunii. To może być w niektórych miastach duży problem. Na przykład w Krakowie może zostać zwolnionych 100 tysięcy osób, które łatwo pracy nie znajdą. Będą musiały się przekwalifikować.

Jeżeli nie chcemy, by bezrobocie znów stało się problemem strukturalnym, musimy zmniejszyć koszty regulacyjne dla małych i średnich firm. Niektóre ustawy proponowane przeze mnie i Polskę 2050 są w Sejmie blokowane. Proponowaliśmy na przykład, by urzędy skarbowe nie mogły wchodzić na rachunki bankowe bez zgody sądów. Leży to wciąż w Komisji Finansów Publicznych. Z kolei w Komisji Polityki Społecznej tkwi propozycja handlowych niedziel. Ustawa o składce zdrowotnej dla przedsiębiorców nie miała jeszcze pierwszego czytania (druk 526). Ustawa, która mówi, że kontrola skarbowa, która wchodzi do firmy tuż przed końcem okresu przedawnienia, nie może tego przedawnienia wydłużać – czeka w Sejmie na drugie czytanie. Nie wiadomo, kiedy do niego dojdzie. To pokazuje, że przed nami wciąż jest duży deregulacyjny zryw, który gospodarce jest bardzo potrzebny.

Nie narzekam, robię swoje. Gdyby proponowane ustawy przeszły, część wyborców Konfederacji zagłosowałaby na nas, na Polskę 2050, która najmocniej domaga się ich uchwalenia. A tym samym na rządzącą obecnie koalicję.

Wygląda na to, że Mentzen z Bosakiem, mając 12-15 procent poparcia, będą za dwa lata rozdawali karty i decydowali o przyszłej koalicji. Czy Polska 2050, działając bardziej aktywnie, odbierze głosy Konfederacji czy raczej Koalicji Obywatelskiej?
– Z badań realizowanych po wyborach prezydenckich wynikało, że nasz elektorat z 2023 roku w części zagłosował na Mentzena, ale przede wszystkim pozostał w domu.

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

Zrobię wszystko, by zabrać głosy Konfederacji, rozumiem jej wyborców. Są do pozyskania. Nie w całości, nie elektorat narodowy, ale ten wolnościowy.

Ci wyborcy oczekują korekty „Polskiego Ładu", deregulacji i zablokowania pomysłów uderzających w przedsiębiorców, ale także w bardziej dynamicznych pracowników.

Mam na myśli choćby obligatoryjne przekształcanie umów B2B na umowy o pracę. To jest elektorat młody, którego ważną cechą jest hedonizm. Dla nich wspólnota nie jest wartością taką, jak dla pokolenia „Solidarności" albo tych, którzy z własnego doświadczenia wiedzą, jak trudna była transformacja ustrojowa, jakie nadzieje wiązaliśmy z obecnością w Unii Europejskiej i NATO. Skupiają się na sobie, na swojej rodzinie, nie interesują ich aż tak problemy całego kraju, a tym bardziej polityka międzynarodowa. Uważają, że bezpieczeństwo mamy już zapewnione, państwo działa, tylko niepotrzebnie wtrąca się w ich sprawy. Przemawia do nich program, w którym obiecuje dom, dwa samochody i grill w weekend. Nie mówi, w jaki sposób im to zapewni, ale jego wyborców najwyraźniej to nie interesuje. Moim zadaniem jest ich przekonać, że Mentzen nie ma żadnego programu, ma tylko puste hasła. Ale musimy ten aspekt hedonistyczny w naszym programie właściwie zawrzeć, dodając do tego element wspólnotowy.

To kwestia dobrej komunikacji i wiarygodności. Trzeba wskazywać, że państwo może tych hedonistów obronić przed przestępcami, złodziejami i dać osłonę w sytuacjach nadzwyczajnych, w których każdy, także młody człowiek z dużymi kwalifikacjami, może się znaleźć. Nie można jednak na ich hedonizm się oburzać. Tych wyborców są trzy miliony. Mają prawo do bogacenia się, do tego, by nie zmuszać ich do zmiany stylu życia. Trzeba jednak pokazać, że będą się bogacić, jeżeli cała gospodarka będzie się rozwijać, a do tego potrzebny jest sensowny program.

Konfederaci są nierozgarnięci, jak Berkowicz, który nie zauważył kasy w Ikei, czy Mentzen, który nie wypełnił prawidłowo sprawozdania finansowego swojej partii. Możemy po części przejąć od nich ten hedonistyczny populizm poprzez odpowiednio zaadresowane emocje, a jednocześnie uzupełnić go przez odpowiedzialny program gospodarczy i społeczny.

Dlaczego dla tego elektoratu tak ważną sprawą są kryptowaluty?
– Bo to jest forma zakładu, w którym zysk może być bardzo wysoki, przy równie wysokim ryzyku. Młodzi ludzie, szczególnie mężczyźni, to lubią, na gamingu i na zakładach zostali wychowani. Dla niektórych może być to spełnieniem marzeń o dużych i szybko zarobionych pieniądzach. Blockchain, który jest infrastrukturą kryptowalut, działa poza systemem. To jest atrakcyjne, antysystemowe. Składa się z bloków zawierających transakcje, których kopie istnieją na tysiącach komputerów na świecie. Transakcja trafia do sieci, sieć ją weryfikuje, a po zatwierdzeniu trafia do blockchaina. Nie potrzeba banku – weryfikację robi sieć. To brzmi trochę tajemniczo, magicznie i dlatego działa na wyobraźnię. Podobnie jak ogromne zyski, które można osiągnąć, inwestując w bitcoina czy ethereum.

No tak, gdy ktoś kupił bitcoina przed trzema laty i sprzedał na początku października, pomnożył oszczędności przeszło siedmiokrotnie. Ale jeśli ktoś kupił na początku października, do dziś straciłby 25 procent zainwestowanej sumy.
– Tak działają zakłady i ludzie, którzy decydują się w kryptowaluty inwestować, o tym wiedzą. Przed stratami nie uchronią ich żadne regulacje czy kontrolujące urzędy. Sugerowanie, że kryptowaluty są przestępstwem, obraża tych, którzy się nimi pasjonują, w dużej mierze właśnie obecnych wyborców Konfederacji. Ale wielu inwestorów często nie rozumie, że platforma, na której handlują, może zniknąć i wówczas stracą całe zainwestowane oszczędności. To się już wielokrotnie zdarzyło w różnych krajach. Dziś żądają, by państwo trzymało się z dala od ich inwestycji, ale gdy pieniądze stracą, będą mieli do państwa pretensje. Dlatego pewne regulacje są konieczne. Atak na całą branżę, mówienie, tak jak Jarosław Kaczyński, że kryptowaluty powinny być zabronione, ich zwolenników oburza i konsoliduje. Należy jednak przekonywać, że ryzyko straty nie tyle na spadającym kursie, ile w wyniku przekrętów istnieje i państwo powinno je minimalizować.

> Każde z ugrupowań koalicji walczy o swoje i nie możemy mieć do nich pretensji, że są bardziej skuteczni od nas. Powinniśmy skupić się na kilku punktach i o nie walczyć

Czy ustawa, którą uchwaliła rządząca koalicja, a zawetował prezydent, nie jest zbyt restrykcyjna?
– Głosowałem za nią, ale gdyby to zależało ode mnie, przyjąłbym regulacje znacznie lżejsze. Są w ustawie przewidziane zbyt wysokie opłaty, a Komisja Nadzoru Finansowego wciąż nie jest odpowiednią instytucją do kontrolowania rynku kryptowalut. Istnieje ryzyko, że będzie podchodziła do kontroli bardzo restrykcyjnie, co spowoduje, że wszystkie transakcje będą zawierane poza granicami Polski.

Ustawa była pisana przez urzędników, którzy są przekonani, że silny urzędnik mający rozległe kompetencje rozwiąże każdy problem. Zgodnie z ustawą KNF miałaby prawo do natychmiastowego blokowania stron internetowych prowadzących działalność kryptowalutową. Wolałbym, by był system odwoławczy od decyzji. Chciałbym też, by na polskim rynku kryptowalutowym byli poważni inwestorzy.

A z czego wynika fenomen Grzegorza Brauna? Mentzen przynajmniej udaje, że się zna na podatkach, a o Braunie wyborcy wiedzą tyle, że mówi: „Szczęść Boże" i zaatakował gaśnicą kobietę, która zapalała świecę hanukową.
– Zawsze w Polsce byli antysemici, antyszczepionkowcy, ludzie, którym ten świat po prostu się nie podoba. Tylko dotychczas nie mieli swego przywódcy. Kaczyński nim nie mógł być, gdyż mimo różnych swoich szaleństw nie przekraczał pewnej granicy. Z pewnością nie jest antysemitą, ale jestem przekonany, że z antysemitą Braunem może stworzyć rząd, tak jak stworzył z Lepperem i Ligą Polskich Rodzin.

Braun zebrał ludzi, którzy znajdują się na końcu krzywej Gaussa opisującej rozkład poglądów w społeczeństwie. Są „fanami gaśnic", zwolenników happeningu przeciwko wszystkiemu. Braun jest w tym, niestety, bardzo skuteczny. Jest cyniczny, nie wiem wcale, czy ma takie poglądy, jakie głosi. Kiedyś jego wybryki byłyby napiętnowane przez media, ale dziś ważniejsze są serwisy społecznościowe, które przekazują coś, co niektórym wydaje się zabawne, interesujące, a na pewno skrajne. Dają one możliwość powielania rozmaitych dziwacznych poglądów i opinii. Nie możemy pozwolić na promowanie ani poglądów faszystowskich, ani komunistycznych, ani rasistowskich. Tu akurat przydałyby się twarde regulacje, jak również w zakresie fake newsów.

To zresztą fenomen nie tylko polski. Proszę zobaczyć, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, gdzie w internecie aż kipi od różnych teorii spiskowych. Grupy o skrajnych poglądach nie miały wcześniej dostępu do mediów, więc gdy pojawiły się serwisy społecznościowe, zaczęły je bardzo szybko i skutecznie wykorzystywać. To też nauczka dla poważnych polityków – trzeba być w tych serwisach obecnym.

Poparcie dla Koalicji Obywatelskiej powoli rośnie, co jest wynikiem między innymi kampanii robionej przez Donalda Tuska właśnie w serwisach społecznościowych. Podobno premier liczy na to, że KO osiągnie poparcie 40 procent, co po wyborach da mu możliwość ponownego utworzenia rządu. To będzie oznaczało wyciskanie poparcia ze wszystkich innych partii tworzących dziś koalicję. Jak Polska 2050 może sobie z tym poradzić, nie powodując jednocześnie ostrego konfliktu z KO?
– Wątpię, by KO była w stanie uzyskać 40 procent poparcia. Jest partią dużą, wielonurtową, a przez to mało wyrazistą. KO jest dziś na fali w dużej mierze dzięki rozliczeniom dokonywanym przez ministra Żurka i ucieczce z kraju Ziobry. Ale przedsiębiorcy, z którymi rozmawiam, choć nie są zwolennikami dzisiejszej opozycji, nie są też zadowoleni z polityki gospodarczej obecnego rządu. Na KO nie będą głosować, tym bardziej że najbliższe lata nie będą dla gospodarki łatwe. O szykujących się zwolnieniach już mówiłem. Wciąż nie doceniamy skutków rewolucji związanej ze sztuczną inteligencją, która wytnie część zawodów. Widziałem raport OECD pokazujący, że Polska jest w czołówce krajów, które będą tracić miejsca pracy w związku z AI. Żadna obecna partia nie mówi o tych poważnych problemach, nie ma pomysłu, jak sobie z nimi radzić. Polska 2050 powinna o nich mówić.

Czy dostrzega pan w PiS polityków, z którymi można by współpracować?
– Oferta musi przyjść z tamtej strony. Jeżeli są tam ludzie, którzy gotowi byliby poprzeć działania rządu na przykład zmierzające do ustabilizowania sytuacji w wymiarze sprawiedliwości, czyli posprzątania tego bałaganu, który pozostawiły po sobie rządy PiS, to oczywiście z takiej oferty trzeba skorzystać. Na razie takiej oferty nie ma, a działania prezydenta wymierzone w rząd pogłębiają chaos konstytucyjny i grożą paraliżem państwa. Gdyby Mateusz Morawiecki chciał przyłożyć rękę do naprawy tego, co zostało zniszczone w wymiarze sprawiedliwości, to trzeba mu dać taką szansę. Prezydent kokietuje elektorat skrajny, braunowy i kibolski. To zresztą na krótką metę wzmacnia rząd, ale na dłuższą jest dla Polski bardzo szkodliwe. Wspiera skrajności i osłabia Rzeczpospolitą.

Karol Nawrocki uważa, że Polska jest bezpieczna dzięki protekcji Stanów Zjednoczonych i jego osobistej przyjaźni z Trumpem. Norman Davies powiedział niedawno w wywiadzie, że Trump zdradzi wszystkich i lepiej nie być jego przyjacielem. Wiele jednak wskazuje na to, że amerykański prezydent chciałby wykorzystać Polskę do osłabiania Unii Europejskiej. Co powinniśmy zrobić, jeżeli postawi jasno sprawę – albo Polska będzie blokować wszystkie działania Unii, albo nie może liczyć na amerykański parasol bezpieczeństwa?
– Nie sądzę, by taki wybór stał przed Polską. Nie możemy się konfliktować ze Stanami Zjednoczonymi, niezależnie od tego, kto jest prezydentem. Jesteśmy lojalnym sojusznikiem USA, mamy wysokie wydatki na obronność. Ale obecność w Unii Europejskiej jest dla nas sprawą kluczową nie tylko z powodów gospodarczych, ale także bezpieczeństwa Polski. Możemy być tu i tu.

Polityka Stanów Zjednoczonych może się zmienić, jeżeli będzie inny prezydent, więc tym bardziej nie powinniśmy podejmować działań osłabiających naszą pozycję w Unii Europejskiej. Im jest silniejsza, tym bardziej jesteśmy szanowani w świecie, także w Stanach Zjednoczonych.

Nie możemy znaleźć się w sytuacji Węgier, które na polecenie Trumpa lub Putina osłabiają Unię Europejską. Wiele wskazuje na to, że PiS byłby skłonny wejść w buty Orbána, co dla Polski byłoby bardzo szkodliwe. Działania prezydenta USA podważające zaufanie do trwałości amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa powinny skłaniać do realistycznej refleksji: sojusze pozostają fundamentem bezpieczeństwa, ale nie mogą być jedyną podporą strategii państwa.

Musimy sami o siebie zadbać, w tym między innymi o nuklearny parasol obronny.

W sytuacji rosnącej niepewności międzynarodowej kluczowe staje się wzmacnianie własnych zdolności obronnych – budowa silnej, licznej i dobrze wyszkolonej armii, wyposażonej w nowoczesny sprzęt, a także rozwój krajowych mocy produkcyjnych umożliwiających jego wytwarzanie i serwisowanie. To z kolei nie jest możliwe bez solidnych podstaw gospodarczych.

Silna gospodarka daje państwu nie tylko środki finansowe na obronność, lecz także stabilność, odporność na kryzysy i zdolność do długofalowego planowania. Dlatego potrzebna jest taka polityka gospodarcza, która sprzyja szybkiemu, trwałemu wzrostowi – inwestycjom, innowacjom, rozwojowi przemysłu i kapitału ludzkiego. Bez wzrostu gospodarczego ambicje w sferze bezpieczeństwa pozostaną deklaracjami, a nie realną siłą. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 5935e39405

RAFAŁ IDZIE DO KOŚCIOŁA

Czy Trzaskowski znalazł w sobie tyle odwagi, żeby rzucić rękawicę Tuskowi? – zastanawiają się w KO

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Arkadiusz Gruszczyński

Gabinet Rafała Trzaskowskiego jest dostojny: ściany są szczelnie zabudowane regałami z porządnego drewna, książki udowadniają, że prezydent Warszawy ma naprawdę szerokie horyzonty, skoro obok siebie stoją te wydane przez lewicową Krytykę Polityczną i zagraniczne tytuły z pola geopolityki i historii. – Kilka lat temu pan prezydent przychodził latem do pracy z koszyczkiem. Zastanawialiśmy się, co w nim wnosi, skoro jedzenie dostarcza mu stołówka. Może coś do picia? – wspomina jedna z sekretarek pracujących na Placu Bankowym, przy którym mieści się najważniejsza część stołecznego ratusza. – No cóż, to były książki! Prezydent zapowiadał, że nie ma go dla nikogo i całymi dniami czytał – dodaje nieco rozbawiona.

●

– Rafał mógłby wycisnąć maksimum ze swojego urzędu, ale przecież dla nikogo nie jest tajemnicą, że jego nie interesuje ratusz ani miasto – mówi mi szczerze poseł, który zna Trzaskowskiego od wielu lat. – Prezydent stolicy dużego, europejskiego kraju mógłby działać na arenie międzynarodowej, chwalić się osiągnięciami, skokiem cywilizacyjnym, zapraszać tu ludzi z całego świata. Rafał tego nie robi. Ale powiem coś innego: ważne są spotkania z ludźmi na ulicy, w tramwajach czy parkach – opowiada.

– Posłowie doskonale wiedzą, że bez społecznego wsparcia, bez przypadkowych rozmów z wyborcami, którzy mówią: „trzymam kciuki, świetnie pan sobie radzi tam na Wiejskiej" nie da się normalnie pracować. Sejm, ministerstwa, urzędy miast to małe państwa, odcięte od zwykłego życia. I żeby nie stracić kontaktu z realnymi problemami, trzeba wychodzić. A Trzaskowski tego nie robi, nie rozmawia z ludźmi, nie spaceruje po mieście, a przecież w czasie każdej kampanii wyborcy reagowali na niego bardzo żywiołowo.

Trzaskowski nie wychodzi na miasto ze względów bezpieczeństwa -słyszę od jego współpracowników. Ale to nie tłumaczy do końca, dlaczego prezydent omija ludzi. Jedną z posłanek Koalicji Obywatelskiej – z młodej, progresywnej frakcji – pytam zaczepnie, czy Trzaskowski jest dobrym prezydentem. Mówię tak: co po sobie zostawi Rafał Trzaskowski oprócz kilku zmian w centrum miasta, czyli zasadzenia drzew, zwężenia ulic i wytyczenia przejść dla pieszych.

Przecież – dodaję – Hanna Gronkiewicz-Waltz zaczęła budowę drugiej linii metra, kupiła dla miasta nowe autobusy i tramwaje, zamknęła dla samochodów fragment Placu Defilad, który stał się popularnym miejscem z barami, ławkami i miejskim życiem, wyremontowała bulwary wiślane i pozostawiła dziką stronę po prawej stronie rzeki, zmieniła nie do poznania ulicę Świętokrzyską i posłuchała krytyków, którzy domagali się tam wielkich drzew, jako pierwsza zaczęła na poważnie prowadzić konsultacje społeczne, budowała szkoły i domu kultury, wymyśliła Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a jej ludzie przynosili miliardy z Unii. I – jak wspominają wieloletni pracownicy ratusza – znała imię każdego dyrektora, burmistrza, dzielnicowego radnego i ważniejszych urzędników.

– Widzę, że jest pan krytyczny na początku roku. Rafał Trzaskowski zostawi po sobie odmienione centrum, ale też darmowe żłobki dla wszystkich dzieci, kładkę, która stała się ważnym łącznikiem między prawą i lewą stroną miasta oraz nowe autobusy i tramwaje oraz nowe trasy tramwajowe do Wilanowa i na Mokotowie – twierdzi moja rozmówczyni.

A ja zaczynam się zastanawiać, czy taki dorobek w ciągu siedmiu lat – bo Trzaskowski rządzi stolicą od 2018 roku – to na pewno powód do dumy. Grzechów zaniechania po stronie prezydenta jest więcej niż plusów: ratusz nie buduje mieszkań komunalnych, nie wykorzystuje obecnych warunków politycznych (sprzyjający rząd) i ekonomicznych (łatwe kredyty dla samorządów), żeby stawiać nowe bloki, konsultacje społeczne są pozorne, inwestycje tramwajowe są niedopilnowane i przeciągają się w nieskończoność, nie ma pomysłu na wymierające Śródmieście.

Prezydent Warszawy jako jedyny polityk po liberalnej stronie ma wszystkie narzędzia do budowy dużej partii. Jest rozpoznawalny, lubiany przez elektorat, potrafi być wyrazisty, udowodnił, że potrafi pracować i jest stosunkowo młody jak na politykę, ponieważ nie ma nawet 55 lat

No i relacje Trzaskowskiego z radą miasta są zamrożone po kłótni o nocne ograniczenie sprzedaży alkoholu. Kilka miesięcy temu radni – wbrew mieszkańcom i prezydentowi – nie zgodzili się na częściową prohibicję, wybuchła ogólnokrajowa awantura, która zakończyła się kompromisem: alkoholu nie kupi się obecnie w Warszawie po godzinie 22 w dwóch dzielnicach, czyli w Śródmieściu i na Pradze Północ.

Trzaskowski miał zaprezentować w październiku coś na kształt nowego otwarcia programowego, ale ze względu na kłótnię z radnymi zatrzymał te rozmowy.

●

No dobrze, ale jakie to wszystko ma znaczenie dla politycznych ambicji Trzaskowskiego? – Prezydent uważa, że przegrał wybory ze względu na lewicową politykę, jaką prowadził do tej pory w Warszawie – mówi jeden z posłów ze starszego pokolenia, ale doskonale orientujący się w kuluarowych grach. – Po co przed wyborami pozwolił na otwarcie Muzeum LGBT i podpisał rozporządzenie, które pozwalało zdejmować krzyże w urzędzie? – pyta retorycznie.

Trzaskowski w ostatnich tygodniach: odebrał finansowanie dla lewicowego spektaklu „NarcoSexuals" w Nowym Teatrze, ponieważ aktorzy odgrywali w nim gejowski seks pod wpływem narkotyków, choć wszystko było udawane, zamierza zlikwidować Staromiejski Dom Kultury, w którym działają organizacje wyrzucone z Białorusi i pojawił się na koncercie świątecznym w jednym z kościołów.

Jednocześnie współpracownicy prezydenta rozpowiadają na mieście, że Trzaskowski do 2027 roku nie będzie wykonywał żadnych ryzykownych ruchów, nie podejmie decyzji, która mogłaby mu wizerunkowo zaszkodzić, ponieważ zamierza wystartować do Sejmu.

– Coś panu powiem: my słyszymy te zapowiedzi, ale podchodzimy do nich z dystansem, ponieważ na razie oprócz gadania Rafał nie za wiele robi – mówi mi ważny poseł z grupy polityków, którzy co drugi dzień pojawiają się dosłownie we wszystkich mediach. – Proszę się też zastanowić, kto miałby zakładać z panem prezydentem tę partię, nawet ludzie, którzy pracowali z nim w kampanii, nie odważą się na taki ruch, skoro sondaże sprzyjają obecnie Koalicji Obywatelskiej – tłumaczy.

Ten dystans może też oznaczać strach, ponieważ – o czym przecież wiedzą politycy KO – Trzaskowski jako jedyny polityk po liberalnej stronie ma wszystkie narzędzia do budowy dużej partii. Prezydent jest rozpoznawalny, lubiany przez elektorat, potrafi być wyrazisty, udowodnił, że potrafi pracować i jest stosunkowo młody jak na politykę, ponieważ nie ma nawet 55 lat. Jasne: obciążają go dwie przegrane w wyborach prezydenckich, ale przecież Tusk najpierw przegrał wyścig o Pałac Prezydencki z Lechem Kaczyńskim w 2005 roku, a po kilku miesiącach władzę przejął drugi z Kaczyńskich, choć murowanym zwycięzcą była Platforma Obywatelska. I co? Tusk był potem premierem, szefem Rady Europejskiej i wygrał z Kaczyńskim.

– Rafał ciągle uważa, że odegra jakąś rolę w krajowej polityce, choć trudno sobie na dziś wyobrazić, jak mogłoby do tego dojść. Wszyscy w KO wątpimy w jego determinację i zdecydowanie, no i czy pan prezydent znajdzie w sobie na tyle odwagi, żeby rzucić rękawicę Tuskowi? – zastanawia się posłanka KO, ta progresywna. – W KO nie ma już frakcji Trzaskowskiego – dodaje rozgoryczona.

●

Na prezydencie, który myślami jest gdzie indziej, traci przede wszystkim Warszawa.

Od kilku miesięcy Trzaskowski nie powołał wiceprezydenta po odejściu z urzędu Jacka Wiśnickiego z Polski 2050, co paraliżuje jeszcze bardziej pracę urzędu. Nadwyżka budżetowa nie jest przeznaczana na śmiałe inwestycje, jakość życia w mieście jeszcze się nie pogorszyła, ale bez sprawnie działającego urzędu, bez kompetentnych zastępców, ludźmi z doświadczeniem i wyobraźnią z roku na rok Warszawa stanie się miastem nie do życia – z wysokimi czynszami, spóźniającymi się autobusami, rozgrzebanymi inwestycjami, niedocenioną Pragą, znikającymi księgarniami czy rosnącą liczbą osób w kryzysie bezdomności w mieście, w którym nie ma łaźni, a jedyne miejskie noclegownie są w jednej dzielnicy.

Pytanie jest też inne: z jakim programem Trzaskowski chciałby sięgnąć po władzę w kraju, skoro eksperyment z prawicowymi hasłami powtarzanymi w 2025 roku doprowadził do porażki w wyborach prezydenckich. Liberalna partia z nośnymi hasłami i rozpoznawalnym liderem na pewno może zagospodarować miejsce po Polsce 2050. A polowanie na lewicowe czarownice najpewniej przyniesie ten sam skutek, co prawicowa retoryka z czasu kampanii wyborczej: Trzaskowski kolejny raz przegra. ●

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

„Zwijanie” okrągłego stołu

Pan prezydent zdaje się traktować historię w sposób, by tak rzec, amerykański: „c'mon, it's history” oznacza dla Amerykanów coś mało istotnego.

Michał Rusinek

Prezydent Karol Nawrocki postanowił usunąć z Pałacu Prezydenckiego okrągły stół, przy którym toczyły się historyczne obrady w 1989 roku. Decyzję tę uzasadnił w formie krótkiego przemówienia.

Zaczął: „witam państwa serdecznie w dniu ważnym dla Pałacu Prezydenckiego, dla polskiego Prezydenta, dla całej Kancelarii, dla tego gmachu”. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że pan prezydent mówi o sobie w trzeciej osobie i pisze o sobie wielką literą, nowością jest antropomorfizacja budynku, który, jak rozumiemy, powinien pękać. Z dumy. Spodziewamy się też, że rocznica dnia usunięcia okrągłego stołu będzie hucznie obchodzona co roku i być może stanie się świętem państwowym.

Okrągły stół – jak poinformował Karol Nawrocki – właśnie „jest zwijany i wynoszony z Pałacu Prezydenckiego”. Dosłownie zwinąć można coś zwijalnego, na przykład dywan, ale stół zwinąć można tylko niedosłownie, czyli ukraść. Od razu inaczej spojrzeliśmy na panów w kolorowych sweterkach, pakujących w folię części mebla za plecami gospodarza, dziwnie zadowolonego ze zwijania mu go z pałacu. Jakby mówił: „Dobra, jak się już włamaliście, to weźcie go sobie. Nigdy go nie lubiłem”.

I właściwie coś podobnego powiedział, tłumacząc nam obrady Okrągłego Stołu jako rozmowy tych, którzy chcieli „przenieść komunistyczne wpływy polityczne, wpływy partyjne, wpływy finansowe do Polski”, z tymi, którzy „siadali z dobrymi intencjami”.

Nie do końca rozumiemy, o jakie przeniesienie chodziło panu prezydentowi: chyba miał na myśli przedstawicieli PZPR, którzy wówczas władzy nie musieli znikąd przenosić, bo ją po prostu mieli. Strona „dobrych intencji” to ci, którzy chcieli traktować Okrągły Stół jako „punkt strategiczny, pewien taktyczny moment w drodze do tego, aby Polska w istocie w krótkim czasie miała niezależne, w pełni wolne wybory i by była państwem suwerennym i niepodległym”.

Była jednak, zdaniem pana prezydenta, także trzecia strona: ludzie, „którzy wprawdzie przed 1989 rokiem byli przez system komunistyczny represjonowani, byli ofiarami systemu komunistycznego, ale niejako w efekcie tych negocjacji i tych rozmów pojawił się syndrom sztokholmski, w którym wybaczono wszystkie zbrodnie systemu komunistycznego”.

Z tej interpretacji może płynąć tylko jeden wniosek: „z całą pewnością Pałac Prezydencki nie jest miejscem, w którym nadal powinien stać okrągły stół”, bo w tym „najważniejszym gmachu w Rzeczypospolitej” nie powinno stać coś, co byłoby symbolem, „który będzie opowiadał o naszej przyszłości przede wszystkim”. Zostanie on przeniesiony do Muzeum Historii Polski: „oddajemy okrągły stół historii”.

Są to zdumiewające słowa jak na historyka. Po pierwsze, pan prezydent zdaje się traktować historię w sposób, by tak rzec, amerykański: „c'mon, it's history” oznacza dla Amerykanów coś mało istotnego, co należy do przeszłości. W polskiej tradycji, żywej zwłaszcza wśród historyków, historia jest czymś ważnym, co decyduje o naszej tożsamości, także o tym, skąd się wzięła nasza demokracja. Po drugie, generalnie chyba chodziło o to, żeby okrągły stół był symbolem przeszłości, a dokładniej momentu historycznego, który doprowadził do zmian ustrojowych w naszym kraju. Jeśli miałby coś symbolizować na przyszłość (i teraźniejszość), to chyba demokratyczne z ducha przekonanie, że dobrze jest umieć się ze sobą dogadać, wypracować konsens itp.

Ale panu prezydentowi nie chodzi o to, żeby się dogadywać z ludźmi o innych poglądach. Dziś „młodzi Polacy […] nie muszą iść na żadne układy z byłymi dyktatorami, komunistami czy postkomunistami”. Myśląc o przyszłości nie musimy wsłuchiwać się w jakieś historyczne głosy i „infekować kolejnych pokoleń Polaków przaśnością systemu komunistycznego”. Mamy pewne wątpliwości, czy pan prezydent właściwie rozumie „przaśność”, bo w innym zdaniu opisywał ten system jako zbrodniczy i posługujący się represjami, „przaśny” to natomiast świadczący o cywilizacyjnym zacofaniu oraz kulturowym i umysłowym ubóstwie. Owszem, można tak określić tamte czasy, ale co to ma do rzeczy w kontekście rozmów przy okrągłym stole?

Na koniec pan prezydent dokonał trawestacji słów, które „jedna z aktorek teatralnych i telewizyjnych” – nazwisko Joanny Szczepkowskiej nie przeszło mu przez usta – wypowiedziała „z entuzjazmem, z dumą”: „Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm”. Jego zdaniem, wypowiedziała je przedwcześnie. On jednak, także z dumą – i mając nadzieję, że nie przedwcześnie – powiedział: „Dziś, szanowni państwo, skończył się w Polsce postkomunizm”.

To śmiałe stwierdzenie, zważywszy że postkomunizm to termin nieostry znaczeniowo i rozumieć go można jako czas po upadku komunizmu, jako ideologię wyrastającą z komunizmu i będącą jego zmodyfikowaną formą, albo – jak w języku „dobrej zmiany” – jako wszystko to, co ma źródła w Polsce sprzed 1989 roku, a właściwie wszystko, co nie mieści się w dobrozmianowej wizji Polski.

W 2018 roku Adam Andruszkiewicz, obecnie zastępca szefa Kancelarii Prezydenta RP, powiedział: „Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku rozpoczął się w Polsce neokolonialny postkomunizm”. I już kilka razy politycy prawicowi odtrąbili jego koniec: dla Jarosława Gowina były to wybory parlamentarne w 2015 roku, w których Zjednoczona Prawica uzyskała większość. Dla sędziego Kamila Zaradkiewicza – rok 2016 i moment odejścia prof. Andrzeja Rzeplińskiego ze stanowiska prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Dla Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy czy Mariusza Błaszczaka – wprowadzenie ustaw sądowniczych uznanych przez niektóre organizacje międzynarodowe oraz część społeczeństwa za zagrażające praworządności w Polsce, czyli rok 2017.

Dotychczasowym zakończeniom postkomunizmu brakowało jednak stosownej symboliki, konkretu, który mógłby się stać symbolem. Zwijanie stołu jest, jak widać, aktem stosownie symbolicznym. Ale może pójdźmy dalej: porąbmy stół na kawałki i sprzedawajmy, tak jak w 1989 r. sprzedawano kawałki muru berlińskiego. Jeśli ktoś nas w przyszłości będzie pytał, czemu nie umieliśmy się ze sobą dogadać – będziemy mogli wskazać na stojący na półce kawałek blatu albo nogi. Zwłaszcza nogi. ●

Noworoczne postanowienia

Misją antypopulisty powinno być pielęgnowanie nadziei, że wybór każdego obywatela ma sens i realny wpływ na rzeczywistość.

Marcin Matczak

Populizm gra na emocjach, liberalizm nie potrafi. W starciu gaśnicy Brauna z kodeksem karnym gaśnica wygrywa bitwę o wyobraźnię. Tę bitwę wygrywa także choinka Nawrockiego, własnoręcznie wycięta i wniesiona do domu. To gest, który uderza w głębokie pokłady społecznej potrzeby bezpieczeństwa i swojskości.

Współczesna demokracja często zachowuje się tak, jakby na populistyczny pożar emocji chciała odpowiedzieć spokojnie, odczytując regulamin ewakuacji. Efekt jest widoczny gołym okiem: tam, gdzie jedna strona buduje rząd dusz, druga oferuje głównie sprostowania. Czy nie jest tak, że polityka, która potrafi jedynie recenzować cudze chamstwo, staje się wobec populizmu bezbronna?

Może więc, zamiast pisać kolejny akt oskarżenia przeciwko populistom, warto sformułować listę noworocznych postanowień, dzięki którym da się wyjść z bezpiecznej bańki dystansu i przejść do kontrataku w walce o emocje Polaków. Oto moje postanowienia:

1. Zrozumiem, że polityka to teatr symboli. Nie wystarczy mieć racji. Trzeba mieć obraz, który ją poniesie. Gaśnica czy choinka to silne, archetypiczne sygnały. Przy nich biało-czerwone serduszko Donalda Tuska, choć estetyczne i skuteczne w kampanii, zaczyna dziś wyglądać jak zbyt kruchy, papierowy gadżet.

Jeśli na atawistyczną symbolikę niszczenia wroga albo kreowania domu odpowiada się jedynie uśmiechniętą naklejką w klapie, przegrywa się starcie o emocje. Antypopulizm potrzebuje własnych obrazów sprawczości, porządku i odwagi. Każdy komunikat powinien przejść test: czy ma w sobie siłę taranu, czy raczej wdzięk biurowego upominku?

2. Nigdy nie zlekceważę archetypu. Populiści instynktownie wchodzą w role, których społeczeństwo potrzebuje: surowego, ale sprawiedliwego ojca, obrońcy domostwa. Odpowiadanie na taką figurę ironią lub wyśmiewaniem poziomu angielskiego oponenta to błąd strategiczny – to potwierdzanie opowieści o odklejonych elitach. Antidotum na archetyp nie jest wykład, lecz postać lidera, który swoim wizerunkiem symbolizuje opiekę i walkę o bezpieczeństwo. Wołodymyr Zełenski w zielonym T-shircie czy Petr Pavel w mundurze to archetypy Wojownika-Obrońcy. Mamy swoje?

3. Pomyślę, że cynizm to luksus, na który nie stać demokracji. Kpina i dowcip dają chwilową ulgę elitom, ale są mało skuteczne. Populista uwielbia bycie wyśmiewanym, bo wtedy może powiedzieć swoim wyborcom: „Widzicie? Oni śmieją się z was, nie ze mnie”. Kpina z wyglądu (łupież Kaczyńskiego), jego marynarki czy kolejny film na Tik Toku o jedzeniu żurku to nie jest komunikacja typowa dla męża stanu. Powaga bez nadęcia wydaje się skuteczniejszą formą walki z populizmem.

4. Nie odejdę od stołu debaty. Populizm żywi się pustym krzesłem. Wyjście ze studia czy bojkotowanie mediów „tamtej strony” to oddanie pola bez walki. Prawdziwą siłę pokazuje ten, kto idzie do wrogiego medium i spokojnie tłumaczy swoje racje. Widzowie rzadko pamiętają konkretny argument, ale zawsze to, że ktoś uciekł przed konfrontacją, mówiąc „nie będę z Panem gadał”. Spokój to dziś najpotężniejsza broń – im głośniejszy krzyk przeciwnika, tym ciszej i pewniej należy mówić.

5. Nie będę traktować państwa jako narzędzia reedukacji. Państwo nie jest terapeutą ani wychowawcą. Ludzie czują się upokorzeni, gdy polityka staje się narzędziem moralnej wyższości, a obywatele są traktowani jak uczniowie, których trzeba dociągnąć do odpowiedniego poziomu. Sugerowanie, że osoby o tradycyjnych poglądach wymagają treningu z tolerancji czy otwartości, to prosta droga do wzmacniania populizmu. Wolność dla wielu to nie tylko brak ograniczeń – to głównie porządek i przewidywalność.

6. Nie będę bał się wielkich słów. Nie wolno oddawać walkowerem słów takich jak „naród”, „wspólnota” czy „bezpieczeństwo”. Sam konstytucjonalizm to za mało – ludzie potrzebują poczucia przynależności i bycia „u siebie”. Zamiast zostawiać te pojęcia populistom, nadam im nowoczesny, demokratyczny sens. Nie wystarczy być „anty”; trzeba mieć własną opowieść o domu, którego chcemy bronić.

7. Uznam lęk za fakt, nie za błąd. Gdy liderzy populistyczni grają lękiem przed obcymi, odpowiedzią nie może być zawstydzanie wyborców. Lęk nie znika pod wpływem moralnego potępienia czy zimnych danych. Zamiast mówić: „Wasz lęk jest irracjonalny”, powiem: „Rozumiem, dlaczego się boisz, i oto plan, jak zapewnimy ci bezpieczeństwo”. Statystyka nigdy nie wygrała z lękiem o bezpieczeństwo własnych dzieci.

8. Uznam religię za tożsamość, nie tylko pogląd. Krytyka „sojuszu tronu z ołtarzem” jest konieczna, ale nie może łączyć się z delegitymizacją samej potrzeby sacrum. Atakowanie religii jako „zabobonu” wypycha miliony ludzi w stronę radykałów. Szacunek dla religijnych rytuałów to nie słabość, lecz uznanie fundamentu tożsamości wielu obywateli.

9. Przestanę używać słowa „oni”. Podział na „nas” i „onych” to fundament populizmu. Kiedy liberałowie zaczynają mówić o wyborcach drugiej strony jako o „sekcie” czy „ciemnocie”, stają się lustrzanym odbiciem tego, co zwalczają. Głosowanie to akt tożsamościowy. Zamiast budować narrację o destrukcyjnych „onych”, warto mówić o wspólnych problemach, jak system ochrony zdrowia czy edukacja. To jedyny sposób, by przebić mur.

10. Będę przewodnikiem, nie recenzentem. Demokracja w kryzysie nie potrzebuje ironicznego obserwatora, który wylicza cudze wpadki. Nie potrzebuje też wyłącznie piewców różnorodności, którzy nie widzą, że dla innych różnorodność równa się chaos.

Demokracja potrzebuje kogoś, kto weźmie odpowiedzialność za nową opowieść o przyszłości. Prawdziwy lider nie tylko punktuje patologie, ale wskazuje drogę wyjścia. Misją antypopulisty powinno być pielęgnowanie nadziei, że wybór każdego obywatela ma sens i realny wpływ na rzeczywistość.

W nowym roku potrzeba mniej ironicznego dystansu, a więcej odważnej powagi. Demokracja umiera nie tylko w ciszy, ale i w śmiechu tych, którzy uznali się za lepszych od reszty. Prawdziwa naprawa zaczyna się od szacunku – zwłaszcza tam, gdzie najtrudniej go z siebie wykrzesać. ●

eprasa.pl 5935e39405

ŚWIAT

MAKE RUSSIA GREAT AGAIN

Donald Junior, najstarszy syn prezydenta: Spora część inwestorów i klientów Trump Organization to Rosjanie. Mamy duży napływ pieniędzy z Rosji

Artur Włodarski

W gabinecie Kennedy'ego, Nixona, Reagana, Busha czy Clintona ktoś jawnie sprzyjający wrogiemu mocarstwu wywołałby skandal. W obu gabinetach Trumpa takich osób jest tyle, że zapełniłyby autobus.

Oto główni pasażerowie: **Elon Musk**, **Steve Witkoff** (specjalny wysłannik w zapalne rejony świata), **Tulsi Gabbard** (szefowa wywiadu), **Dan Bongino** (wiceszef FBI), **Elbridge Colby** (podsekretarz ds. obronności i polityki zagranicznej), **Sergio Gor** (szef biura personelu prezydenckiego), **Devin Nunes** (szef prezydenckiej rady doradczej ds. wywiadu), **Darren Beattie** (starszy urzędnik ds. edukacji i kultury w Departamencie Stanu), **Paul Manafort** (szef kampanii prezydenckiej w 2016 r.), **Anthony Scaramucci** (były dyrektor ds. komunikacji Białego Domu), **Rick Gates** (znaczący członek kampanii Trumpa), **Rex Tillerson** (były sekretarz stanu), **Wilbur Ross** (były sekretarz handlu), **Jeff Sessions** (były prokurator generalny), **Matt Gaetz** (nominowany na prokuratora generalnego), **Michael Caputo** (były konsultant ds. public relations), **Roger Stone** i **Dimitri Simes** (byli doradcy polityczni), **Michael Flynn** i **Jeffrey „JD" Gordon** (byli doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego), **George Papadopoulos** i **Carter Page** (byli doradcy ds. polityki zagranicznej), **Michael Cohen**, **Scott Balber**, **Rudy Giuliani** i **Jay Sekulow** (byli prawnicy Trumpa) czy **Jared Kushner** (zięć Trumpa). A to niepełna lista tych, którzy bywali, byli lub są w Białym Domu i sprzyjają Rosji – głoszą jej agendę lub robią z nią interesy.

Można pomyśleć, że czyjaś słabość do Kremla jest dla Trumpa wręcz atutem. Jedyne wytłumaczenie? Mnogość takich podwładnych zmienia aberrację w normę i ogranicza ryzyko, że którykolwiek zrobi z tego problem.

●

Kogo brakuje przy 1600 Pennsylvania Ave? Eksperta od Rosji na miarę Fiony Hill, która doradzała Trumpowi w pierwszej kadencji. Kogoś, kto znałby historię, mówiłby po rosyjsku i rozumiałby tamtejszą mentalność. Hill opuściła Biały Dom w połowie 2019 roku. POTUS zarzucał jej „jastrzębie poglądy", ona jemu to, że „nie słucha rad i uwielbia Putina".

Kiedy nabrała pewności? Rok wcześniej – 16 lipca 2018 roku na szczycie Rosja – USA w Helsinkach, nawet przez Republikanów uznanym za katastrofę. Powód? Kuriozalna postawa prezydenta.

Senator John McCain: – To jedna z bardziej haniebnych chwil w historii amerykańskiej prezydentury.

– Nie taki był plan – zdradził CNN jeden z urzędników. A jaki?

Prezydent miał zaskoczyć Putina, wciskając mu akty oskarżenia 12 oficerów GRU zamieszanych we włamania do poczty DNC, Demokratycznego Komitetu Narodowego, czyli partyjnego biura Demokratów, i wyciek tysięcy maili do WikiLeaks mający doprowadzić do rozłamu u Demokratów i zwiększyć szanse Trumpa na wygraną. Agenci wywiadu wojskowego byli wśród 34 osób oskarżonych o ingerencję w wybory. Śledztwo od roku prowadził prokurator specjalny Robert Mueller. CIA, NSA, FBI i Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego potwierdziły, że Putin osobiście nakazał kampanię (kryptonim Project Lakhta) wspierającą Trumpa i szkalującą Hillary Clinton.

FOT. APATRICK SMITH, SHAKZU/GETTY IMAGES, MONTAŻ

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

Pięć lat później potwierdził to Jewgienij Prigożin, właściciel kremlowskiej farmy trolli i szef Grupy Wagnera.

Trump zrobił wszystko na odwrót. Już przed szczytem kazał upublicznić nazwiska tuzina rosyjskich agentów. Śledztwo Muellera nazwał „największym w historii polowaniem na czarownice" (rosyjskie MSZ zatweetowało: „Pełna zgoda"). Po czym zniknął za drzwiami wraz z Putinem i dwiema tłumaczkami. O czym rozmawiali 2 godziny i 11 minut? Nie wiadomo. Nie wydano żadnego oświadczenia, Republikanie storpedowali pomysł, by przesłuchać tłumaczkę. Narrację po szczycie kształtował Kreml.

Lecz wcześniej była pamiętna konferencja prasowa. Hill wspomina, że rozpaczliwie pragnęła ją przerwać: „Nawet chciałam uruchomić alarm przeciwpożarowy, ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć po fińsku".

Problemy zaczęły się, gdy dziennikarz AP zagadnął o rosyjską ingerencję w wybory prezydenckie. Trump zaprzeczył: – Moi ludzie przyszli do mnie, Dan Coats [dyrektor wywiadu narodowego] i kilku innych. Przyszli i powiedzieli, że ich zdaniem to Rosja. Ale my mamy tu przecież prezydenta Putina, który powiedział stanowczo, że nie, to nie Rosja! Ja zaś nie widzę powodu, by w to wątpić. Wtedy dziennikarz Reutersa spytał wprost: – Prezydencie Putin, czy chciałeś, by Donald Trump wygrał wybory, i czy poleciłeś któremuś z urzędników, by mu w tym pomógł? Putin odpowiedział szybko: – Tak, chciałem, by wygrał, bo obiecał poprawę stosunków USA – Rosja.

To pytanie i ta odpowiedź zniknęły z oficjalnej transkrypcji opublikowanej przez Biały Dom.

Chwilę później Trump nazwał „niesamowitą" ofertę Putina, by służby Kremla przesłuchały oskarżonych rosyjskich agentów. Ale też – jak się wydało – 11 amerykańskich dyplomatów.

Media od lewa do prawa nie kryły oburzenia: prezydent USA odrzuca ustalenia własnych agencji wywiadowczych i chce, by obce służby przesłuchiwały ludzi Białego Domu?

Były dyrektor CIA John O. Brennan zatweetował: „On siedzi w kieszeni Putina".

●

Rok wcześniej Mueller poszedł tym samym tropem. Rok później przedstawi raport liczący 448 stron. Już na wstępie widać, że Trump minął się z prawdą, tweetując tuż przed pierwszą inauguracją: „NIE MAM NIC WSPÓLNEGO Z ROSJĄ – ŻADNYCH UMÓW, ŻADNYCH POŻYCZEK, NICZEGO!".

Niczego?

Według „Foreign Policy" Rosjanie wyciągali Trumpa z finansowych tarapatów ponad 20 lat temu. Ponieważ zalegał ze spłatą odsetek, odwróciły się od niego banki (w latach 90. jego firmy były winne 72 bankom łącznie 4 miliardy dolarów). Jego linie lotnicze, kasyna i hotel zbankrutowały, musiał sprzedać 86-metrowy jacht. Nagłą odmianę przyniosła firma deweloperska Bayrock Group, która w 2002 roku wprowadziła się do Trump Tower dwa piętra poniżej biura Trumpów. Kierowali nią Rosjanie: Felix Sater i Tevfik Arif. Złożyli propozycję nie do odrzucenia: „Zbudujemy ci drapacz chmur, zdobędziemy fundusze. Ty dasz licencję na swoje nazwisko, my tobie 18 procent udziałów". Tak powstał 46-piętrowy Trump Soho (dziś The Dominick Hotel). Ale też pomysł, by zmienić nazwisko w markę i żyć z jej licencjonowania. Jeszcze 10 lat temu na świecie było około 100 budynków z „Trump" w nazwie. Potem ich liczba spadła, bo zaczęły wychodzić różne skandale.

Według Muellera Rosjanie kupili od dewelopera z Queens ponad 100 apartamentów. No i dom, Maison de L'Amitie w Palm Beach. W 2004 roku Trump dał za niego 41 milionów dolarów. Potrzebował pieniędzy, więc po czterech latach chciał go sprzedać. Nie było chętnych. Aż zjawił się Dmitrij Rybołowlew, oligarcha i kolekcjoner dzieł sztuki, oferując... 95 milionów – najdroższa transakcja na rynku USA – za dom, który później zburzył. Ponoć nie stracił, „bo drogo sprzedał ziemię".

David Kris z Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego Departamentu Sprawiedliwości twierdzi, że Kreml od dawna szukał klucza do Białego Domu. Już w 1968 roku „próbował pomóc" w wyborach prezydenckich kandydatowi Demokratów Hubertowi Humphreyowi. Służby mają trzy sprawdzone metody: pieniądze, uznanie i szantaż.

We wrześniu 2008 r. na zjeździe deweloperów w Nowym Jorku najstarszy syn prezydenta Donald Junior przyznał: – Spora część inwestorów i klientów Trump Organization to Rosjanie. Mamy duży napływ pieniędzy z Rosji. Sześć lat później niemal słowo w słowo potwierdził to jego młodszy brak, Eric, też dyrektor w Trump Organization. Spytany, skąd biorą pieniądze na tyle pól golfowych, odpowiedział: – Cóż, nie z amerykańskich banków. Wszystkie potrzebne fundusze dostajemy z Rosji.

Pytanie: w zamian za co?

●

Poniższe zdarzenia układają się w logiczny ciąg prowadzący do jednoznacznych wniosków.

1977. Trump żeni się z Ivaną Zelnicková, modelką z Czechosłowacji znającą rosyjski. Para trafiła pod lupę I wydziału Štátnej bezpečnosti, czyli współpracującej z KGB czechosłowackiej bezpieki (miała ułatwione zadanie, bo **ojciec Ivany był informatorem ŠtB**).

Trzy lata później Trump otwiera Grand Hyatt New York, swój pierwszy hotel. 200 telewizorów do niego **kupuje od Siemiona Kislina** – radzieckiego emigranta i współwłaściciela Joy-Lud – sklepu z elektroniką przy Piątej Alei. Sklep założyło KGB, a **Kislin to „razwiedczik"**, agent zwiadowczy, który uznał ambitnego dewelopera za „faceta z przyszłością".

W 1984 roku Władimir Kriuczkow, szef jednostki KGB zbierającej informacje wywiadowcze z zagranicy, nakazuje podwładnym „większą kreatywność w werbowaniu Amerykanów". Służby organizują imprezy z „miłymi dziewczynami". Później gościom pokazuje się „pamiątkowe" zdjęcia i filmy.

W 1986 roku **Jurij Dubinin, nowy ambasador ZSRR, kilka razy spotyka się z Trumpem**. Omawiają plan wybudowania hotelu Trump Tower Moscow naprzeciwko Kremla. Miałby mieć 100 pięter i być najwyższym budynkiem w Europie.

Lipiec 1987. Dubinin zaprasza Trumpa z Ivaną do Rosji. Wszystkie koszty ponosi nadzorowana przez KGB agencja GosKomInturist. Para dostaje prestiżowy apartament Lenina w Hotelu Narodowym. Rosjanie pokazują sześć możliwych lokalizacji hotelu. Mają portret psychologiczny Trumpa i stosują „ofensywę uroku": obsypują go komplementami, mówią, że jest niezwykły i wyjątkowy, że powinien zająć się polityką i ma zadatki na prezydenta („tacy jak ty zmieniają świat").

Wrzesień 1987. Trump zaskakuje wszystkich, zamieszczając w „The Washington Post", „The Boston Globe" i „The New York Times" całostronicowe reklamy polityczne. Atakuje w nich NATO i krytykuje kolejne rządy USA za „łożenie na obronę państw, które powinny same płacić za swoją obronę". Media spekulują, co skłoniło dewelopera do wydania 94 801 dolarów. Czyżby przymiarki do prezydentury?

W 1996 roku Trump wraca do Rosji i ogłasza plan zainwestowania 250 milionów dolarów w rosyjskie nieruchomości oraz opatrzenia swym nazwiskiem dwóch luksusowych apartamentowców. Na spotkanie biznesowe zabiera dwie poznane na miejscu Rosjanki i – zdaniem fotografa Trumpa – „ma krótki romans" z byłą Miss Moskwy. Poznaje też Felixa Satera, który odegra kluczową rolę w późniejszych rozmowach Trumpa w Moskwie.

2000. Michael Caputo, późniejszy szef komunikacji w sztabie Trumpa, zostaje specjalistą od PR-u w Gazpromie.

2001. Elon Musk, przyszły sponsor i sojusznik Trumpa, szukając taniej rakiety kosmicznej, odbywa pierwszą z dwóch wizyt w Moskwie i – według biografa Waltera Isaacsona – już pierwszego dnia po mocno zakrapianej kolacji „urywa mu się film".

2005. Paul Manafort, późniejszy szef kampanii prezydenckiej Trumpa, rozpoczyna pracę dla miliardera Olega Deripaski, bliskiego sojusznika Putina.

2006. Sater towarzyszy dzieciom Trumpa – Ivance i Donaldowi Jr. – w podróży do Moskwy i sprawia, że Ivanka może usiąść w fotelu Putina podczas zwiedzania Kremla. – Strażnik protestował, ale przekonałem go pytaniem: „Co ona może zrobić złego, ukraść długopis?" – wspominał po latach Sater.

2008. Trump mówi swym prawnikom, że Dymitrij Rybołowiew kupił od niego dom w Palm Beach na polecenie Putina.

Czerwiec 2013. Michael Flynn – ówczesny szef Agencji Wywiadu Obronnego USA i późniejszy doradca Trumpa – leci do Moskwy na zaproszenie generała dywizji Igora Serguna. Jako jedyny w historii amerykański urzędnik odwiedza kwaterę główną GRU. Poznaje jej szefów, instruuje personel i prowadzi szkolenie z przywództwa.

Listopad 2013. W zamian za 20 milionów dolarów od azersko-rosyjskiego miliardera Arasa Agalarova Trump przenosi do Moskwy konkurs Miss Universe. Wysyła Putinowi zaproszenie zakończone odręcznym postscriptum: „Niecierpliwie czekam na spotkanie z pięknymi kobietami podczas tej podróży". Otrzymuje pokój 1101, czyli apartament prezydencki – 235 metrów kwadratowych, 16 tysięcy dolarów za noc w hotelu Ritz-Carlton, po którym kręcą się „hostessy", a oficer wywiadu nadzoruje setki „kamer bezpieczeństwa" także w pokojach gościnnych. – Od taksówkarza po pokojówkę – wszyscy, z którymi stykał się wtedy Trump, byli agentami Federalnej Służby Bezpieczeństwa, spadkobierczyni KGB. Obserwowali go 24 godziny na dobę – wspomina w kilku wywiadach Siergiej Żyrnow, były oficer KGB mieszkający we Francji.

Grudzień 2013. Choć chwali się „doskonałą pamięcią", Trump przysięga, że nie zna Felixa Satera: – Nawet nie wiem, jak on wygląda – zeznaje w nagraniu wideo sporządzonym na potrzeby pozwu cywilnego.

Styczeń 2014. Julia Kluszyna, gospodyni konkursu Miss Universe, jako pierwsza deklaruje na Twitterze wsparcie przez Rosję jeszcze nieogłoszonej kandydatury Trumpa w wyborach w 2016 roku. Kreml wie o niej na długo przed amerykańską opinią publiczną.

Marzec 2014. Chwilę po tym, jak Federacja Rosyjska ogłasza aneksję Krymu, Trump chwali Putina w dwóch tweetach.

●

Kwiecień 2014. Prezydent Obama dostaje raport, że Rosja buduje infrastrukturę dezinformacyjną mającą osłabiać demokrację w USA i Europie.

Maj 2014. Agencja Badań Internetowych (Internet Research Agency), kremlowska farma trolli, rozpoczyna operację ingerencji w wybory przez szerzenie nieufności wobec instytucji i rządów USA, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Ukrainy i Polski. IRA ma siedzibę w Petersburgu, budżet liczony w milionach dolarów, tysiąc osób pracujących w systemie zmianowym 24/7 i jedno zadanie: sianie dezinformacji. Między innymi za pomocą strażackiego węża dezinformacji (firehose of falsehood), czyli zalewania nimi (inna nazwa to flood the zone) mediów z szybkością uniemożliwiającą przebicie się sprostowań do opinii publicznej. Opracowaną w 2008 r. przez Rosjan metodę węża strażackiego przejęli potem Trump z Muskiem na Truth Social i X.

Czerwiec 2014. Trump chwali się, że w Moskwie rozmawiał z Putinem i dostał od niego „piękny prezent".

Czerwiec 2015. W artykule dla „The National Interest" Maria Butina, rosyjska agentka wpływu mieszkająca w USA, pisze, że „tylko republikański prezydent może uzdrowić relacje między USA a Rosją". Cztery dni później Trump ogłasza kandydaturę.

Lipiec 2015. Hakerzy związani z FSB włamują się do sieci komputerowej Democratic National Committee. Czytają wszystkie maile i wykradają raporty opozycji na temat Trumpa.

Sierpień 2015. Rosyjska IRA nieoficjalnie organizuje marsz Florida Goes Trump. Uwagę mediów przyciąga kobieta w klatce w więziennym stroju i w masce Hillary Clinton. Takich marszów Rosjanie zorganizują kilkadziesiąt, niektóre wraz ze sztabem Trumpa. Ich kremlowska farma trolli, mająca już tysiące kont na Twitterze, Instagramie i Facebooku, szkaluje Clinton, wzmacnia podziały, rozsiewa teorie spiskowe („Hillary zatuszowała śledztwo w sprawie handlu dziećmi!"). Trump, jego syn oraz tysiące sympatyków alt-prawicy i ruchu Make America Great Again szerują gros z nich. Dotrą do 126 milionów Amerykanów na Facebooku. 116 tysięcy rosyjskich postów na Instagramie wywołało 187 milionów komentarzy i polubień.

W samym 2015 roku IRA nagrała i wyemitowała 1100 filmów na 17 kanałach na YouTubie. Organizuje akcje społeczne („ślijcie zdjęcia z hashtagiem #KIDS4TRU, stwórzmy patriotyczny zespół młodych zwolenników Trumpa"), wypuszcza zawirusowaną wtyczkę do przeglądarki Google Chrome o nazwie FaceMusic (pozwa-

Trump po napaści Rosji na Ukrainę w 2022 roku:
To jest genialne! Putin mówi, że dużą część Ukrainy uczyni niepodległą. Och, to wspaniale!

eprasa.pl 5935e39405

la słuchać darmowej muzyki), a nawet propagandową grę Hilltendo, w której Clinton usuwa maile, łapie worki z pieniędzmi i rzuca konstytucją najdalej, jak może.

Listopad 2015. Sater pisze w mailu do Michaela Cohena, prawnika Trumpa: „Nasz chłopak może zostać prezydentem USA. Sprawię, że cały zespół Putina to przyklepie".

10 grudnia 2015. Flynn leci do Moskwy na uroczystą galę z okazji dziesięciolecia propagandowej telewizji RT (dawniej Russia Today). Podczas kolacji siedzi obok Putina. Nazajutrz przez 45 minut krytykuje amerykańską politykę zagraniczną. Dostaje za to 33 750 dolarów. To pierwszy z serii jego suto opłacanych wykładów.

Grudzień 2015. Cohen wysyła maila do Dmitrija Pieskowa, rzecznika Putina, z prośbą o pomoc w projekcie Trump Tower Moscow. Trzy tygodnie później Sater informuje Cohena, że największe rosyjskie banki: Sbierbank, Genbank i VTB Bank (wszystkie objęte amerykańskimi sankcjami), są gotowe sfinansować budowę wieżowca.

●

19 stycznia 2016. Konstantin Sidorkov, dyrektor wykonawczy portalu VKontakte (rosyjski Facebook), śle maile do Trumpa Jr. z ofertą promowania kampanii jego ojca wśród 100 milionów użytkowników VK.

20 stycznia 2016. Cohen dzwoni na prywatny numer asystentki Pieskowa. Pyta o parcelę pod wieżowiec Trumpa i pożyczkę na budowę. Zdradza plan podarowania Putinowi królewskiego, wartego 50 milionów dolarów apartamentu w Trump Moscow.

22 stycznia 2016. Kreml deklaruje użycie „wszelkich środków", by zapewnić zwycięstwo „rozchwianemu Donaldowi Trumpowi" w wyborach, wierząc, że jako prezydent pomoże w realizacji strategicznych celów Rosji: podziału amerykańskiego społeczeństwa, osłabienia USA i skłócenia ich z sojusznikami. „The Guardian" odkryje i opisze ów plan pięć lat później.

26 stycznia 2016. Tydzień po publikacji raportu na temat śmierci Aleksandra Litwinienki w 2006 roku, otrutego radioaktywnym polonem-210, Trump w Fox Business Network broni przywódcy Rosji: – Putin twierdzi, że tego NIE zrobił!

5 lutego 2016. Na moskiewskiej konferencji Infoforum przedstawiciel Kremla mówi, że „nowa rosyjska strategia informacyjna" jest tak ważna jak program jądrowy, który w latach 50. zrównał pozycję negocjacyjną ZSRR z USA.

10 marca 2016. Trump twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny zmniejszyć finansowanie NATO. Konstantin von Eggert, niezależny moskiewski analityk polityczny, komentuje: „Kreml nie może uwierzyć w swoje szczęście".

19 marca 2016 John Podesta, szef kampanii prezydenckiej Clinton, pada ofiarą phishingu po tym, jak ulega sugestii zmiany hasła do poczty mailowej. Odtąd rosyjscy hakerzy mają dostęp do poczty Podesty – kopiują całą jej zawartość, około 50 tysięcy maili.

3 kwietnia 2016. Dana Rohrabacher, znany jako „kremlowski kongresmen z Kalifornii", stary znajomy i ostentacyjny fan Putina (ponoć siłowali się na rękę), leci do Moskwy.

Wita go Jurij Czajka, prokurator generalny Federacji Rosyjskiej. Rohrabacher dostaje notatkę z listą spraw, które mogą zaszkodzić Clinton.

27 kwietnia 2016. Trump, Sessions i Jared Kushner witają ambasadora Rosji Siergieja Kislaka w hotelu Mayflower w Waszyngtonie. Potem Trump wygłasza przemówienie zredagowane przez George'a Papadopoulosa (aresztowanego rok później za okłamywanie FBI w kwestii kontaktów z Rosjanami), Dimitriego Simesa (w 2022 roku ucieknie do Rosji) i Richarda Burta (ówczesnego lobbysty Gazpromu) o potrzebie ocieplenia wzajemnych stosunków i złagodzenia sankcji wobec Rosji.

30 kwietnia 2016. CrowdStrike, firma zajmująca się cyberbezpieczeństwem, ustala, że za włamaniem do serwerów DNC stoją dwie niezależne grupy hakerów: Cozy Bear podległa FSB i Fancy Bear podległa GRU.

16 maja 2016. Po pokonaniu 16 rywali Trump zostaje kandydatem Republikanów.

22-25 maja 2016. Roger Stone, były doradca kampanii Trumpa, oferuje 2 miliony dolarów hakerom za materiały obciążające Clinton. Łącznikiem jest Rosjanin przedstawiający się jako Henry Greenberg.

3 czerwca 2016. Jeden z pośredników między Kremlem a Trumpami wysyła Juniorowi propozycję spotkania z rosyjskim urzędnikiem, który „ma haki na Hillary bardzo przydatne dla twojego ojca". Po 17 minutach Trump Jr. odpowiada: „Bardzo mi się to podoba", i informuje o rosyjskiej ofercie ojca.

9 czerwca 2016. Rosjanie przybywają do Trump Tower na tajne spotkanie z szefem kampanii prezydenckiej Paulem Manafortem, Jaredem Kushnerem i Trumpem Jr. Według tego ostatniego „w sprawie adopcji rosyjskich dzieci". W istocie chodziło o przekazanie materiałów obciążających sztab Clinton „w ramach wsparcia pana Trumpa przez rząd Rosji" – przyznała potem emisariuszka Kremla Natalia Weselnicka.

15 czerwca 2016. Kevin McCarthy, lider większości w Izbie Reprezentantów, ostrzega znajomych Republikanów: – Myślę, że Putin płaci dwóm osobom – Trumpowi i Rohrabacherowi.

●

10 lipca 2016. Seth Rich, pracownik DNC, ginie w Waszyngtonie od dwóch strzałów w plecy. Julian Assange, ukrywający się w londyńskiej ambasadzie Ekwadoru założyciel WikiLeaks, niemal natychmiast sugeruje, że Rich wykradł maile Demokratów i był jego źródłem, za co został zamordowany przez zwolenników Clinton. Tę teorię spiskową nagłośni IRA, alt-prawica i stacja Fox News ponaglana przez Trumpa. W 2019 roku specjalny prokurator Robert Mueller napisze w raporcie: „Assange zwalił winę na Richa, by wybielić Rosjan".

27 lipca 2016. Podczas konferencji prasowej Trump wzywa Rosję, by włamała się na prywatny serwer Clinton i ujawniła usunięte maile z czasów, gdy urzędowała w Departamencie Stanu: – Rosjo, jeśli mnie słyszysz, znajdź te 30 tysięcy brakujących maili. Jeszcze tego samego dnia rosyjscy hakerzy próbują zhakować pocztę Clinton.

1 września 2016. Putin komentuje włamanie do DNC: „Nieważne, kto ukradł maile, ważne, co zawierają".

7 października, miesiąc przed wyborami, o 16:23 „The Washington Post" publikuje nagrany ukradkiem film, na którym 59-letni Trump chwali się, że kobiety pozwalają mu na wszystko: „Nawet nie czekam, łapię ją za cipkę".

O 16:30, 7 minut później, WikiLeaks odwraca uwagę świata, zalewając sieć wykradzionymi Podeście mailami, które mają skompromitować Clinton i jej sztab.

31 października 2016. Obama dzwoni do Putina, żądając zaprzestania ingerencji.

9 listopada 2016. Trump wygrywa wybory prezydenckie.

10 listopada 2016. Obama ostrzega Trumpa, by nie zatrudniał Flynna, który kursuje do Rosji i współpracuje z tamtejszymi firmami. Tydzień później Trump mianuje Flynna doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

11 listopada 2016. Na moście Arlington Memorial w Waszyngtonie rosyjska IRA zawiesza kilkunastometrowy banner ze zdjęciem Obamy i napisem: „Żegnaj, morderco".

12-13 listopada 2016. Na różnych platformach IRA powiela szyderczy post: „Przegraliście i nie wiecie, co robić? Zrzućcie winę na rosyjskich hakerów!".

29 grudnia 2016. Za ingerencję w wybory Obama karze Rosję sankcjami i wydaleniem 35 dyplomatów. Trump pisze: „Ameryka powinna żyć ważniejszymi sprawami". Tego samego dnia Flynn nieoficjalnie rozmawia z ambasadorem Kislakiem o możliwości złagodzenia sankcji przez Trumpa, który już za trzy tygodnie zastąpi Obamę.

Ruble przebrane za dolary

200 telewizorów

• do swojego pierwszego hotelu w Nowym Jorku Trump kupił w 1980 roku od Siemiona Kislina – współwłaściciela sklepu z elektroniką przy Piątej Alei i agenta KGB

100 pięter

• miał mieć hotel Trump Tower Moscow, który ambasador ZSRR Jurij Dubinin planował z Trumpem w 1986 roku

94 801 dolarów

• wydał Trump w 1987 roku na całostronicowe ogłoszenia w The Washington Post", „The Boston Globe" i „The New York Times", w których krytykował NATO i rządy USA za „łożenie na obronę państw, które powinny same płacić za swoją obronę"

4 miliardy dolarów

• 72 bankom były winne firmy Trumpa w latach 90.

95 milionów

• dolarów zapłacił w latach dwutysięcznych Dmitrij Rybołowlew, oligarcha bliski Kremlowi, za wart 41 milionów dom Trumpa w Palm Beach, który nie mógł znaleźć nabywcy

20 milionów

• dolarów dostał Trump w 2013 roku od azersko-rosyjskiego miliardera Arasa Agalarova za przeniesienie do Moskwy konkursu Miss Universe

Do 126 milionów

• Amerykanów dotarła na Facebooku w 2015 roku, u progu kampanii prezydenckiej Trumpa, wymierzona w Demokratów kampania dezinformacyjna Internet Research Agency, kremlowskiej farmy trolli

40 tysięcy dolarów

• kosztuje jeden dron Shahed. Jeden troll – 780-850 dolarów miesięcznie

31 grudnia 2016. Kislak dzwoni do Flynna i mówi, że Rosja nie wdroży działań odwetowych wobec USA, bo Putin uwzględnił uwagi Flynna.

6 stycznia 2017. Dwa tygodnie przed zaprzysiężeniem szefowie agencji wywiadowczych informują prezydenta elekta, że brytyjskie i holenderskie służby jednoznacznie przypisują Rosji włamanie do serwera Demokratów. Potwierdziły to, penetrując rosyjskie sieci wywiadowcze i odnajdując tam skradzione z DNC maile. Trumpowi zakomunikowano też, że szpieg, którego CIA kształciła od dekad i który dotarł do najwyższych szczebli Kremla, ustalił, iż Putin osobiście nakazał ingerencję rosyjskich służb w amerykańskie wybory.

●

11 stycznia 2017. Paul Wood z BBC ogłasza, że stacja dotarła do dwóch byłych szpiegów, którzy potwierdzili istnienie materiału kompromitującego (kompromatu) prezydenta USA. Chodzi o „więcej niż jeden film" nakręcony trzy lata wcześniej w hotelu Ritz-Carlton z udziałem Trumpa i prostytutek. Trump jest wściekły, nazwa to „gównem" i pisze: „Coś takiego nigdy nie powinno być ujawnione".

22 stycznia 2017. „The Wall Street Journal" informuje, że Michael Flynn jest objęty śledztwem w sprawie kontaktów z Rosjanami. Tego samego dnia Flynn składa przysięgę jako 25. doradca ds. bezpieczeństwa narodowego.

26 stycznia 2017. Departament Sprawiedliwości informuje Trumpa, że, rozmawiając o sankcjach USA z Kislakiem (tylko 29 grudnia dzwonili do siebie pięć razy), Flynn złamał ustawę Logana, która zabrania nieuprawnionym obywatelom negocjowania z obcymi rządami.

14 lutego 2017. Trump prosi szefa FBI Jamesa Comeya o umorzenie śledztwa w sprawie Flynna: „To dobry facet i liczę, że znajdziesz sposób, by zostawić go w spokoju".

24 lutego 2017. Nigel Farage, brytyjski populista i autor brexitu, mówi na CPAC – najważniejszej konferencji amerykańskich konserwatystów i prawicy, że wybór Trumpa i brexit to początek „wielkiej globalnej rewolucji".

10 marca 2017. Trump zwalnia 46 prokuratorów federalnych, z których część prowadzi sprawy dotyczące prania brudnych pieniędzy przez rosyjskie firmy (Weselnicka jest prawniczką jednej z nich). Prosi też dyrektora wywiadu narodowego Daniela Coatsa i szefa CIA Mike'a Pompeo, aby publicznie zaprzeczyli jakimkolwiek związkom jego kampanii z Rosją (obaj odmówili).

9 maja 2017. Trump zwalnia Comeya, obwiniając go o „upolitycznianie śledztwa w sprawie Rosji, co utrudnia administracji współpracę z Moskwą".

10 maja 2017. Trump gości rosyjską delegację. Według „New York Timesa" mówi jej, że „wyrzucenie wariata Comeya poprawi wzajemne relacje".

●

17 maja 2017. Podczas spotkania z doradcami w Gabinecie Owalnym prezydenta zaskakuje komunikat, że wyznaczono specjalnego prokuratora do zbadania rosyjskiej ingerencji w wybory i udziału w tym Trumpa. Według „New York Timesa" Trump, słysząc, że będzie nim Robert S. Mueller III, osuwa się na krzesło, mówiąc: „O mój Boże, to straszne. To koniec mojej prezydentury. Jestem skończony!". Przez dwa lata Mueller, były dyrektor FBI, będzie pod obstrzałem POTUS-a, jego akolitów, ludzi MAGA i IRA-trolli.

20 maja 2017. W wywiadzie dla „NYT" współzałożyciel Twittera Evan Williams przeprasza za rolę Twittera w wyborach: „Stała się zła rzecz. Jeśli to prawda, że on wygrał dzięki Twitterowi, to przepraszam".

Czerwiec 2017. Don McGahn, doradca prawny Białego Domu, dostaje polecenie od Trumpa, by nakazał najwyższym urzędnikom Departamentu Sprawiedliwości odwołać Muellera. Odmawia. Trump każe mu potem fałszować dokumenty, by zmylić Muellera. McGahn skarży się szefowi personelu Białego Domu: „Trump zmusza mnie do szalonych rzeczy".

25 lipca 2017. Wychodzi na jaw, że tydzień wcześniej Trump odbył prywatną, prawie godzinną rozmowę z Putinem podczas szczytu G20 w Niemczech. Twierdzi, że rozmawiali „o adopcji dzieci".

16 sierpnia 2017. Rohrabacher odwiedza Assange'a w ambasadzie Ekwadoru w Londynie. Obiecuje mu ułaskawienie przez Trumpa, o ile WikiLeaks przedstawi „dowody", że Rosja nie była zamieszana w wyciek maili z komitetu Demokratów.

8 października 2017. Zapytany, co sądzi o żądaniu Putina, by 755 amerykańskich dyplomatów opuściło Rosję, Trump odpowiada: – Podziękuję mu, jeśli zwolni ich aż tylu. Staramy się oszczędzać pieniądze i ciąć wynagrodzenia. Będę mu za to wdzięczny.

●

6 listopada 2017. Dane z Twittera wskazują, że Kreml zaczął wspierać Trumpa zaraz po ogłoszeniu przez niego kampanii.

14 listopada 2017. Serwis Buzzfeed donosi, że rosyjskie MSZ przelało ponad 380 tysię-

eprasa.pl 5935e39405

cy dolarów do ambasad na całym świecie. Jako tytuł operacji podano: „Na kampanię wyborczą w 2016 roku".

17 listopada 2017. Podczas konferencji prasowej Trump zapewnia dziennikarzy: „Prezydent Putin, ilekroć mnie widzi, mówi: »Nie zrobiłem tego, nie ingerowałem w wybory«. I ja mu wierzę, naprawdę wierzę. Myślę, że jest bardzo urażony. Lepiej zajmijcie się Syrią".

20 stycznia 2018. Twitter ogłasza, że doliczył się 3814 kont związanych z kremlowską Agencją Badań Internetowych oraz 13 512 kont botów z siedzibą w Rosji. Te ostatnie do dnia wyborów retweetowały wpisy Trumpa 470 000 razy.

8 lutego 2018. Rosyjski lider opozycji Aleksiej Nawalny publikuje na YouTubie 25-minutowy film, w którym zarzuca Manafortowi, że ten śle Kremlowi wyniki wewnętrznych sondaży. Pośrednik? Oleg Deripaska.

18 lutego 2018. Herbert McMaster, następca Flynna w roli doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, stwierdza, że „fakt ingerencji Rosji w wybory prezydenckie jest niepodważalny". Miesiąc później Trump go zwalnia.

4 marca 2018. „NYT" pisze, że Departament Stanu nie wydał ani centa ze 120 milionów dolarów przyznanych mu przez Kongres w 2016 roku na przeciwdziałanie rosyjskiej dezinformacji.

2 kwietnia 2018. FBI ustala, że w hakowaniu serwerów Demokratów pomagał major FSB Dmitrij Dokuczajew, poszukiwany za udział w wycieku danych z kont 500 milionów użytkowników Yahoo! w 2013 roku.

4 kwietnia 2018. Mark Zuckerberg przyznaje, że w trakcie wyborów w USA dane osobowe 87 milionów użytkowników Facebooka mogły trafić do Cambridge Analytica, brytyjskiej firmy znanej z targetowania reklam politycznych i oskarżanej o wpływ na brexit.

28 kwietnia 2018. Brytyjskie MSZ zorganizowało serię spotkań z dyrektorami Cambridge Analytica w Londynie, Waszyngtonie i Nowym Jorku, „by lepiej zrozumieć", w jaki sposób Trump wygrał.

6 czerwca 2018. Zdaniem Trumpa Rosja powinna wrócić do grupy G8, z której ją wykluczono po aneksji Krymu. Udając się na szczyt G7, mówi reporterom: – Czy wam się to podoba, czy nie, mamy świat do rządzenia i powinniśmy mieć Rosję przy stole negocjacyjnym!

5 lipca 2018. Według serwisu The Daily Beast ktoś zatrudnił blogerów z Indii i Indonezji do pisania artykułów tuszujących związki Trumpa z Saterem i Bayrock Group po to, by zmienić wyniki wyszukiwania Google'a.

16 lipca 2018. Po spotkaniu z Putinem na szczycie G20 w Helsinkach Trump odbiera notatki tłumaczowi i każe mu milczeć – niszczenie notatek uczyni normą podczas kolejnych rozmów „w cztery oczy" z Putinem.

28 sierpnia 2018. Trump tweetuje, że to Chiny włamały się na serwer pocztowy Clinton.

20 listopada 2018. Trump, który przystał jedynie na pisemną formę przesłuchania przez Muellera, na 30 pytań odpowiada: „Nie pamiętam".

●

Dużo wcześniej niż Fionie Hill czerwona lampka zapaliła się Hillary Clinton. Putin nienawidzi jej od 2011 roku, gdy obwinił ówczesną sekretarz stanu o wywołanie masowych demonstracji i zamieszek w Moskwie po tym, jak podważyła uczciwość wyborów prezydenckich, które wygrał. Na zemstę czekał pięć lat. Włamanie na serwer Demokratów wywołało zamęt w ich szeregach i osłabiło Clinton w kluczowym momencie jej kampanii.

Jakby uprzedzając atak, pod koniec 2015 roku sztab Clinton wynajął byłego szefa Rosyjskiego Biura Wywiadowczego w MI6, by ocenił, czy obce służby mogą kierować kandydatem Republikanów. Christopher Steele miał 23 lata praktyki i cenne kontakty. Udał się do Rosji, by poznać kulisy wizyt Trumpa i jego synów, którzy jeździli tam „dziwnie często" (Donald Junior – sześć razy w ciągu 18 miesięcy). Od dawnych kontaktów dowiedział się, że Rosjanie mają kompromitujący materiał na Trumpa – firm nakręcony z grupą prostytutek w apartamencie prezydenckim hotelu Ritz-Carlton.

Zaniepokojony Steele zawiadomił FBI. Gdy w czerwcu 2016 roku pokazał wstępny 35-stronicowy raport jednemu z jej agentów, reakcją był „szok i strach". Steele ustalił, że rosyjski reżim wspiera Trumpa od pięciu lat – śle mu informacje wywiadowcze na temat rywali politycznych i wykorzystuje go, by siał chaos oraz podsycał podziały w zachodnich demokracjach.

Gdy wieść o dossier Steele'a się rozniosła, w Moskwie doszło do dramatycznych zdarzeń: byłego generała FSB znaleziono martwego w bagażniku jego Lexusa, a byłego szefa departamentu cyberbezpieczeństwa FSB wywleczono ze spotkania z workiem na głowie. Kreml stanowczo zaprzeczył, że powodem było udzielenie informacji Brytyjczykowi.

Wtedy też służby kilku państw wykryły podejrzane kontakty ludzi Trumpa z Rosjanami. Gdy w lipcu 2016 kandydat na prezydenta USA wezwał Rosję, by włamała się na serwer Clinton, FBI wszczęło śledztwo w sprawie rosyjskiej ingerencji w wybory. Agenci spodziewali się jednego, góra dwóch łączników między Trumpem a Kremlem. Ku swemu zdumieniu naliczyli ich tuzin i wciąż odkrywali następnych. Trump poczuł się zagrożony, więc już jako prezydent zwolnił szefa FBI Jamesa Comeya. To wzbudziło podejrzenie o przestępstwo przeciwko wymiarowi sprawiedliwości i zrodziło kolejne śledztwo. Na jego czele stanął niezależny agent specjalny Robert Mueller.

Trump zrozumiał, że wpadł z deszczu pod rynnę – Mueller był metodyczny, skrupulatny i odporny na naciski. Szybko odkrył liczne dokumenty IRA nakazujące jej pracownikom podszywanie się pod Amerykanów, popieranie Trumpa, współpracę z jego sztabem i „krytykowanie Hillary Clinton przy każdej okazji".

Śledztwo zakończyło się w marcu 2019 roku dwutomowym raportem i wnioskiem, że „Rosja ingerowała w wybory prezydenckie w rozległy i systematyczny sposób". Ale też postawieniem zarzutów trzem firmom i 34 osobom, z których osiem przyznało się do winy (w tym podwładni Trumpa: Manafort, Flynn i Stone).

Wydawało się, że rewelacje Muellera będą dynamitem. Ale ludzie MAGA szybko wyrwali z niego lont. Posłuszny Trumpowi prokurator generalny William Barr jeszcze przed lekturą raportu zwołał konferencję prasową, na której obwieścił: „Tak jak prezydent mówił od początku, żadnej zmowy nie było".

Jeszcze bardziej wnikliwy, bo liczący pięć tomów, był raport senackiej komisji wywiadu. Stwierdzał, że sztab Trumpa „maksymalizował korzyści" z włamań do serwerów DNC, promując materiały dostarczane przez rosyjskich hakerów i zachęcając ich do dalszych działań.

W sumie wpływ Rosji na wybory i kandydata Republikanów był przedmiotem pięciu śledztw. Obnażyły dwutorowy modus operandi Rosjan: hakerzy GRU wykradali maile Demokratów, a armie trolli zalewały media społecznościowe fake newsami i teoriami spiskowymi wzmacniającymi antysystemowy przekaz Trumpa: „Nie ufajcie sądom. Nie ufajcie sondażom. Nie ufajcie redakcjom. Nie ufajcie amerykańskim agencjom wywiadowczym i ich raportom. Nie ufajcie nawet wynikom wyborów".

Już dwa pierwsze śledztwa tak zaniepokoiły Trumpa, że radykalnie zmienił narrację. Do połowy 2016 roku wychwalał swą relację z Putinem, którą dziennikarz „GQ" opisał jako „bromance". A pod koniec lipca zaskoczył wszystkich, powtarzając na wiecach: – Nie wiem, kim jest Putin. Nigdy go nie spotkałem. Nie mam z nim żadnej relacji!

●

Skąd ta wolta? Widząc, jak skuteczne są rosyjskie farmy trolli i czując, że torują mu drogę do Białego Domu, nie chciał, by to im przypisano zwycięstwo i podważono wybory. Dlatego przez kilka lat robił wszystko, by zdyskredytować śledztwa.

Najbardziej karkołomną próbę przypłacił impeachmentem. Jej rdzeniem była absurdalna rosyjska teoria spiskowa CrowdStrike, nazwana tak od firmy, która wykryła, że za włamaniem do serwera Demokratów stoją Rosjanie. Hakerzy GRU postanowili odbić piłeczkę i zrzucić winę na Ukraińców – to oni mieliby się włamać na serwer DNC i przypisać to Rosji, by stworzyć wrażenie, że Moskwa wspiera Trumpa. Dowodem miał być „wykradziony i ukryty gdzieś na Ukrainie" serwer DNC. Oraz „fakt", jakoby właścicielem CrowdStrike'u był Ukrainiec.

Żadnego serwera nie skradziono, a „Ukraińcem" okazał się Amerykanin pochodzenia rosyjskiego. Ale „zmowa Demokratów z wrogami Rosji mająca wrobić ją w sfingowane włamanie, by oczernić Kreml i pogrążyć Trumpa", była tym, czego POTUS potrzebował. W lipcu 2019 roku zadzwonił do Wołodymyra Zełenskiego z kuriozalną prośbą, by nowy prezydent Ukrainy zdobył dowody na udział swego kraju w rzekomym spisku mającym oczernić Trumpa i obwinić Rosję.

„Chciałbym, żebyś dowiedział się, co się stało z całą tą sytuacją w Ukrainie, mówią, że CrowdStrike... Chyba masz jednego z twoich bogatych ludzi... Serwer, mówią, że Ukraina go ma. Prokurator generalny zadzwoni do ciebie, chciałbym, abyście dotarli do sedna sprawy" – POTUS plątał się w rozmowie, której transkrypcja się zachowała. Zełenski nie chciał i nie mógł spełnić tej prośby. Ale Trump wzmocnił ją groźbą – zablokował wypłatę wartego 400 milionów dolarów pakietu pomocy wojskowej dla Ukrainy. Nalegał w dodatku, by Zełenski pomógł mu zdobyć „kwity" na Joego Bidena, kontrkandydata w następnych wyborach prezydenckich.

Oferowanie pieniędzy w zamian za czynności urzędowe amerykańskie prawo karne klasyfikuje jako quid pro quo, co jest eufemizmem oznaczającym „wymuszenie" lub „przekupstwo". Tu na szczeblu międzynarodowym i najcięższego kalibru – prezydent USA zabiegał o zagraniczną ingerencję w wybory prezydenckie, które chciał wygrać. A potem zmuszał do mataczenia własnych urzędników, by utrudnić dochodzenie Kongresu. To wystarczyło do uruchomienia procedury odwołania prezydenta. Jednak w styczniu 2020 roku republikański w większości Senat uniewinnił go, przy okazji ratując przed możliwym wyrokiem za przekupstwo lub nawet zdradę stanu. Trump był trzecim prezydentem poddanym impeachmentowi i pierwszym, którego spotkało to ponownie – w 2021 roku za atak na Kapitol.

Wywinął się Temidzie, ale nie przebaczył Zełenskiemu. Wielu przeciwników Trumpa przekonało się, że jest mściwy i pamiętliwy, czego zresztą sam nie ukrywa. Prezydent Ukrainy nie spełnił jego prośby, nie dostarczył dowodów obciążających Demokratów, Ukrainę i Bidena, więc musiał być za to ukarany, surowo i publicznie. Okazja nadarzyła się 28 lutego podczas spotkania w Białym Domu – Zełenski był pierwszą wyrzuconą z niego głową państwa. Przegrał, nim jeszcze przekroczył próg.

Ale jakim cudem ponownie przekroczył go Trump?

●

Po zanegowaniu przegranych wyborów i niesławnym szturmie na Kapitol **(styczeń 2021 roku**, 5 ofiar śmiertelnych, 140 rannych, 4 samobójstwa) wydawało się, że ktoś tak skompromitowany nigdy nie wróci do Gabinetu Owalnego. A jednak wrócił. Z hukiem i widocznym gołym okiem udziałem Rosjan. Którzy mieli i łatwiej, i trudniej.

Trudniej, bo Trump nie odniósł znaczących sukcesów. Przeciwnie: zwiększył zadłużenie kraju o 8 bilionów dolarów, pogorszył deficyt handlowy, nie zakończył wojny w Afganistanie, nie przekonał Kim Dżong Una do redukcji północnokoreańskiego arsenału nuklearnego i popsuł relacje z długoletnimi sojusznikami USA.

W rankingu prezydentów zajął ostatnie, 45. miejsce, wypadając gorzej niż obwiniany o wojnę secesyjną James Buchanan i budząc sprzeciw nawet części Republikanów (ruch Never Trump). Na metę wyborów wpadł jako skazany przestępca – uznany za winnego 34 zarzutów. Jego pozycja była gorsza niż za pierwszym razem, kiedy był polityczną carte blanche.

Ale Rosjanie mieli też łatwiej, bo znaleźli potężnych sprzymierzeńców: COVID-19 i Elona Muska.

Trump zlekceważył pandemię, Kreml przeciwnie – wspierając ruchy antyszczepionkowe, skrupulatnie wykorzystał ją do dzielenia społeczeństw i inicjowania kampanii nieposłuszeństwa wobec instytucji rządowych. Pokłosiem tego są miliony kont z przekazem zbieżnym z rosyjską agendą: antydemokratycznym, antysystemowym, antynaukowym, antymniejszościowym, antyekologicznym.

Szef platformy X zmienił ją zaś w globalny megafon dezinformacji. Od dwóch lat każda, nawet najbardziej szalona teoria spiskowa zostaje przez eks-Twittera nagłośniona, o ile godzi w Demokratów, liberałów, Brukselę, imigrantów, mniejszości czy wrogów alt-prawicy. Tak Musk rozumie „wolność słowa", którą co dnia serwuje 100 milionom Amerykanów. Kto jest poza krytyką? Chiny i Rosja.

Rosyjska IRA – wylęgarnia fake newsów i teorii spiskowych – ma więc ułatwione zadanie: algorytmy X eksponują jej przekaz, który przenika do Fox News i innych mediów, a następnie wybrzmiewa w postach pożytecznych idiotów i płatnych trolli. Zachęcony sukcesem Projektu Lakhta i umieszczeniem swego faworyta w Białym Domu Kreml zwielokrotnił wydatki na NGW do prawie 2 miliardów dolarów rocznie. Zaangażował sztuczną inteligencję do kreacji deepfake'ów, rozbudował IRA i stworzył jej klon – ANO Dialog, centralny ośrodek kontroli informacji cyfrowej Kremla.

Mącenie ludziom w głowach z pomocą serwisów społecznościowych Rosja uznała za

W 2018 roku ktoś zatrudnił blogerów z Indii i Indonezji do pisania artykułów tuszujących związki Trumpa z rosyjskimi deweloperami, by zmienić wyniki wyszukiwania Google

eprasa.pl 5935e39405

najtańszą (jeden dron Shahed kosztuje około 40 tysięcy dolarów, a jeden troll 780-850 dolarów miesięcznie) i najskuteczniejszą metodę zwiększania wpływów i rozbijania zachodnich demokracji. Potwierdziła to druga „pozornie niemożliwa" kadencja. Bezcenna dla Kremla z wielu powodów.

●

W niecały rok Trump:

zniszczył reputację Ameryki jako niezawodnego mocarstwa broniącego światowego porządku; przerwał izolację i wzmocnił pozycję zbrodniarza wojennego, wprowadzając go na salony; zerwał sojusz transatlantycki między USA a Europą, którą traktuje jak konkurenta, a nawet wroga; zwalniając ponad 100 tysięcy osób, osłabił urzędy federalne, instytucje demokratyczne i agencje wywiadowcze USA; wywołał chaos na światowych rynkach, nakładając i uchylając cła.

A teraz:

podkopuje wizerunek Ukrainy i jej prezydenta; powiela rosyjską propagandę, obwiniając za wojnę w Ukrainie Joego Bidena, NATO i samą Ukrainę; gra na rozbicie Unii Europejskiej przez szkalowanie jej, wspieranie populistycznych i prorosyjskich partii oraz osłabianie NATO; wzmacnia napięcia społeczne, ogranicza wolność słowa i prawa Amerykanów.

Każdy z tych punktów to wielki prezent dla Kremla. A koniec kadencji dopiero za trzy lata.

Prezentem, i to przewiązanym czerwoną wstążką, było zaproszenie rosyjskiego dyktatora na Alaskę. Putin nie dowierzał, że po latach izolacji za napaść na Krym i Ukrainę znów jest podejmowany z honorami godnymi przywódcy światowego mocarstwa. Wymowne zdjęcie amerykańskich żołnierzy, którzy na klęczkach rozkładają czerwony dywan przed samolotem Putina, ukraiński korespondent Mustafa Nayem podpisał: „Make Kneeling Great Again" (uczyńmy klękanie znów wspaniałym).

Spotkanie pokazało, że od czasu Helsinek niewiele się zmieniło. Uległość wobec gościa, który wyraźnie kontrolował sytuację, Fiona Hill tłumaczy anachronicznym postrzeganiem Rosji przez Trumpa: „W jego oczach to mocarstwo niemal równe USA, choć ma PKB Florydy. POTUS umniejsza skalę osiągnięć amerykańskiej demokracji, a wyolbrzymia potęgę reżimów rządzonych przez despotów otaczanych kultem jednostki".

Trump zazdrości dyktatorom władzy i bezkarności.

Chciałby, pstrykając palcami, zmuszać wszystkich do podporządkowania się jego woli. Jak Xi Jinping czy Kim Dżong Un. Chciałby budzić respekt, choćby strachem. Stąd niby mające zwalczać przestępczość wojska Gwardii Narodowej w miastach rządzonych przez Demokratów, stąd naloty na domy i firmy, a potem deportacje złapanych tam imigrantów. Chciałby nie borykać się z opozycją, mediami – dlatego podporządkowuje je sobie, zastraszając w sądach i szantażując – czy skandalami w rodzaju akt Epsteina. Chciałby w spokoju się bogacić i być podziwianym.

Prawie pół wieku temu kremlowscy psycholodzy trafnie przeczytali Trumpa. Jego narcyzm i chciwość, jego słabość do komplementów i kobiet były jak klawisze fortepianu. A Putin okazał się zręcznym pianistą – gra na podobieństwach, których nie brakuje.

●

Obaj respektują prawo silniejszego – kto ma siłę, ten ma rację i nie musi się tłumaczyć.

Obaj traktują politykę zagraniczną jako grę o sumie zerowej.

Dla obu wielostronne sojusze to podstęp małych płotek chcących usidlić duże ryby.

Obaj wierzą w orwellowskie strefy wpływów z podziałem na Oceanię, Eurazję i Azję Wschodnią.

Obaj potrafią bezczelnie i uparcie kłamać na przekór faktom i logice.

Obaj nie przejmują się losem zwykłych ludzi.

Obaj są pamiętliwi, mściwi i żądni atencji.

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

• **Donald Trump wita Putina podczas sierpniowej wizyty rosyjskiego dyktatora na Alasce**

Stan zdrowia obu budzi wątpliwości.

Ale są też różnice.

Świat Trumpa kręci się wokół pieniędzy, które są celem większości jego działań.

Dla Putina pieniądze są środkiem do celu, czyli wojen i podbojów.

Trump nie ma idei. „Make America Great Again" to odkurzone hasło kampanii Reagana z 1980 roku.

Idée fixe Putina to podbicie i przyłączenie do Rosji wszystkich terenów, jakie kiedykolwiek zajmowała.

Na pierwszym miejscu w świecie Trumpa jest on sam i jego rodzina.

U Putina pierwszeństwo ma znaczenie i powierzchnia Rosji.

Trumpa nie interesuje historia. Wraca do przeszłości głównie przy okazji rocznic.

Putin chętnie i często do niej nawiązuje. Historia jest dla niego punktem wyjścia i uzasadnieniem podbojów terytorialnych.

Sport? Trump gra w golfa. Poza tym unika wysiłku, a ostatnio przysypia na spotkaniach.

Choć Putin jest tylko sześć lat młodszy, wciąż ćwiczy judo i sambo (bywał mistrzem Leningradu/Petersburga, ma czarny pas – 8. Dan). Jeździ na nartach, łyżwach i konno.

Języki? 47. prezydent USA jest przeciwieństwem trzeciego – Thomas Jefferson władał francuskim, włoskim, hiszpańskim, starogreckim i łaciną. Trump nie zna języków i gani podwładnych za ich używanie w jego obecności.

Putin mówi biegle po niemiecku i komunikatywnie po angielsku.

Trump kreuje się na międzynarodowego rozjemcę aspirującego do Pokojowej Nagrody Nobla.

Przywódca Kremla prowadzi permanentną walkę ze światem Zachodu. Uważa, że szacunek do Rosji jest pochodną strachu przed nią. Coraz częściej wkłada mundur.

W rozmowie z „The Atlantic" Fiona Hill dorzuca kwestię najważniejszą: „Putin jest naprawdę bezwzględny, ludzkie życie ma za nic".

Kadencję premiera Federacji Rosyjskiej zaczął od wysadzenia czterech bloków wraz z mieszkańcami, obwinienia za to Czeczenów i rozpętania drugiej wojny czeczeńskiej. Nagrodą były pierwsze wygrane wybory prezydenckie. Czeczenia, Gruzja, Syria i Ukraina dowodzą, że ataki na obiekty cywilne traktuje jako element gry wojennej. Przyznał, że w 2016 roku był gotów „zbombardować do fundamentów całe Aleppo", czyli największe, przeszło półtoramilionowe miasto w Syrii.

Nawet w Rosji uważa się, że jego ulubionym sposobem uciszania przeciwników jest mokra robota. Fala dziwnych samobójstw i wypadków (pułkownik Wadim Bojko pięć razy postrzelił się w klatkę piersiową, oligarchowie zwykle „wyskakują" przez okno, przy okazji na różne sposoby giną ich rodziny) doczekała się nazwy „syndromu nagłej śmierci rosyjskiej".

Putin pielęgnuje dziedzictwo Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy sowieckiej bezpieki po rewolucji październikowej, który popierał zorganizowany terror i mawiał: „Czeka [pramatka sowieckich służb] ma obowiązek tępić wroga, nawet jeśli jej miecz przypadkiem odrąbie głowy niewinnych". Każdego 20 grudnia prezydent obchodzi Dzień Czekisty.

●

Wszystkie te różnice dają mu przewagę w negocjacjach.

– Jego teorie są błędne, jego rady – groźne, jego riposty – ostre. Mówi szybko i akcentuje kluczowe słowa. Jest dobrze wyszkolony i zawsze przygotowany. Uderza w słabe punkty rozmówcy i używa kłamstwa jako broni. Odwołuje się do historii, operuje faktami i zna szczegóły znacznie lepiej niż Trump – wspomina Michael McFaul, były ambasador USA w Rosji, który rozmawiał z Putinem wiele razy.

Były oficer KGB dwa razy ograł Obamę: raz w kwestii Krymu, w który wszedł jak w masło, drugi raz w Syrii, gdzie obronił zbrodniczy reżim Asada. A wcześniej tak zastraszył prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza, że ten w ostatniej chwili odstąpił od podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską.

Trump improwizuje. Nie przygotowuje się, „bo nie musi". Wierzy, że jest urodzonym dealmakerem, który na negocjacjach zbudował karierę deweloperską. Ignoruje rady, powtarza, że ma „ogromną wiedzę". Spytany w programie „Morning Joe" stacji MSNBC, z kim konsultuje politykę zagraniczną, mówi: – Rozmawiam sam ze sobą, bo mam bardzo dobry umysł i instynkt w tych sprawach.

Zapewnia, że ma świetną pamięć. Ale coraz częściej myli fakty, traci wątek, zapomina słów. Dlatego unika szczegółów i zastępuje je przymiotnikami. Mówiąc dużo i trzy po trzy, nie potrafi przekuć ilości w jakość. Nawet podczas dwugodzinnych rozmów nie robi notatek i każe niszczyć je tłumaczom. – To niemożliwe, by pamiętał wszystkie szczegóły, do których zresztą nie ma głowy. Ja sam, ilekroć czytam własne notatki, dziwię się, jak wiele umknęło mi z rozmowy – przyznaje Chris Cillizza z CNN.

Ma też problemy z logiką. Jesienią chwalił się, że obniżył ceny leków o 1400 procent. – Wyłonienie sensu z jego mętnych wywodów jest jak próba przekształcenia zupy rybnej z powrotem w akwarium – wspomina były doradca John Bolton.

– Putin niczym wąż hipnotyzuje Trumpa, dozując mu komplementy. Jak ten, że gdyby to on rządził, a nie Biden, wojny by nie było. Te pochwały prezydent często przytacza – widać, ile dla niego znaczą – mówi Fiona Hill.

W książce „War" Bob Woodward pisze: „Nawet między kadencjami Trump dzwonił na Kreml aż siedem razy".

Jego zauroczenie Putinem ociera się o absurd. Z miejsca pochwalił napaść Rosji na Ukrainę: „To jest genialne! Putin mówi, że dużą część Ukrainy uczyni niepodległą. Och, to wspaniale!".

– Największe niebezpieczeństwo polega nie na tym, że POTUS nie zawrze porozumienia, lecz na tym, że zawrze złe porozumienie. Na przykład w zamian za mętną obietnicę pokoju odda Putinowi kawał cudzego kraju – uważa Mark Galeotti z Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Pradze.

Były agent ma przewagę, bo wie, że Trump chce dealu, który będzie mógł ogłosić jako sukces. Może go urabiać, obiecując ustępstwa i zaraz się usztywniając lub stawiając nierealne żądania. Od początku wojny w kwestii Ukrainy nie ustąpił nawet o milimetr.

– Jest gorzej – zauważa Hill. – Putin kpi sobie z Trumpa, ośmiesza go, a czasem wręcz mu grozi. Ale to nie trafia do adresata, bo jest po rosyjsku, a tłumacze spłaszczają przekaz, gubiąc niuanse. Za to Rosjanie mają ubaw.

Również wtedy, gdy ich przywódca ostentacyjnie się spóźnia. W marcu o godzinę opóźnił rozmowę telefoniczną z Trumpem, nie uprzedzając go o tym. Gdy POTUS spytał o powód, Putin wzruszył ramionami i rzekł: – Cóż, dominacja Zachodu słabnie.

Wiara w to czyni go jeszcze groźniejszym. Putin się nie zatrzyma, bo jest prezydentem wojny – przekształcił gospodarkę w machinę wojenną i utkwił w niej jak w czołgu. Nie ma pomysłu na pokój. Jeśli podbije Ukrainę, obróci wieżyczkę na kolejny kraj. Nawet gdy USA zostaną przyjaciółmi Rosji, on się nie zmieni – jego stan domyślny to konfrontacja.

Nie przypadkiem Siergiej Karaganow, szef rosyjskiej Rady Polityki Zagranicznej i Obronnej, powtarza: „Wojna nie skończy się na Ukrainie, toczymy ją z Europą".

●

„Minął rok, a czuję się starszy o cztery lata" – przyznaje dziennikarz obsługujący Biały Dom. Wszystko się zmieniło. Począwszy od Gabinetu Owalnego, który teraz ocieka złotem niczym Sala Herbowa carskiego Pałacu Zimowego. Tylko jeden mebel został taki, jaki był: Resolute – najsłynniejsze biurko świata zrobione ze 170-letnich desek zbłąkanego brytyjskiego statku, podarowane przez królową Wiktorię i służące ośmiu prezydentom. W sierpniu Trump wyciągnął z niego wspólne zdjęcie z Putinem – prezent, którym chwalił się dziennikarzom.

Zza Resolute świat też wygląda inaczej. Rosja? To już nie agresor, ale inwestycyjne eldorado. Europa? Gnijący kontynent, którego uratować mogą jedynie antyunijne (i – co za traf – prokremlowskie) partie. Unia? Powinna się rozpaść – im szybciej, tym lepiej. Ukraina? Przeszkadza w interesach. Zełenski? Do wymiany.

Tymczasem człowiek na zdjęciu, sprawca największej wojny w Europie od czasów Hitlera, miniony rok zalicza do wyjątkowo udanych.

Od wizyty na Alasce znów jest witany jak mąż stanu i chodzi po czerwonych dywanach już nie tylko w Korei Północnej i Chinach.

Coraz więcej Europejczyków lgnie do Rosji jak ćmy do świecy dzięki temu, że wygrywa wojnę hybrydową, w której znalazł potężnych sojuszników: Trumpa i Muska.

Waszyngton postrzega jego kraj już nie jako agresora czy rywala.

Najważniejsi ludzie w Ameryce uważają Europę za upadłą.

Już nie tylko izolacjonistyczni Amerykanie, ale i coraz liczniejsi Europejczycy postrzegają ukraińskie władze jako straceńców kontynuujących daremny opór.

Wystarczył rok, by Trump, Musk i Putin, grając o najwyższe stawki (władza, życie, wolność) na najniższych instynktach (chciwość, nienawiść), obrócili światem jak kalejdoskopem. „Trio terrorów", w którym to nie Trump śpiewa pierwszym głosem. Lecz gdyby jakimś cudem na ostatniej prostej pozbył się obcego akcentu, miałby szanse na odkupienie win.

Historia wybacza nawróconym dyktatorom, takim jak Dioklecjan, Aśoka czy – idol Muska – Lucjusz Korneliusz Sulla. Tyle że to, co psycholodzy nazywają kwantową zmianą lub metanoją, zdarza się niezwykle rzadko.

Ale nie traćmy nadziei: przecież już 40 lat temu psycholodzy z KGB stwierdzili, że Trump jest „niezwykły i wyjątkowy". Więc kto wie? ●

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

PIJ, DZIECKO, TYLKO PO SZKOLE

Rząd boi się amerykańskich producentów masowego, uzależniającego towaru jeszcze bardziej niż górników

FOT. GETTY IMAGES

Wojciech Kulesza, Jagoda Przybylska

Nazwanie platform społecznościowych społecznościowymi to najwyższej próby marketingowo-indoktrynujący majstersztyk. W istocie to media – w rozumieniu „środki transmisji", „nośniki przekazu" – antyspołecznościowe. Po pierwsze, platformy społecznościowe są społecznie szkodliwe, po drugie – w odróżnieniu od „tradycyjnych" są wyjęte spod jakiegokolwiek nadzoru zmuszającego do ograniczania/redukowania/usuwania szkodliwych efektów ich działań.

Instytucje naukowe i niektóre rządy są świadome problemu, starają się więc przeciwdziałać antyspołecznym skutkom, usiłują chronić nas przed tym pierwszym w historii świata tak totalnym produktem.

Zobaczmy więc, co planują rządy. Przyjrzyjmy się, jakie rekomendacje możemy wdrożyć my sami w naszych domach, nim doczekamy się instytucjonalnych rozwiązań. A na koniec zastanówmy się, czy to wszystko ma sens i czy jest jeszcze nadzieja na lepsze społeczne jutro.

Zacznijmy od tego, dlaczego uważamy, że „socjalmedia" – pisane w cudzysłowie, by nie zrównywać ich z gazetami, portalami czy telewizjami, które nawet w tabloidowym wydaniu jednak weryfikują przynajmniej podstawowe fakty, mają jakąś moderację i granice przyzwoitości – to marketingowy majstersztyk. Po prostu dlatego, że nazwanie „społecznościowym" czegoś, co pogarsza nasze funkcjonowanie jako jednostek, rodzin i zbiorowości, to aberracja, oksymoron. Na upartego producent pistoletu może nazywać swój produkt „pro-life", gdyż odbierając strzałem z broni jedno życie, mogę – w domyśle – chronić drugie. Równie ciekawy zabieg stosowały wiek temu koncerny tytoniowe, wmawiając kobietom, że papierosy są prozdrowotne: redukując uczucie głodu, prowadzą do pięknej, zdrowej, smukłej sylwetki.

Marketingowy podwójny nelson platform antyspołecznościowych jest zatem szalenie niebezpieczny. Ufamy etykiecie produktu, zakładając, że jest społeczny, zdrowy, był przebadany przed wprowadzeniem na rynek i jest na bieżąco monitorowany pod kątem realizacji społecznościowego celu.

Co do totalności – zauważmy, że żyjemy w erze, w której pierwszy raz w historii praktycznie wszyscy (mający smartfony i dostęp do internetu) korzystają z jednego i tego samego produktu.

W wielu dziedzinach ludzkiej aktywności mamy ogromną różnorodność idei i produktów. Religie, systemy polityczne, marki pojazdów różnicowały ludzi, społeczeństwa i kontynenty. Jedni rodzice kupowali dla swoich dzieci hula-hoop, inni resoraki, jedni przyodziewali siebie w dżinsy marmurki, inni w sztruksy albo flanele. Jedni piją Coca-Colę, inni siostrzaną Pepsi, jedni noszą Nike, inni Adidasy, a jeszcze inni Pumy, pantofle, glany, kozaki, sandały. Wschód orientuje się wokół islamu, Europa wyznaje – czy raczej wyznawała, zważywszy na lawinową laicyzację – różne odmiany chrześcijaństwa. Jedno pokolenie pije na sylwestra wódkę, wino lub piwo, kolejne częściej raczy się napojami bezalkoholowymi i wegańskimi. Marki i modele samochodów zmieniają się drastycznie między kontynentami, podobnie jak ustroje polityczne.

Przy tej mozaice, różnorodności poglądów, produktów, opcji i wyborów zauważmy, że niemal wszyscy, młodzi i starsi, ze Wschodu i z Zachodu, wyznawcy religii jednej, drugiej i żadnej, różnie obuci, wykształceni lepiej i gorzej, żyjący w krajach autorytarnych i demokratycznych, pijących różne napoje mają zainstalowane w swych smartfonach platformy antyspołecznościowe. Pierwszy raz w historii tak szybko prawie wszyscy mają to samo.

Ten fakt wydaje się marketingową ciekawostką do czasu, kiedy zorientujemy się, że tylko ten tak totalny produkt jako jedyny jest wyjęty spod surowego nadzoru konsumenckiego, nie mówiąc o zdrowotnym. Praktycznie wszystkie inne towary, od butów po smartfony, od czekolady po samochody, podlegają światowym, narodowym i wreszcie społecznościowym weryfikacjom. Konsumenci ufają regulatorom i społecznym weryfikatorom, że skoro kupowany produkt wszedł do obrotu, to spełnia jakieś standardy bezpieczeństwa. Ufamy, że po wprowadzeniu na rynek ktoś dalej co jakiś czas sprawdza, czy nie zmieniono składu lub mechanizmu działania tak, że zagraża użytkownikom – od dzieci po osoby w podeszłym wieku.

Na przykład w USA, stolicy platform antyspołecznościowych, zabawki są testowane przez Consumer Product Safety Commission. Posypki do odparzonych dziecięcych pup badane są przez Children's Product Certificate, w wyniku czego pociągnięto do odpowiedzialności wielkiego producenta talku. Oceniane są leki (Food and Drug Administration, która patronowała testom szczepionki na COVID-19), organizacje religijne (dochodzenia medialne w sprawie skandali pedofilskich w parafiach wielu miast USA). Także samochody (normy Federal Motor Vehicle Safety Standards czy akcja naprawcza niebezpiecznych poduszek powietrznych w autach z Japonii) są nieustannie testowane. Również przez konkurencję. Kiedy się okaże, że ktoś skierował na rynek niebezpieczny produkt, jest on natychmiast wycofywany z półek, a konsumenci otoczeni hojną opieką odszkodowawczą, której towarzyszy medialna chłosta producenta. Podnosi się społeczna wrzawa, ofiary zyskują ochronę na koszt producenta szkodliwego przedmiotu czy usługi, a kary wymierzają regulatorzy. Z jednym wyjątkiem – mediów antyspołecznościowych.

Totalnie wypełniający cały świat produkt, jakim są platformy antyspołecznościowe (różniące się od siebie jak Coca-Cola, Pepsi i nasza na-

eprasa.pl 5935e39405

rodowa PoloCokta; Adidasy, Pumy i Nike), nigdy nie został poddany nie tylko wymagającym, ale jakimkolwiek testom przed wprowadzeniem na rynek. Ba! Po ich wprowadzeniu i precyzyjnym wskazaniu przez czołowe organizacje naukowe i zespoły badawcze ich szkodliwości trudno szukać informacji o karach, nawiązkach czy rekompensatach. Nie mówiąc o koniecznych zmianach produktów w przypadku pozostawienia ich na rynku. Media pokrzykują, jakiś minister coś powie, na naukowych konferencjach pokiwamy głowami i – jak śpiewały Elektryczne Gitary – „będzie nadal tak, jak jest".

Mamy zatem – ponownie: pierwszy raz w historii – arcyciekawą sytuację, w której przy solidnie naukowo udokumentowanej świadomości, jak szkodliwe są media antyspołecznościowe, producenci nadal nie ponoszą żadnych konsekwencji, a szkodliwy produkt nie jest zdejmowany z internetowej półki. Dopiero w ostatnich latach jego serwowanie zaczyna być niemrawo cywilizowane nieśmiałymi rządowymi regulacjami.

Regulacjom tym przeciwstawia się gromka narracja producentów, że problemem nie jest produkt, lecz użytkownik. Ale gdyby pojawiła się uzależniająca i rakotwórcza guma balonowa, powodująca zwiększone ryzyko samobójstw, czy debatowalibyśmy o winie użytkownika, mówilibyśmy o rządowych nakazach zmiany metody żucia lub o tym, że ktoś jej za dużo żuje? Nie, domagalibyśmy się natychmiastowego zakazu dystrybucji! (Przykład nie jest teoretyczny: część czytelników zapewne pamięta zdarzenie sprzed kilkudziesięciu lat – „aferę z gumą Turbo". Nie rozważano wtedy, czy jej rakotwórczość to była plotka, czy efekt naukowych badań. Przestaliśmy kupować ten produkt).

A więc po raz pierwszy jako społeczność wybraliśmy jeden, ten sam nieprzetestowany produkt i podsuwamy go naszym dzieciom bez refleksji, choć po latach już wiemy, że jest szkodliwy. Przyjrzyjmy się zatem, co rządowo-ekspercki świat próbuje z tym zrobić.

●

Przegląd rekomendacji spróbujmy uporządkować w jednym wymiarze. Na jednym końcu kontinuum: czy faktycznie są nastawione na zmniejszenie (a nie minimalizację; do minimalizacji wrócimy pod koniec) negatywnych skutków płynących z korzystania z platform antyspołecznościowych. Na drugim końcu: czy są one wyłącznie blefem, markowanym ruchem fingującym troskę o klienta, a w rzeczywistości dbają o portfel dilera i o dostęp do rynku zbytu, jakim jest ludzka uwaga.

Poznajmy najpierw realne działania i rozwiązania stawiające w centrum opieki konsumenta, a nie portfele platform. Takie, którym platformy, bez przymuszenia rządowego i międzynarodowego, raczej nie przyklasną i nie wdrożą do „modelu biznesowego".

Niedawno przed amerykańską senacką komisją stawał doktor Mitch Prinstein, dyrektor naukowy Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego (APA), największego, najważniejszego stowarzyszenia psychologów na świecie. Prinstein wskazał, że jest praktycznie bezdyskusyjne, iż brakuje szerokich i długofalowych badań nad platformami. Że publiczny budżet na badania w zakresie mediów antyspołecznościowych wynosił wątłe 15 milionów dolarów, co pozwalało na finansowanie od trzech do pięciu niezbyt rozbudowanych programów badawczych. To astronomiczna kwota dla indywidualnego budżetu domowego, ale w świetle przychodów platform antyspołecznościowych, sięgających rocznie miliardów dolarów, widać wyraźnie, jak niewspółmiernie niskie są możliwości konsumenckiego czy zdrowotnego badania.

Zdaniem Prinsteina startową granicą dla rozpoczęcia gruntownej analizy negatywnego wpływu platform na zdrowie psychiczne powinno być minimum 100 milionów dolarów. Wtóruje mu zespół najwybitniejszych naukowców z zakresu medycyny zrzeszonych przy rządowym lekarzu Stanów Zjednoczonych (US Surgeon General, „Naczelny Lekarz USA") – naukowców analizujących największe zagrożenia dla zdrowia Amerykanów.

FOT. GETTY IMAGES

Wszystkie inne towary, od butów po smartfony, od czekolady po samochody, podlegają weryfikacjom, badaniom, normom. Tylko platformy antyspołecznościowe są wyjęte spod surowego nadzoru konsumenckiego, nie mówiąc o zdrowotnym

Obecnie badane są wycinki zjawiska. Wyniki są tragiczne, ale fragmentaryczne. Nie można wykluczyć, na co APA zwraca uwagę, że przy zwiększonym budżecie, a więc przy poszerzonym horyzoncie badań, odkryte zostaną pozytywne skutki powszechnego stosowania i korzystania z platform antyspołecznościowych. Odkrycie pozytywów byłoby niewątpliwą korzyścią dla dostawców tych usług. Pytanie zatem, czemu takich badań nie subsydiują. Czemu ich sami nie prowadzą? A jeżeli prowadzą, to próżno szukać ich naukowych i recenzowanych opracowań w światowym obiegu fachowych czasopism.

Z niepokojem za to wsłuchują się w inne rekomendacje APA. Oto ta znakomita instytucja podnosi, że konieczne byłoby zobligowanie platform do udostępnienia algorytmów utrzymywania uwagi i zainteresowania konsumenta. Celem naukowców jest zrozumienie sposobów budowania uzależnienia i na tej podstawie zmniejszenie, a najlepiej likwidacja procesów uzależniania, co wspomogłoby leczenie.

Musimy poznać metody i kolejne udoskonalenia, jakimi uzależnia się nas i nasze dzieci od tego produktu. Bez tego nie można projektować skutecznych metod ochrony i efektywnie udzielać pomocy w walce o zdrowie psychiczne. To tak, jakby producent tytoniu miał tajny patent ukrywający skład produktów nikotynowych i nie wiedzielibyśmy, jak dochodzi do uzależnienia. Bez tej wiedzy trudno byłoby wspierać pacjentów w walce z nikotynizmem. Korzystaliśmy już z analogii nikotynowej: przecież nastolatki palą w towarzystwie, czyli to obecność innych ludzi szkodzi, a nie nikotyna. Co więcej, można dowodzić, że czynniki zbliżające młodzież, sprzyjające tworzeniu rówieśniczej więzi są szczególnie wskazane w tym wieku. Ale byłby to dowód przeprowadzany w złej wierze. Bez poznania „składu" platform nie wiemy więc, jak prowadzić prewencję i leczenie.

Podczas gdy rozumiemy, co robią producenci płynnej nikotyny w postaci smakowych e-papierosów kierowanych do nastolatków, nie wiemy, jak udoskonalane są szkodliwe platformy adresowane do naszych dzieci. Ujawnienie pozwalałoby na przygotowanie się, obronę, ochronę. Obecnie ta wiedza istnieje, ale wyłącznie w rękach producentów. Należy domniemywać, że w przypadku platform antyspołecznościowych ujawnienie doprowadzi do regulacji dostępu do tego produktu w takim samym, a może nawet większym stopniu niż w przypadku nikotyny, leków czy alkoholu.

To, że producenci nie ujawniają tych danych, wskazuje nie tylko na brak równowagi sił i wiedzy, ale również na paradoks: wytwórcy mówią, że oferują dobry, bezpieczny produkt, mają na to potwierdzenie i jednocześnie nie pokazują w obiegu naukowym danych, na bazie których budują swoje przekonanie. To wybieg skopiowany z poczynań firm produkujących „leki" homeopatyczne: nie publikują danych pokazujących, czy ich medykamenty sprawdzają się w leczeniu, zasłaniają się wyimaginowaną zmową świata nauki, a sami deklarują, że ich – nieznane nikomu poza nimi – badania naukowe potwierdzają skuteczność.

Sięgnijmy do kolejnego wskazania Prinsteina zeznającego przed senacką komisją USA. Uczony wnioskował o uznanie platform antyspołecznościowych za nadawców, co pociąga konsekwencje w postaci odpowiedzialności za nadawaną treść.

Platformy chowają się za hasłem, że są jedynie pośrednikiem, posłańcem dostarczającym wiadomość. Zrzucają z siebie odpowiedzialność za skutki. Mówią one, że problemem jest (1) szkodliwa treść (2) umieszczona (3) bez zgody platformy przez jakiegoś (4) użytkownika, która trafiła na (5) wyjątkowo i niespotykanie wrażliwą osobę, powodując u niej (6) pogorszenie stanu i na przykład samobójstwo. W ten sposób platformy umywają ręce od odpowiedzialności. I może się to wydawać sensowne: jako konserwator słupów trakcyjnych Tramwajów Warszawskich nie mam wszak kontroli nad tym, kto i co (na przykład kartkę z groźną czy nienawistną treścią) naklei na moim superpopularnym i poczytnym słupie.

Przyłóżmy tę miarę do telewizji, która tłumaczyłaby, że samobójstwo dziecka oglądającego szkodliwy materiał należy przypisać złemu stanowi wyjściowemu dziecka oraz przypadkowej osobie, która bez zgody telewizji wyemitowała na falach telewizyjnych daną treść. Co więcej, winny jest rodzic, który nie tłumaczył dziecku prezentowanych treści ani go przed nimi nie ochronił. To rodzic nie przygotował dziecka. Nasz konstytucyjny kontroler treści radiowych i telewizyjnych (Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji) by tego nie kupił, wszczął by dochodzenie, wlepiłby karę nadawcy aż do odebrania prawa do bycia na rynku medialnym. Być może zaostrzyłby prawo dla wszystkich pozostałych stacji telewizyjnych. Ba! Także Tramwaje Warszawskie zakazują umieszczania czegokolwiek na swoich słupach i sukcesywnie czyszczą je z groźnych dla zdrowia psychicznego, a nawet życia informacji o myciu okien lub praniu dywanów. W przypadku platform nie zanosi się na powołanie kontrolera, nie mówiąc o uznaniu winy emitenta czy o błyskawicznym czyszczeniu szkodliwych komunikatów.

Zauważmy, że to nie serwisy antyspołecznościowe wymyśliły wybieg „to nie my". To sprawdzona strategia producentów broni palnej w USA. Przekonują oni, że „chory, zaburzony, źle wyszkolony" człowiek z bronią jest problemem, a nie broń. Wydawać by się mogło, że to podejście logiczne, a nawet zdroworozsądkowe – do czasu, gdy zauważymy, że problemem jest jednak broń: po prostu, kiedy jej nie ma, to trudno z niej wystrzelić.

Pozostańmy na gruncie rekomendacji światowych ciał realnie chroniących zdrowie konsumentów. Rada Naukowa U.S. Surgeon General zaleca „zwiększenie przejrzystości w rozumieniu oceny ryzyka", wprowadzenie skutecznego alertu o napotkaniu niebezpiecznych treści, ułatwienie składania zażaleń z nakazem ich dogłębnego rozpatrywania, powołanie komitetów naukowych i obowiązek dzielenia się danymi o wpływie na zdrowie psychiczne użytkowników. Zauważmy, że jest to obligowanie do poprawnego działania dostawcy usługi, a nie przerzucanie odpowiedzialności na rodziców czy dzieci. To cała bateria mechanizmów obrony. Bateria bardzo tania do uruchomienia i pozostaje się jedynie domyślać, dlaczego nie jest ona dobrowolnie przez dostawców wprowadzana.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne zachęca do realnego dostosowania języka zgód (na przykład w regulaminach, w możliwościach „śledzenia") do wieku użytkowników. Bo dziś język zgód jest celowo zawikłany. Porównajmy to z zachowaniem producenta wódki, który dumnie twierdziłby, że w celu ochrony małoletniego użytkownika serwuje alkohol etylowy, całkowicie eliminując ze swojego produktu alkohol metylowy (co byłoby chwalebne, ale bezsensowne również z tego powodu, że dziecko bez zajęć z chemii czy biologii nie zrozumie tej fantastycznej wiadomości, nie mówiąc o ukrywaniu wiadomości na temat szkodliwości „zdrowszego alkoholu etylowego"). Dlatego APA nakazuje monitorowanie obecności dzieci w sieci – bo dziecko nie wie, na co się umówiło z dostawcą „społecznego cukru".

Zauważmy prostotę i skuteczność powyższych rozwiązań. Platformy wiedzą, że na przykład agresywne treści rozchodzą się w infosferze szybciej niż zdjęcia kwiatków. Są jednocześnie świadome, kto je ogląda, komu się je udostępnia czy wysyła, jak dużo czasu adresat spędza na ich przeglądaniu. Wie, jakim językiem powiadomić. Zatem wszystkie asy są w ręku platform, które stwarzają pozory, że nie tylko nie wiedzą, iż je mają, ale że pierwszy raz słyszą pojęcie „talia kart". Ba! Zarządzający platformą są w stanie natychmiast usunąć dostęp do niebezpiecznego przekazu i skierować osobę do uszytych na jej miarę informacji chroniących zdrowie psychiczne. Rzecz nie do zrealizowania przy innych produktach jak alkohol, samochodowy fotelik dziecięcy czy lek: raz kupione leżą na domowej półce, są dla domowni-

eprasa.pl 5935e39405

ków dostępne, a producent nie jest w stanie na bieżąco monitorować ich wykorzystania.

Na koniec tej części dyskusji o sposobach radzenia sobie z mediami antyspołecznościowymi przyznajmy, że ucywilizowanie, uczłowieczenie tego produktu jest wykonalne choćby przez wspomnianą baterię skoordynowanych działań. Obecnie na przykład wsparcie społeczne via platformy społecznościowe jest możliwe. Ale jednocześnie wiemy bardzo dobrze z badań, że synchronicznie rośnie ryzyko hejtu: jeżeli „się publicznie otworzyłem / zrobiłem coming out", aby uzyskać wsparcie, muszę się spodziewać również komentarzy nienawistnych. Chodzi więc o to, aby z tego równania wyłączyć możliwość hejtu. To jest możliwe. Kiedyś go nie było w sieci, a sieć istniała. Kiedyś hejtu i sieci nie było, a świat istniał, i trudno wykazać, aby był jakiś uboższy, pomijając kapitalizujące naszą uwagę koncerny oraz „influencerów". Umiemy to wykonać.

To nie serwisy antyspołecznościowe wymyśliły wybieg „to nie my". To sprawdzona strategia producentów broni palnej w USA, przekonujących, że „chory, zaburzony, źle wyszkolony" człowiek z bronią jest problemem, a nie broń

•

Przejdźmy teraz do omówienia pozornych działań. Pozornych, gdyż niezmieniających problemu, jaki stanowi sam produkt. Markujących jedynie troskę o konsumenta po to, aby produkt w możliwie niezmienionej formie nadal leżał na internetowej półce i napełniał kieszenie dilerom.

Pierwszym, i do tego również naszym, krajowym pomysłem, jest limitowanie dostępu do platform w szkołach. Dlaczego uważamy, że to rozwiązanie pozorne, na które ochoczo zgodzą się dilerzy antyspołecznościowi? Gdyż dostawcy, dilerzy, platformy mogą dilować po szkole, nie martwiąc się zbytnio, że w szkole się nie udało. Ta rekomendacja im nie wadzi, bo demonstrują, że wcale nie rzucają regulatorom kłód pod nogi, są odpowiedzialni, i tak uzyskują z czasem uzależnionego dorosłego. Problemem jest bowiem to, że dzieci piją wódkę, a nie to, kiedy ją piją albo że piją więcej tu czy tam.

Tak, jesteśmy świadomi badań, że w szkołach podniosła się koncentracja uczniów, polepszyły się relacje, gdy wycofano telefony. Ale nie o to chodzi w tym procesie: nie porównujmy gruszek z jabłkami, a zdrowia psychicznego z ocenami czy koncentracją. Nie chodzi o to, gdzie dzieci siedzą osiem godzin dziennie w telefonie. Jak nie będą mogły w szkole, to zaczną w domu, jadąc komunikacją, jeszcze bardziej zarywając noce. W prawdziwych zmianach idzie o to, aby wyeliminować szkodliwy wpływ, a nie miejsce, gdzie ów wpływ zachodzi. Zmiana czasu użytkowania platform ogranicza ich wpływ, ale go nie eliminuje. Powtórzymy: dlatego platformy przyklasną temu rozwiązaniu (oczywiście oficjalnie, jak w innych pozornych ruchach, twardo kręcąc nosem i narzekając, jak poważne są te „restrykcje"), bo utrzymają się na rynku. To nie jest poważne obostrzenie naruszające ich model biznesowy. Nie uderza w dilerów ani nie chroni konsumentów.

Innymi pozornymi ruchami są rekomendowane przez radę naukową U.S. Surgeon General (za kadencji doktora Viveka Murphy'ego) podnoszenie tak zwanych *digital literacy* (kompetencji cyfrowych) czy zalecane przez APA promowanie *digital literacy skills* ukierunkowanych na wykrywanie i budowanie odporności, na przykład na cyberbullying.

Dlaczego to ruchy pozorne? Jeżeli dziecko doświadcza przemocy, to nie planujmy edukacji dziecka tak, aby umiejętnie przed nią uciekało, ale konstruujmy warunki takie, aby przemocy nie doświadczało w ogóle. Nie chodzi o to, aby dziecko nauczyć poprawnego korzystania z maski przeciwsmogowej, ale aby spowodować, żeby smogu nie było. Nie chodzi o to, aby dziecko poznało maksymalne dawki alkoholu, jakie może przyjąć, ale aby go nie przyjmowało. Gdyby było tak, że zdobycie umiejętności unikania czy ucieczki redukuje do zera (lub chociażby poważnie) problem interakcji dziecka z tym produktem, to już teraz istniałyby badania na ten temat. Nie istnieją.

Rada naukowa U.S. Surgeon General proponuje rozwiązanie, które idzie wręcz w sukurs dostawcom mediów antyspołecznościowych, bo składa odpowiedzialność na rodziców: to oni mieliby ustanawiać tak zwany Family Media Plan. To rodzice mieliby być odpowiedzialni za edukowanie dzieci w zakresie granic, za utrzymywanie balansu między aktywnościami, projektowanie stref bez mediów, prowadzenie rozmów o roli snu i za modelowanie pozytywnego wzorca.

Dlaczego to działanie pozorne? Bo nie nakłada żadnego ciężaru na dostawcę produktu, na tego, kto z produktu ciągnie wielkie zyski. Podobne rozwiązania z rynku alkoholi powodują obecność wódki na stole, wspólne picie i rozmowy o tym, jak pić skutecznie, a nie pić w łóżku, pić przy sporcie, gdyż jest on ważny. Producent wódki i sklep monopolowy są zwolnieni z odpowiedzialności za negatywne skutki picia trunku. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne wskazuje wprost, że obecność dorosłych nie jest wystarczającą ochroną. A rekomendacja przerzuca na nich odpowiedzialność za coś, co czynią platformy antyspołecznościowe (ukrywające skład i mechanizmy działania produktów tak, aby nie można było sięgnąć po profesjonalną interwencję regulatorów). Jest to wreszcie rekomendacja groźna, gdyż rodzice poniosą porażkę w tej nierównej walce i na koniec winę przypiszą sobie: że nie dość głęboko, szczerze i dokładnie przyłożyli się do pracy, widząc swoje dzieci z nosami w „socialach". Że nie potrafili osłonić dzieci przed atakiem ciemnej mocy platform.

•

Powyższej kategoryzacji – realne, ale pozorne zalecenia – wymykają się odcienie szarości: rekomendacje umieszczone poza dychotomiami, balansujące między bielą a czernią, operujące w sferze szarości.

Pierwszą jest powszechna w kilku krajach dyskusja o podniesieniu wieku, w którym konsument ma prawo korzystać z platform antyspołecznościowych. Ruch taki zrobiła Australia, która podniosła wiek dostępu z 13 na 16 lat i ustaliła karę w wysokości 50 milionów dolarów za niedopilnowanie dostępu do usługi wymierzaną dostawcy usługi, a nie rodzicom czy dziecku. Wydaje się, że to ma sens: winnym sprzedaży alkoholu nieletniemu jest wszak sklep monopolowy dostarczający alkohol osobie nieuprawnionej. Może zapłacić drastyczne kary, stracić koncesję, a nawet być zmuszonym do zamknięcia podwoi.

Dlaczego zatem kontestujemy takie rozwiązanie? Bo wiemy, że diler narkotyków będzie ostro negocjował, ba, na koniec nawet poprze zaostrzenie dostępu do „towaru", byle utrzymać jego powszechną dostępność. Byle nie musieć schodzić do darkwebowego podziemia limitującego klientelę do promila obecnego rynku. Gdybym był prezesem platformy, ostatecznie cieszyłbym się, że mogę uzależnić konsumenta w wieku 21 lat. Bylebym mógł go uzależnić. Dostawca broni z udawanym oporem zgodzi się na podniesienie wieku klienta z lat 18 na 21, bo sprzeda karabinów półautomatycznych ciut mniej, ale nie będzie pozbawiony legalnego kanału dystrybucyjnego. Tymczasem platformy są powszechne, są globalne, są totalne i już w rękach naszych dzieci. A więc są szczególnie szkodliwe i najlepiej byłoby całkowity ich zakazać. Ewentualnie pozostawić na rynku po wykastrowaniu ze szkodliwych elementów i uczynieniu bardziej społecznościowymi.

Zgadzamy się z wypowiedzianym w naszej niedawnej debacie argumentem Katarzyny Szymielewicz: lepiej, aby nie trzynasto-, ale szesnastolatek sięgał po wódkę. Rzeczywiście, z punktu widzenia zdrowia – także psychicznego – im młodszy organizm, tym większe spustoszenie po regularnym i obfitym korzystaniu z alkoholu. To samo odnosi się do mediów antyspołecznościowych. Zgadzamy się również z prezeską Fundacji Panoptykon, że lepiej osiągnąć ten cel niż żaden. Jednocześnie mamy w głowie kontrargument, że przystanie na limit wieku rozgrzeszy rządzących i zapewni spokój platformom. Wtedy właściwe, głębsze działania zostaną zatrzymane.

Należy oddać szacunek konsekwencji Australijczyków, gdyż są jednymi z nielicznych, którzy na przynajmniej taki delikatny ruch się zdecydowali. Bo na przykład popierany przez doktora Arthura C. Evansa, prezesa Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego, amerykański program The Kids On Line Safety Act od lat spoczywa w zamrażarce na Kapitolu.

U nas nie widać szans nawet na taką inicjatywę w parlamencie, nie mówiąc o budowaniu rządowej strategii czy choćby taktyki. Nie chodzi tylko o niechęć kolejnych rządów do wdrażania rozwiązań chroniących zdrowie psychiczne. Chodzi o lęk przed podjęciem jednocześnie kluczowego, trudnego i niewygodnego tematu – podobnego do likwidacji polskiego górnictwa. Tylko na sterydach, bo działania serwisów antyspołecznościowych dotykają całe społeczeństwo, a nie małe w sumie rejony kraju i niewielką liczbę obywateli.

Dlaczego tak trudno jest wprowadzić do debaty politycznej fakt naukowy, jakim jest zagrożenie ze strony platform antyspołecznościowych, a jeszcze trudniej zdobyć się na przymuszenie producenta do poddania się badaniom, regulacjom i do ujawnienia składu produktu? Lobbing korporacji i naciski amerykańskiej administracji występującej w interesie amerykańskiego biznesu to jedna część odpowiedzi. Druga brzmi: częściej czytamy platformy antyspołecznościowe niż raporty naukowców. W tych drugich trudno jest w trzydziestu sekundach zmieścić złożoność i skalę zagrożenia. A na platformach 30 sekund to dość czasu, aby rzucić pozornie ponętne hasło bez konieczności zaoferowania odrobiny rzeczowego uzasadnienia. Politycy mogący regulować ten rynek nie zaglądają do badań naukowych. Intensywnie za to zaglądają na platformy. Bowiem wybory wygrywają dzięki platformom.

I na koniec: właściciele platform antyspołecznościowych wiedzą, jak przyciągać uwagę konsumenta. Jak go utrzymać i uzależniać. Wabią użytkowników różnymi łakociami: zdaje ci się, dzięki nam nie jesteś samotny, dzięki nam rozwijasz kontakty, poprzez platformę jesteś w grupie lepiej zorientowanych, mądrzejszych, gruntowniej poinformowanych. Dzięki naszej platformie faktycznie masz dostęp do tematów i do wspólnoty, która „według nas" czyni cię szczęśliwą i szczęśliwym. Podobnie działa cukier w organizmie: powoduje poczucie sytości, być może szczęścia i zadowolenia. Ale to efekt krótkotrwały i niezdrowy. Sięgamy po następną czekoladkę, pomijając zdrowy posiłek, czyli skrolujemy dalej, przechodzimy do kolejnych dalszych stron.

•

Zauważmy, że poruszyliśmy wyłącznie wpływ platform na zdrowie psychiczne. A przecież osobnym, ogromnym zagadnieniem jest wpływ tych niemediów antyspołecznościowych na polaryzację społeczną, na wyniki wyborów, na popularność teorii spiskowych czy na cykanie się rządów przed walką o zdrowie swoich obywateli. Nie dotknęliśmy kwestii sztucznej inteligencji, która ucząc się niespotykanie szybko naszych nawyków uwagowych, umie nam podsunąć kolejny społeczny słodzik, abyśmy zalogowali się, gdzie trzeba, i faszerowali społecznie pustymi kaloriami.

Mamy więc do odrobienia podwójną pracę domową: dokonanie zmiany w naszych zachowaniach i zmuszenie ustawodawcy, aby nas chronił, bo sami sobie nie (po)radzimy, sami się nie ograniczymy. Nie kupimy przecież stacjonarnych aparatów telefonicznych czy archaicznych telefonów komórkowych „na guziki" bez dostępu do internetu, skoro coraz więcej usług, również podstawowych czy publicznych, przenosi się do sieci. Bez osłony ustawodawczej, konsekwentnie egzekwowanej wobec każdej z platform, społeczne jutro będzie bezsprzecznie antyspołeczne. ●

FOT. MATERIAŁY PRASOWE SWPS

Prof. dr hab. Wojciech Kulesza

• psycholog społeczny, pracuje na Uniwersytecie SWPS w Warszawie, gdzie kieruje Katedrą Psychologii Społecznej. Zajmuje się psychologią miłości, mimikrą / naśladownictwem, nierealistycznym optymizmem oraz tak zwanym medycznym fake-newsem. Wiceprzewodniczący Rady Programowej Festiwalu Nauki w Warszawie. Członek Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jagoda Przybylska

• psycholożka o specjalności klinicznej i zdrowia, psychoonkolożka. Absolwentka Uniwersytetu SWPS, gdzie kontynuuje kształcenie w Szkole Psychoterapii Poznawczo-Behawioralnej. Pracuje w Centrum Psychologicznym Good Life oraz Spinamed.

eprasa.pl 5935e39405

Czasem porównuje się Spisz do Szwajcarii. Słowacy nawet to lubią.

SPISZ ZA MILIONY MONET

Andrzej Krawczyk

Starsza generacja pamięta tę trasę doskonale: Tatry, Zakopane, Bukowina i przejście graniczne na Łysej Polanie. W latach 60. i 70. dla wielu było to ważne miejsce podczas wyjazdów na Węgry.

Dla młodszych Łysa Polana to bardziej punkt wyjścia do pieszych wypraw w słowackie Podtatrze czy do pełnej historycznych pamiątek Lewoczy lub zachwycającego turystycznie Słowackiego Raju z jego wąskimi i krętymi wapiennymi wąwozami o wysokich, niemal pionowych ścianach.

Dziś, w dobie Schengen, mało kto spośród przejeżdżających przez Łysą zastanawia się nad historią tego regionu i kulturowo-społecznym znaczeniem granicy na rzece Białka. A przecież to nie tylko aktualne przejście graniczne między Polską a Słowacją, ale też wielowiekowa granica między Spiszem a Podhalem oraz w zależności od okresu – między Spiszem a Galicją, Polską a Węgrami, Polską a Czechosłowacją, a nawet... między Węgrami a Austrią.

Spisz – jego specyfika i historia – jest dziś w Polsce nieco zapomniany. Szkoda, bo to jeden z regionów, o którym można powiedzieć, że jest esencją Europy Środkowej; ekstraktem wszystkiego, co jest w niej ciekawe, barwne, inspirujące.

Karpatoniemcy i inni

Słowianie pojawili się tu na przełomie V i VI wieku, a w drugiej połowie X wieku Węgrzy, którzy włączyli ten region do tworzonego przez siebie państwa. W latach 1241-42 Spisz najechali Tatarzy, niszcząc go i wyludniając. Węgierscy władcy dla odbudowy i ożywienia gospodarczego ściągali tu niemieckich rzemieślników, rolników, kupców i górników, bo góry kusiły możliwością wydobywania rud. Osadnicy z Bawarii, Saksonii i Śląska otrzymywali od nich przywileje, co szybko skutkowało powstaniem gęstej sieci miasteczek, w których rozwijała się produkcja i kwitł handel promieniujący na sąsiednie regiony.

Z czasem tych Karpatoniemców – jak ich określano – żyło na terenie dzisiejszej Słowacji blisko ćwierć miliona, a w momencie wybuchu II wojny światowej wciąż jeszcze 150 tysięcy. Pod koniec 1944 roku w obawie przed zbliżającą się Armią Sowiecką większość ewakuowano, zostało tylko 20-30 tysięcy. Po wojnie byli prześladowani, odebrano im obywatelstwo i majątek, a na przełomie 1946 i 1947 roku wywieziono z Czechosłowacji.

Pozostała garstka, może 5 tysięcy, skrywała swoją niemieckość. Dziś mają prawa mniejszości narodowej, a w dwóch wioskach tworzą nawet większość mieszkańców. Prezydentem Słowacji w latach 1999-2004 był przedstawiciel tej mniejszości Rudolf Schuster, syn robotnika leśnego, pod koniec rządów komunistycznych burmistrz Koszyc i współtwórca efemerycznej Partii Porozumienia Obywatelskiego w czasie tworzenia się słowackiej państwowości.

Władcy Węgier tworzyli na Spiszu także urzędy, które obsadzali przedstawicielami węgierskiej szlachty. Chcieli, by pełnili oni tam funkcję strażników zabezpieczających granice. Na południu Spiszu większość stanowili Słowacy, choć oczywiście nie mieli jeszcze świadomości narodowej. Na północy mieszkali ludzie, których dialekt zbliżał się do języka polskiego, a kulturowo byli bliscy naszym góralom.

Od XIV wieku z terenu dzisiejszej Rumunii zaczęli napływać w wyższe i mniej zamieszkane rejony Spiszu Rusini i Wołosi. Przynieśli własny język, kulturę i wschodnie chrześcijaństwo. Na rozwijający się Spisz zaczęli ściągać również Żydzi, którzy założyli tu nawet wieś, a od końca XV wieku przybywali tu także Romowie.

W ten sposób powstała wielokulturowa społeczność o odrębnych i specyficznych cechach w języku, ubiorze, architekturze, sposobie życia, a nawet mentalności. Na jej życie nakładała się wielka polityka, rywalizacja Węgier, Polski, niemieckiego cesarstwa i Turcji. Spisz stał się mieszanką kultur i cywilizacji, kulturowym tyglem w centrum Europy Środkowej.

Zastaw spiski

W roku 1412 Władysław Jagiełło, opromieniony zwycięstwem nad Krzyżakami pod Grunwaldem, spotkał się w Zagrzebiu z cesarzem rzymskim (niemieckim) i królem Węgier Zygmuntem Luksemburskim. Zygmunt starał się wówczas o podporządkowaną Republice Weneckiej Dalmację. Na walkę o nią nie miał pieniędzy, ale wiedział, że po klęsce zakon krzyżacki miał Jagielle zapłacić odszkodowanie za wydatki wojenne –100 tys. kop czeskich groszy, sumę wówczas olbrzymią. Zygmunt zwrócił się do Jagiełły o pożyczkę.

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

FOT. ARKADIUSZ FAJER / SHUTTERSTOCK

FOT. DE AGOSTINI / C. SAPPA / EAST NEWS

▲ **Kieżmark. Zamkowy kompleks dawnej siedziby węgierskiego rodu Zapolyów i polskiego Łaskich**

◄ **Apteka we wnętrzach zamku w Kieżmarku**

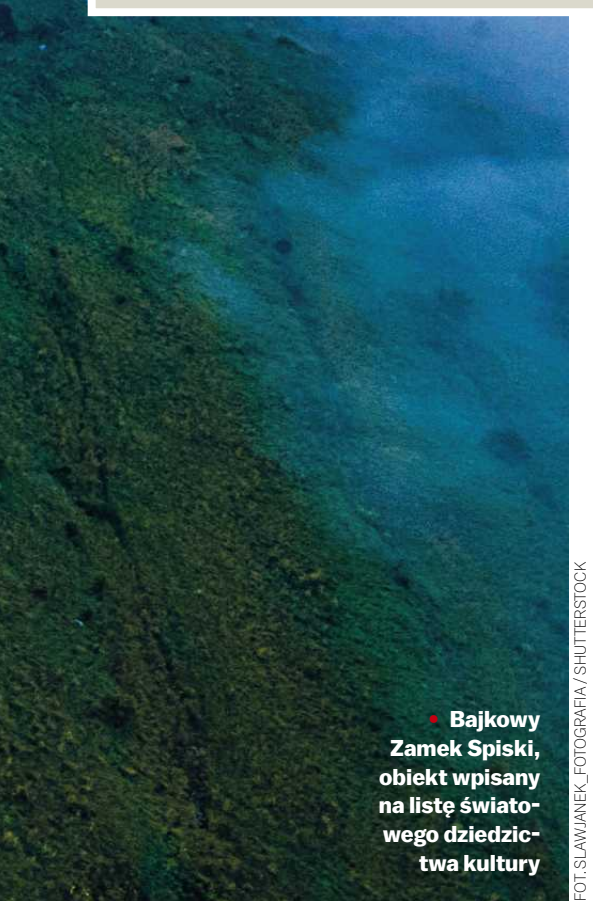

FOT. SŁAWJANEK_FOTOGRAFIA / SHUTTERSTOCK

• **Bajkowy Zamek Spiski, obiekt wpisany na listę światowego dziedzictwa kultury**

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Zielony Staw Kieżmarski – tu odbył się pierwsza udokumentowana piesza wyprawa w Tatry**

Umowa podpisana 8 listopada 1412 przewidywała, że za 37 tys. kop groszy (można było za to kupić 7,5 tony srebra) Zygmunt przekaże Jagielle aż do czasu spłacenia pożyczki 13 spośród 24 miast na Spiszu oraz 16 gmin wiejskich. Miały być nadal częścią Węgier, ale zarządzała nimi Polska, która mogła pobierać stamtąd podatki i wszelkie opłaty. Jagiełło w celu zarządzania zastawem utworzył specjalne Starostwo Spiskie, które stało się częścią województwa krakowskiego.

Do transportu 8 tys. monet pożyczki nie wystarczył jeden wóz konny. Polacy przekazali pieniądze dworzanom Zygmunta Luksemburskiego na dziedzińcu zamku w Niedzicy. W tym samym miejscu miał nastąpić również zwrot pożyczki, kiedy Węgry będą w stanie ją spłacić. Przyłączenie części Spiszu do Królestwa Polskiego oznaczało dla tamtejszych miast i wsi rozwój i duże dochody. Polska część Spiszu stała się z czasem bogatsza od węgierskiej, gdzie leżały dwa dotychczas wiodące miasta: Lewocza i Kieżmark.

Pożyczka nigdy nie została zwrócona i 14 miast spiskich było częścią Polski przez 360 lat. Węgierska, a także czeska i słowacka historiografia twierdzą, że to Polska nie chciała zwrotu długu, gdyż zamierzała na zawsze zaanektować zastaw. Nie ma to oparcia w faktach. Węgierskie czy później austriackie starania o zwrot regionu nigdy nie wiązały się deklaracją oddania pieniędzy.

W 1769 roku Polska jednak straciła Spisz, kiedy na rozkaz cesarzowej Austrii Marii Teresy został on zajęty przez jej wojska. Pretekstem do interwencji była ochrona mieszkańców przed gwałtami konfederatów barskich. Oficjalnie Austria przyłączyła Spisz do swojego terytorium w wyniku pierwszego rozbioru Polski. A w 1778 roku został formalnie wcielony do Węgier pod ciekawą nazwą: Prowincja Szesnastu Spiskich Miast – szesnastu, bo do historycznych trzynastu dołączono jeszcze trzy, w tym leżącą dziś przy polskiej granicy, niedaleko Piwnicznej, Lubowlę. W pełni administracyjnie połączono Spisz z resztą kraju dopiero w 1876 roku.

Pierwsza górska wycieczka

Czasem porównuje się Spisz do Szwajcarii i Słowacy nawet to lubią. Podobnie jak kantony w Alpach Spisz miał swoją autonomię i samorząd. Węgierskie komitaty – odpowiedniki polskich województw, choć terytorialnie mniejsze – były odrębne i kulturowo zróżnicowane. Każdy, również i Spisz, miał swój niepowtarzalny charakter.

Spisz dostał od natury dar specjalny – piękną i zróżnicowaną przyrodę, małe, ale wspaniałe góry, olbrzymie masywy leśne i krystalicznie czyste powietrze. Rzeki pełne ryb. Jedna z nich – Poprad, co ciekawe płynie na północ (bo większość na południe), a jej wody kończą w Bałtyku.

Prawdziwym skarbcem Spiszu jest Lewocza, przez stulecia jedno z najważniejszych królewskich miast na Węgrzech. Zachowało się tu około 50 gotyckich budynków, a w XIV-wiecznym Kościele Świętego Jakuba znajduje się prawdziwe arcydzieło – najwyższy na świecie, mierzący 18,6 metra, drewniany, gotycki ołtarz z początku XVI wieku. Znany jako Ołtarz Mistrza Pawła rywalizuje z krakowskim Ołtarzem Wita Stwosza o miano największego dzieła tego gatunku w Europie Środkowej.

Tradycyjnym ośrodkiem nauczania młodzieży spiskiej i niemieckim centrum kultury był Kieżmark, założony jako pograniczna siedziba władzy i administracji przez żupanów (wojewodów) z możnego węgierskiego rodu Zápolyów. W XVI wieku zamek w Kieżmarku przeszedł w ręce polskiej rodziny Łaskich. W roku 1565 Beata Łaska, żona pana na Kieżmarku, zorganizowała dla swoich gości pierwszą znaną w historii pieszą wyprawę w Tatry. Historycy uważają, że była to wycieczka do Zielonego Stawu Kieżmarskiego.

Jedyna taka biblioteka

Już od 1531 roku w Kieżmarku istniało gimnazjum, w którym w XVIII i XIX wieku wprowadzono tzw. klasy akademickie, w których uczono prawa, filozofii i teologii. Wykształciło się tam mnóstwo wybitnych ludzi, znanych nie tylko na Słowacji czy Węgrzech, ale też w całej Europie Środkowej. Od 1936 roku naukę prowadzono w języku słowackim, wcześniej tylko po niemiecku. Gdy latem 1944 roku do miasta zbliżał się front, szkoła została zamknięta. Do dziś pozostała po niej podobno niegdyś największa biblioteka szkolna w Europie – 150 tys. tomów, w tym 2,6 tys. inkunabułów, najstarsze z końca XV wieku.

Jako przeciwwagę dla ewangelickiego gimnazjum w Kieżmarku wojewoda krakowski w 1642 roku założył w pobliskim Podolińcu kolegium pijarów, jedną z najlepszych szkół w Polsce. Nauczycielem był tu m.in Stanisław Konarski, reformator szkolnictwa w XVIII wieku i twórca Collegium Nobilium w Warszawie, poprzednika Uniwersytetu Warszawskiego. Kolegium w Podolińcu działało aż do 1919 roku. W nowo powstałej Czechosłowacji zostało zamienione na państwowe świeckie

eprasa.pl 5935e39405

seminarium nauczycielskie, a w 1950 roku komuniści założyli w budynku obóz koncentracyjny dla katolickich duchownych z całej Czechosłowacji.

Duchowym centrum Spiszu było malownicze miasteczko Spiska Kapituła, gdzie mieściły się pałac biskupi, kuria, archiwum, seminarium duchowne oraz kaplica grobowa rodu Zapolya uchodząca za wybitny przykład późnego gotyku na skalę całej Europy Środkowej.

Leżąca już prawie na granicy z Polską Stara Lubovňa (polska forma: Lubowla) należała przez ponad trzy wieki do Ziemi Sądeckiej. W czasie potopu szwedzkiego ukryto tutaj koronę i berło królów polskich. A w 1683 roku wjechał tędy do Polski powracający spod Wiednia Jan III Sobieski.

Spišský hrad

W południowo-wschodniej części Spiszu znajduje się Spišský hrad, czyli Zamek Spiski, prawdziwa perła krajobrazu. Można do niego dojechać z przejścia granicznego na Łysej Polanie koło Zakopanego w półtorej godziny, a z Sądecczyzny, z przejścia w Piwnicznej, przejazd zajmie 15-20 minut więcej. Malowniczo położony zamek jest także ciekawostką geologiczną. Został zbudowany na wapiennej skale (trawertynie) z systemem jaskiń bez wegetacji.

Zamek zajmuje aż cztery hektary i pod względem powierzchni jest największym na Słowacji i jednym z większych w Europie. Leży na wysokości 634 m n.p.m., a wrażenie wyniosłości potęgują jeszcze prawie pionowe mierzące od 20 do 40 metrów ściany. Archeolodzy twierdzą, że osady i obozy na szczycie góry istniały od II-III wieku. Najstarsze znaleziska sprzed 5 tys. lat potwierdziły, że pomieszkiwał tam już człowiek neandertalski. Pierwsza większa osada istniała w czasach celtyckich, co potwierdzają znalezione czary z monetami z I wieku p.n.e. Z II wieku n.e. pochodzą ślady świątyni o wymiarach 6 na 19 metrów, która, choć sama drewniana, miała już nowoczesną kamienną podmurówkę.

Od XI wieku istniała na wzgórzu stała osada, którą w następnym stuleciu otoczono kamiennym wałem. Dzięki niemu podczas najazdu mongolskiego w 1241 roku wzgórza jako jedynego miejsca w północnej Słowacji najeźdźcy nie zdobyli. W nagrodę za dzielność król węgierski Bela IV podarował wzgórze rektorowi spiskiemu (prepoštovi), czyli przewodniczącemu kościelnej Kapituły Spiskiej, by postawił tam reprezentacyjny zamek godny pełnionego urzędu i Spiszu. Kilkadziesiąt lat później rzeczywiście powstał pałac, którego resztki odnaleźli archeolodzy, oraz kaplica, po której nie pozostał żaden ślad.

W centralizującym się państwie Spišský hrad został stolicą komitatu, czyli odpowiednikiem polskiego województwa.

Z rąk do rąk

W 1430 roku, za Zygmunta Luksemburskiego, rozpoczęła się siedmioletnia modernizacja kompleksu zamkowego. Został wtedy rozbudowany: pod murami powstało obronne osiedle, które nazywano „dolnym dziedzińcem". Wzmocniono fortyfikacje, a także przebudowano pałac (dwór) oraz dom kapłanów. Budowla straciła romański charakter.

Sto lat później pod murami powstały budynki dla dworzan oraz magazyny, które nazwano później „średnim zamkiem". Wybudowano wtedy też ceremonialną bramę wjazdową z obronną rotundą (barbakanem) przed nią. Zachował się jej opis z czasów Władysława Pogrobowca, króla Czech, Węgier i Chorwacji w latach 1453-1457.

Potem zamek przechodził z rąk do rąk między największymi węgierskimi rodami: Zápolských, Thurzów i Csáky'ich.

Stefan Zápolský był właścicielem ponad 70 zamków, ale właśnie spiski uważał za siedzibę rodową. Tu urodził się jego syn Ján, ostatni król węgierski przed Habsburgami. Po przejęciu tronu Habsburgowie odebrali w 1527 roku Jánowi Zamek Spiski, by po trzech latach przekazać go Alexiusowi Thurzowi, magnatowi lojalnemu wobec Habsburgów, a dodatkowo bardzo bogatemu, największemu wtedy producentowi i eksporterowi miedzi.

Thurzowie przebudowali zamek w stylu renesansowym, a kiedy w 1636 roku wymarli w linii męskiej, przejęła go rodzina Csáky'ich. Formalnie posiadała go aż do 1945 roku, choć w 1919 Spisz znalazł się w nowo powstałej Czechosłowacji. Csákovie w XVIII wieku pomieszkiwali na odziedziczonym zamku, ale interesowali się głównie nowo budowanymi zamkami, zwłaszcza że wznosili je w pobliżu. Kazali nawet rozbierać budynki czy fragment murów Zamku Spiskiego, a pozyskane kamienie wykorzystywano na nowe budowy.

W 1780 roku pożar strawił sporą część kompleksu, zamek opustoszał i nie powrócił już do poprzedniej roli.

Z inicjatywy Franciszka Józefa, cesarza Austrii i króla Węgier, w 1867 wysłano na Spisz inżynierów i historyków sztuki, którzy mieli ocenić, jakie są możliwości rekonstrukcji i odbudowy Zamku Spiskiego. Ale dopiero od lat 60. XX wieku etapami prowadzone są prace renowacyjne. W 1961 zamek ogłoszono Narodową Pamiątką Kultury socjalistycznej Czechosłowacji, w 1985 otworzono w nim muzeum.

W 1993 Zamek Spiski został wpisany na listę światowego dziedzictwa kultury.

FOT. DANIEL PRUDEK / SHUTTERSTOCK

FOT. SAMUEL KUBANI / AFP

▲ **Lewocza, przez stulecia jedno z najważniejszych miast królewskich Węgier. Widok na stary ratusz i kościół św. Jakuba**

◀ **Ołtarz główny w kościele św. Jakuba w Lewoczy dłuta średniowiecznego mistrza Pavola**

Spisz, z jego specyfiką i historią, jest dziś w Polsce nieco zapomniany. Szkoda, bo to jeden z regionów, o którym można powiedzieć, że jest esencją Europy Środkowej

Wędrująca granica

Po rozpadzie Austro-Węgier o Spisz rywalizowały, chwilami nawet zbrojnie, dwa nowe państwa: Czechosłowacja i Polska. Wydawało się, że przynależność regionu, jak w przypadku Górnego Śląska, rozstrzygnie plebiscyt. Jednak kiedy w lipcu 1920 roku bolszewicy podchodzili pod Warszawę, strona polska w imię dobrych stosunków z sojusznikami przekazała decyzję w sprawie Spiszu Radzie Ambasadorów stworzonej podczas konferencji pokojowej w Wersalu. Rada 95 proc. terytorium przyznała Czechosłowacji, a Polsce zostawiła 13 wsi z 9 tys. mieszkańców.

Dwie miejscowości pozostawały sporne: Jaworzyna Tatrzańska, na której terenie jest przejście Łysa Polana, oraz Zdziar. Polska argumentowała, że obie wsie w przeważającej większości zamieszkują Polacy, ale Liga Narodów w marcu 1924 roku przyznała je Czechosłowacji. Umowa o przebiegu granicy została przez oba państwa podpisana 5 września 1924 roku.

Po konferencji monachijskiej w 1938 roku Polska wystąpiła o przyłączenie spornych wiosek do Polski. Osłabiona Czechosłowacja podjęła rozmowy, które zakończyły się umową o nowym przebiegu granicy – obie wioski i jej 530 mieszkańców przyłączono do Polski. Zmiana obejmowała także okoliczne szczyty Tatr Wysokich. W ten sposób na kilka miesięcy w naszych granicach znalazł się Lodowy Szczyt (2628 m n.p.m.), stając się najwyższą polską górą.

Po wrześniu 1939 roku nowo powstała Słowacja zagarnęła cały Spisz. Jednak w lipcu 1945 roku polska administracja wspierana przez wojsko obsadziła te tereny według granicy z 1924 roku i usunęła stamtąd słowacką (czechosłowacką) administrację. Ostateczny przebieg granicy został potwierdzony dopiero 13 czerwca 1958 roku.

Legenda o nieszczęsnej Jadwidze

Słowacką autostradą D1 dojeżdża się do doliny, gdzie na tle wysokich gór widać majestatyczną sylwetkę Zamku Spiskiego. Główną częścią kompleksu jest trzypiętrowy pałac zbudowany w stylu romańskim.

Jednym z najlepiej zachowanych budynków jest oryginalna kuchnia, w której eksponowane są liczne starożytne naczynia kuchenne.

Zamek nie dotrwał do XX wieku w całości. Archeologicznym sukcesem była identyfikacja dwóch obronnych wież i bramy wjazdowej. Szczegółowe badania wykazały, że są to ściany z XIII wieku, na których znaleziono m.in. ślady odbudowy po najeździe mongolskim z roku 1241.

Kiedy wchodzi się na teren kompleksu zamkowego, widać pozostałości dawnej bramy głównej, a później potężne murowane słupy, które niegdyś były wzmocnieniami otaczającej dolny zamek palisady. Przez resztki wieży bramnej wchodzi się na średni dziedziniec, gdzie mieściły się zbrojownie, koszary, stajnie i spichlerze, a dziś jest tam muzeum.

Po przejściu następnej bramy znajdziemy się na dziedzińcu dolnym. Na środku widoczna jest pozostałość wału, który jest resztką dawnego osiedla Celtów. Stromą ścieżką można stamtąd podejść do romańskiego podzamcza ze wspominaną ruiną pałacu rektora spiskiego. Po przeciwległej stronie przez dobrze zachowana oryginalna romańską bramę wchodzi się na górny zamek, czyli część mieszkalną właściciela zamku. Pośrodku znajduje się tam donżon, czyli okrągła wieża obronna. Za nią widać potężną murowaną ścianę, która jest resztką najstarszego zamku z XI-XII wieku. Wspaniałe architektonicznie arkady łączą wieżę z gotycką kaplicą z XV wieku, za którą jest najcenniejsza część całego kompleksu: potężny jak na swoje czasy, niegdyś trzypiętrowy, pałac romański. Koniecznie trzeba wejść na donżon, z którego roztacza się zapierający dech widok na Wysokie Tatry i Chopok (2024 m n.p.m.) w Tatrach Niżnych.

Każdy zamek musi mieć legendę i ducha Białej Damy. Ma ją i Zamek Spiski. Głosi ona, że niegdyś jego właścicielem był owdowiały magnat o imieniu Filip, kochający bez pamięci swą małą córeczkę Barbarę, którą pomagała mu wychowywać niezamężna siostra Jadwiga. Filip zastrzelił przez pomyłkę na polowaniu syna polskiego szlachcica, który długo obmyślał zemstę. W końcu wysłał pięknego sługę Stanisława, aby uwiódł Jadwigę podczas nieobecności Filipa, a gdy ta będzie spała, miał otworzyć bramę i wpuścić ludzi ojca zabitego chłopca. Tak się stało. Polski szlachcic – legenda podkreśla narodowość, bo właściciel był Węgrem – porwał ukochaną córkę Filipa i na jego oczach, gdy ten wracał do domu, zrzucił ją z murów w przepaść. Barbara zginęła, a zrozpaczony Filip za karę kazał obciąć siostrze po kolei obie ręce, a na końcu głowę.

Duch Jadwigi poszukującej powierzonej jej opiece Barbary ma być widywany w ruinach.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Andrzej Krawczyk

• historyk i dyplomata. Specjalizuje się w historii Europy Środkowej XX w. W latach 1980-82 współredaktor „Biuletynu Solidarności UW"; w latach 80. członek zespołu „Biblioteki Historycznej i Literackiej" w drugim obiegu i współwydawca pisma „ABC" poświęconego Europie Środkowej i Wschodniej. Od 1989 r. w administracji. Ambasador Rzeczpospolitej w Republice Czeskiej (2001-05), na Słowacji (2009-12) oraz w Bośni i Hercegowinie (2013-218). W latach 2006-07 podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

KULTURA I OBYCZAJE

Zapytałem lekarza, jak długo będę żył, jeżeli nie zrobię operacji. Powiedział, że dwa lata, na co ja, że dwa lata to całkiem sporo, hura, niech będzie.

Niewiara, beznadzieja i miłość Marka Raczkowskiego

Dorota Wodecka
Zdjęcie: **Dawid Zuchowicz / Agencja Wyborcza.pl**

Z Markiem Raczkowskim umawiam się przez jego partnerkę Magdę. Wie najlepiej, czy i kiedy Marek może być w formie, by przetrwać kilkugodzinną rozmowę. Do dnia mojej wizyty w piętrowym bliźniaku w sąsiedztwie Placu Unii Lubelskiej w Warszawie mam nadzieje, że może jednak coś nam przeszkodzi w spotkaniu. Bo obawiałam się, że przy najwybitniejszym polskim rysowniku o wyrafinowanym poczuciu humoru powinnam tryskać dowcipem i przyglądać się jego życiowym doświadczeniom z ironią, sarkazmem albo i cynizmem. Mogłam nie podołać takiemu wyzwaniu, dlatego asekurowałam się już po wymianie powitalnych uprzejmości.

– Może się okazać, że nie wyjdzie nam ta rozmowa, bo nie będę potrafiła o tobie napisać, polegnę, ale proszę, nie bądź wtedy na mnie zły. Bardzo się cieszę już z tego tylko powodu, że mogłam was poznać i odwiedzić – zaczynam.

– Na siebie, nie na ciebie będę zły – odpowiada Marek, wypuszczając dym z Iqosa. – Bo jeśli nie wyjdzie, to na pewno przeze mnie – dopowiada, a ja się spinam jeszcze bardziej, bo nie chcę, by czuł się odpowiedzialny za moją porażkę. Zastygłam w tym spięciu przez trzy godziny, a innego dnia przez kolejne dwie. I chociaż niejednokrotnie zastanawiałam się, czy to, co mówi, jest prawdą czy atrakcyjnym dramaturgicznie wymysłem, nie licząc kilku wyjątków, do śmiechu nie było.

– Moje ostatnie piętnaście lat, to głównie plagi i nieszczęścia. I gdyby nie obecna tutaj Magda, to prawdopodobnie bym się zabił, nie widząc żadnego sensu w swojej obecnej egzystencji

– zapewnia, a siedząca obok niego dużo młodsza od nas kobieta powinna się uśmiechać. Nie wiem, bo patrzę nie na nią, tylko na rozciągniętego na szarym szezlongu Marka. Jest obolały po niedawnym ataku epilepsji i utracie przytomności.

– Magda wnosi treść do mojego życia, bo od roku nic nie tworzę. Nie wiem, czy ktokolwiek by się jeszcze chciał ze mną zadawać, gdyby nie ona.

Pytam Magdę, czy tu mieszka.

– Nie. Pomieszkuję – odpowiada, a Marek uściśla:

– Mieszkamy tutaj z Agnieszką. Magda mieszka niedaleko.

Zaskoczona nie jestem, bo rozpytałam jego znajomych o to i owo, ale chwilowo porzucam pomysł kontynuowania rozmowy o miłości. Zacznijmy od plag i nieszczęść, niekoniecznie trzymając się chronologii.

Diagnoza

Do onkologa Marek poszedł z Kingą. Jest aktorką w Klubie Komediowym, poznam ją tego popołudnia.

– Bałem się pójść sam. Zresztą do tych lekarzy rzadko kto sam przychodzi. Kiedy powiedział, że mam raka pęcherza i powinienem go usunąć, wyszedłem zapalić papierosa. Kinga została i rozmawiała o perspektywach mojej terapii, a ja zadzwoniłam do Agnieszki i powiedziałem jej, że musimy szukać jakiegoś innego sposobu i żeby się zastanowiła, jak mnie inaczej wyleczyć. Bo zaproponowana mi urostomia odpada.

I tak Marek najpierw skorzystał z medycyny chińskiej, czyli akupunktury wspomaganej piciem ogromne ilości naparów z ziół.

Potem z immunoterapii w Berlinie, którą umożliwili Markowi jego koledzy z „Przekroju", gdzie pracuje.

eprasa.pl 5935e39405

– Wstrzykiwali mi preparaty przygotowane z mojej krwi i być może dzięki temu nie mam przerzutów. Ale i tamtejsi lekarze twierdzili, że operacji nie uniknę. No to pojechałem do lekarza, którego nazwiska może lepiej nie wymienię, bo ma generalnie w środowisku medycznym przejebane. Prowadzi instytut, w którym stosuje jakiś rodzaj immunoterapii, dokładnie nie wiem jaki, ale skorzystałem.

– Dlaczego sięgnąłeś po pomoc, którą kwestionuje nauka? – pytam.

– Bo nauka proponowała mi tylko usunięcia pęcherza.

– I wychodzi na to, że miała rację – zauważam.

– Ale ja miałem nadzieje. Szukałem innych możliwości, bo chodziło mi o nadzieję, że może coś jednak da się zrobić, byle nie wycinać pęcherza.

Nie chcę go przygniatać komentowaniem jego ciągot ku szarlatanerii, tym bardziej że nadzieja to jest sprawa w zdrowieniu istotna, ale nie daje mi spokoju myśl, dlaczego się nie zabił. Bo gdy szykowałam się na spotkanie z nim, przeleciała mi gdzieś przed oczami wypowiedziana przez niego kwestia, że choroba terminalna jest powodem do samobójstwa. Na szczęście sam z siebie rozwiewa moje wątpliwości co do prawdziwości tego zdania.

– Wtedy, z Kingą, zapytałem lekarza, jak długo będę żył, jeżeli nie zrobię operacji. Powiedział, że dwa lata, na co ja, że dwa lata to całkiem sporo, hura, niech będzie. Ale wtedy jeszcze czas tak nie zapierdalał jak ostatnio – zauważa.

Muszę się zgodzić co do tej kwestii i z chęcią pociągnęłabym ten wątek, ale wciąż nie wiem, dlaczego zgodził się na operację.

– Myślałem, że sikając krwią, z bólem, jakoś sobie będę przez te dwa lata żył, ale lekarz powiedział, że będzie coraz gorzej i będę umierał długo, w męczarniach i w szpitalu. Zdecydowałem się na operację, bo te wszystkie leczenia, jakim się poddałem, nic nie dały. Wydawało mi się, że dzięki nim rak zniknie, ale wręcz przeciwnie, robił się coraz większy. Miałem pierwszą operację, która była próbą usunięcia guza bez usuwania pęcherza, na co bardzo liczyłem. Ale niestety za późno się jej poddałem, dlatego ostatecznie stanęło na urostomi.

Kiedy się wybudził z narkozy, w telewizorze wiszącym naprzeciwko łóżka zobaczył, że wybuchła wojna w Ukrainie.

– I wtedy pomyślałem, że przeżyję, jeśli ta wojna się skończy i Rosjanie jej nie wygrają. I aczkolwiek żyję i nie mam już raka, to boję się, że zabije mnie zakażenie – mówi.

– Miejmy nadzieję, że wygra Ukraina. Musi – pocieszam już i jego, i siebie.

– No tak, myślenie magiczne, widać, jest nam nieobce.

Nauki przedmałżeńskie

Opowiedziane przez Marka historie, które zdarzyły się w jego życiu „przed rakiem", spisała i zredagowała w dwóch obszernych rozmowach Magda Żakowska. Ich wspólna „Książka, którą napisałem, żeby mieć na dziwki i narkotyki" (podobno stracił przez nią kontrakt reklamowy z pewnym bankiem opiewający na 350 tys. zł) oraz „Książka, którą napisałem żeby mieć na odwyk" pomagają mi uniknąć „grzebania w dzieciństwie", jak to określił Marek, niechętny na wspólne zapuszczanie się w tamtejsze rewiry.

Na razie chcę dopytać, dlaczego jeden z pierwszych polskich ateistów publicznie deklarujących niewiarę w istnienie Boga i ironizujący w swoich rysunkach m.in. z wiary, JP2 i hipokryzji Kościoła katolickiego utracił wiarę. I jak to się stało, że ma maturę z religii, co wiąże się z pytaniem, jak to możliwe, że przez dwa lata ukrywał przed swoimi rodzicami, że są dziadkami.

– Gdyby nie babcia, to ja bym w ogóle nie chodził do kościoła, bo rodzice, którzy byli artystami, raczej się z tego naśmiewali. Jako dziecko żyłem w przekonaniu, że my z babcią pójdziemy sobie do nieba, a rodzice i siostra do piekła, i miałem z tego powodu poczucie lepszości.

Byłem u komunii i zaliczyłem nawet dziewięć pierwszych piątków miesiąca, co ma mnie uchronić od śmierci w grzechu. Jednym słowem: umrę w stanie łaski.

W tym miejscu należy się wyjaśnienie dla Czytelników i Czytelniczek: w każdy pierwszy piątek miesiąca należało się wyspowiadać, a otrzymanie rozgrzeszenia ksiądz poświadczał pieczątką lub podpisem na przyniesionej przez dziecko karteczce, wziąć udział we mszy i przyjąć komunię. I tak przez 9 miesięcy następujących kolejno po sobie.

– Zrobiłem dużo rysunków na temat łaski uświęcającej. Właściwie wierzący człowiek powinien stanąć przed kościołem i kiedy dzieci wychodzą po pierwszej komunii, zabijać je po kolei, żeby sobie od razu poszły do nieba i nie ryzykowały tym pełnym udręki życiem, że skończą w piekle – ironizuje.

Twierdzi, że wierzył w Boga dlatego, że wierzył w to, że wierzy w niego ksiądz. Ale w księdza wierzył do czasu.

– Dokładnie pamiętam moment, kiedy się zbuntowałem. Mieliśmy ochrzcić córkę, co w latach 80. było absolutną oczywistością, że jak się urodziło dziecko, to trzeba je ochrzcić, bo wszyscy tak robią i cała rodzina tego oczekuje. Przed jej chrztem musiałem pójść do spowiedzi i przynieść podpisaną kartkę, że spowiedź zaliczyłem.

Mówię księdzu, że mam dziecko, że dziś chcemy ochrzcić, że za trzy czy cztery miesiące mamy ustaloną datę ślubu kościelnego, na co on, że do ślubu nie możemy z przyszłą żoną ze sobą spać. Zgodziłem się, bo pomyślałem, że trzy miesiące jakoś wytrzymam, a potem może być jeszcze fajniej, ale on mi mówi, że muszę się też wyrzec pieszczot wstydliwych. Bez przesady, pomyślałem.

– Negocjowałeś? – dopytuję.

– Powiedziałem, że mowy nie ma. Wiedziałem, że rodzina czeka na mnie i kartkę, ale nie dostałem rozgrzeszenia.

– I co było dalej?

– Zapytałem księdza, który miał chrzcić córkę, czy jej nie ochrzci z powodu braki kartki! Ochrzcił. Ale potem pojawił się problem kursów przedmałżeńskich, którego zaliczenie było warunkiem zgody na ślub, co bez spowiedzi jest bardzo trudne.

I wtedy teściowa wkroczyła i załatwiła mi kwit z kurii, że zdałem maturę z religii, co zwalniało mnie z kursu. Dostałem przy okazji Pismo Święte z autografem kardynała Wyszyńskiego. Teściowa już nie żyje, więc mogę o tym mówić. To było poza tym za komuny, a za komuny wszystkie grzechy są odpuszczone.

I to jest jeden z nielicznych momentów, kiedy się śmieję, mimo, a właściwie tym bardziej, że Marka mina jest poważna. Wątek „pieszczot wstydliwych" i erosa pociągnę później, jako że znów się nam napatoczy.

– Nie chcecie się pobrać z Magdą?
– Musiałbym się najpierw rozwieść z żoną, a potem ożenić z Agnieszką…

– Ale jedną naukę małżeńską zaliczyłem. Zostaliśmy wytknięci jako ci, co mają już dziecko.

Ukryte dziecko

Perspektywa ojcostwa bardzo Marka uradowała, chociaż mieli z Elą po 19 lat. Ona była w maturalnej klasie, a on drugi raz w trzeciej (skończenie liceum zajęło mu siedem lat). Po pierwsze, uznał, że dziewczyna, w której się kochał – „niewyobrażalnie piękna, smutna, milcząca" – „już mi teraz nie ucieknie". Po drugie – że w ten sposób „dołożymy jeszcze moim rodzicom bezbożnikom".

– Jak ci się udało ukrywać przed nimi przez dwa lata, że masz dziecko? – pytam.

– To nie było trudne, bo miałem w domu dużą swobodę, nie wracałem na noce, więc żyłem na dwa mieszkania – z rodzicami i z żoną oraz jej rodziną. I prawdopodobnie, gdybym nieopatrznie nie zostawił na wierzchu dowodu osobistego, w którym wpisana była moja córka, jeszcze dłużej bym lawirował.

Mimo że podzielam z Markiem wspólnotę doświadczeń młodego rodzicielstwa, dopytuję, czego się obawiał.

– Dla rodziców głównym dramatem było to, że ja jestem listonoszem, chodzę do wieczorówki i powtarzam wszystkie klasy.

Bali się, że całe życie będę listonoszem. Siostra na studiach, a tu syn głupek i niedorozwój. I jeszcze w tym wszystkim dziecko.

Zapuszczam się jednak w zakazane rewiry i pytam: – Mówili ci, żeś głupek?

– No raczej tak myśleli pewnie.

– A skąd wiesz? Może wcale tak nie myśleli? – włącza mi się natura pocieszycielki strapionych.

– Aczkolwiek upatrywali pewnych nadziei w moim talencie, o który ja niezbyt dbałem. Ale kiedy poszedłem na lekcje rysunku przed egzaminami, to dostałem skrzydeł. Dostałem się na Akademię Sztuk Pięknych za pierwszym razem i z najwyższą lokatą.

Magdzie Żakowskiej powiedział: „W tamtym czasie chciałem być prostym człowiekiem". – Brzydziłem się inteligencją. Wyrzucili mnie z liceum, kończyłem wieczorówkę, chciałem być robotnikiem, pracować na budowie, wędrować po nizinnych obszarach kraju jak Stachura.

Realizując mit ucieczki w Bieszczady – w czasie wakacji pracował tam jako śmieciarz na kempingu – nabawił się wszy łonowych, ale to nie piekąca przypadłość zniechęciła go do pielęgnowania kultu Stachury, któremu uległo jego pokolenie. Urokliwe wydawało się życie wędrowca, który zatrudnia się latem do prac sezonowych, a na zimę szuka kobiety, u której może mieszkać.

Kiedy się dowiedział, że figura wędrowca jest wymysłem Stachury, który siedzi w golfie w mieszkaniu i stuka swoje teksty na maszynie do pisania, targnęły nim uczucia ambiwalentne. Rozczarowanie i mimo wszystko ulga, że jest zwolniony z pielęgnowania mitu.

Pobrali się z Elą, gdy skończył 21 lat – wciąż przed maturą – bo już wtedy nie potrzebował zgody rodziców na ślub. Biedy nie klepali, mimo że na początku małżeństwa było krucho. Ale albo sprzedali złote obrączki, albo kupiony na talony dla młodych małżeństw telewizor, na którym zarobili dwa razy więcej, niż wydali.

Na pierwszym roku ASP Marek zaczął malować obrazy „w stylu Olbiński czy Beksiński, pod tytułem: zapraszam do krainy mojej wyobraźni", co dobrze sprzedawało się w Szwecji. Sytuacja finansowa młodych małżonków znacznie się poprawiła. Mieli samochód, a ciuchy, jedzenie i papierosy kupowali w Peweksie. I co niedzielę chodzili do kościoła. Z czasem, Marek zaprzestał cotygodniowych praktyk.

Wylew

O swoim przygodach erotycznych zainicjowanych przed ślubem, rozbudowanych w małżeństwie, wzbogaconych w kolejnych latach udziałem kolejnych partnerek i niekiedy dopełnionych uczuciem Marek opowiedział raczej szczegółowo Magdzie Żakowskiej w książce, z której zarobek przeznaczył, jak zaanonsował w tytule, na narkotyki i seksworkerki, że użyję współczesnego języka. Wciągnął do nosa kilkaset tysięcy złotych, zdaje się, ale boję się dopytać o konkretną kwotę, bo może uznać, że go wpędzam w poczucie winy.

Tym bardziej że dziś nie ćpa i nie pije, a porzucenie nałogów wiąże się z plagami, która spadły na niego przed rakiem.

W 2015 roku Marek dostał wylewu. Stracił węch i kilka umiejętności. Ale słuchając jego opowieści, jestem gotowa stwierdzić, że to tragiczne doświadczenie ma swoje plusy.

– Na trzy dni przed wylewem w tym domu odbywały się próby przed Wszystkimi Mazurkami Świata. Dwunastu muzyków grało na strychu mazurki. Okna były pootwierane, ludzie przystali na ulicy i słuchali, co się w tym domu dzieje. Byłem jak zaczarowany – wspomina z zachwytem.

– I po wylewie grały mi te mazurki w ścianie, w drzwiach, w zamku do drzwi. Wszędzie leciały mazurki. Kiedy przyjechała do mnie w odwiedziny moja córka Alicja, zapytałem ją, czy je słyszy w ścianie.

Musiała być przerażona.

– Powiedziała: „Tak, tato, słyszę" i się rozpłakała. Wszyscy udawali, że słyszą, ale myśleli, że straciłem rozum. Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do domu i zagram na mojej cassiopei te piękne melodie. Ale po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu zniknęły.

– Pytałeś lekarzy, skąd te omamy?

– Zrobiono mi EEG i rzeczywiście część mózgu odpowiedzialna za odbiór dźwięków była aktywna. Lekarz powiedział mi, że po ciężkim urazie mózgu i operacji takie rzeczy po prostu się zdarzają. Smutno mi było, kiedy przestałem je słyszeć i nie potrafiłem ich odtworzyć. Przed wylewem grałem na różnych instrumentach, ale po wylewie nie umiem.

– Co jeszcze się zmieniło?

– Przestałem używać narkotyków.

– I poszedłeś na odwyk.

– Poszedłem, bo zafundował mi go „Przekrój". Byłem gotowy sam sobie poradzić ze swoimi nałogami, ale uznałem, że skoro ktoś mi funduje taką zabawną okoliczność w fajnym miejscu, to dlaczego mam nie skorzystać?

Dializa

W listopadzie 2024 roku Michał Cichy założył w internecie zbiórkę pieniędzy na leczenie Marka Raczkowskiego. Pisał:

„Marek, dziś 65-letni, od dwóch lat leczy się na raka. Usunięto mu pęcherz. Od tego czasu ma tak zwaną urostomię, czyli zewnętrzne odprowadzenie moczu. Leczenie wymaga pieniędzy, a Marek ich nie ma (…). Jest kimś więcej niż autorem zabawnych rysunków. Jest geniuszem na miarę Sławomira Mrożka (…). Humor Raczkowskiego jest wypowiedzią egzystencjalną, jest jak filozofia, która dla osiągnięcia swojego efektu posługuje się najzwięźlejszą formą z możliwych".

Przyjaciele, znajomi i ci, którzy doceniają talent publicystyczny Raczkowskiego, wpłacili, ale stan zdrowia beneficjenta bynajmniej się od listopada nie polepszył.

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

Kiedy go słucham, wydaje mi się, że jest na skraju rozpaczy, czasami się w nią osuwa, a czasem wygrzebuje znów na krawędź. Emocjonalna wańka wstańka.

Martwi mnie to osuwanie, chociaż dopiero co się poznaliśmy, ale jest autorem kwestii wypowiedzianej jeszcze przed wylewem, rakiem i utratą węchu, że „zdrowie ludzkie w dużej mierze zależy od entuzjazmu wobec życia".

Nie potrafię ocenić jego entuzjazmu, tym bardziej gdy rozmawiamy o codzienności.

– Co dwa miesiące trafiam z sepsą do szpitala na trzy miesiące i za każdym razem jestem na granicy życia. Pojawiła się nadzieja na reoperację, czyli zlikwidowanie drenu, który mam na stałe, jak się okazało, chociaż miał być tylko na miesiąc, i który utrzymuje w moim organizmie zakażenie. Gdyby do niej doszło, mógłbym wtedy wydalać mocz bez 30-centymetrowej rury, którą mam w trzewiach i którą muszę co trzy miesiące wymieniać.

– Czyli jest nadzieja na poprawę życia?

– To wymaga bardzo żmudnych i trudnych badań. Miałem niedawno tomografię z kontrastem, po którym dostałem ataku padaczki i straciłem przytomność. Na szczęście w domu, na łóżku. Przegryzłem sobie język, boli mnie strasznie kręgosłup, głowa. Żyję w ciągłym strachu, że ten atak się powtórzy, i od tamtego czasu nie byłem chyba sam w domu.

Strasznie tej operacji się boję, że się nie uda, że jej nie przeżyję. Idealnym rozwiązaniem byłby przeszczep nerek, ale ja na razie nie kwalifikuję się do niego. Trzy razy w tygodniu jestem na dializach, więc mam przejebane. Kiedy rozmawiałem z Magdą Żakowską, byłem pełen wiary w dobre życie, a teraz właściwie to nie wiem, czego się jeszcze spodziewać.

– Czy życie na dializie nie może być dobre?

– Nie.

– Dlaczego?

– To jest tortura. Trzy i pół godziny co drugi dzień leżenia bez ruchu. Jestem w szpitalu od siódmej rano, żeby mieć jeszcze cały dzień przed sobą. Następnego dnia już się stresuję, że jutro dializa. Wstaję wtedy o trzeciej w nocy.

– Czyli o siódmej jesteś już lekko śpiący.

– Właśnie tak i na ogół udaje mi się przespać połowę dializy, ale bardzo to jest przykre, kiedy na przykład się budzisz, a okazuje się, że jest dopiero dziewiąta, a nie dziesiąta ani tym bardziej jedenasta. A najbardziej przerażające jest w moim przypadku niemożność pójścia do toalety. Odpinanie się od tej filtrującej moją krew maszyny jest bardzo czasochłonne i nie wiem, czy gdybym przerwał dializę, nie musiałbym jej zaczynać od nowa.

– Przykro mi.

– Spotkała mnie jeszcze kolejna straszna rzecz. Jeździłem do szpitala samochodem, co napawało mnie jakimś szczęściem, bo bardzo lubię jeździć samochodem, ale niestety tragicznie się zepsuł. Wozi mnie Magda albo Kinga, bo się bardzo boję pojechać tam taksówką.

– Dlaczego?

– Głównie ze strachu, że nie będę wiedział, jak wrócić. Teren szpitalny jest ogromny, a ja dość słabo się czuję po dializie, żeby chodzić i szukać taksówki, czekać na nią i tak dalej. Poza tym bardzo nie lubię o tej porze znajdować się w towarzystwie jakiegoś kierowcy taksówki i rozmawiać albo nie rozmawiać. Lubię być z kimś bliskim, bo to jest trudna chwila, kiedy się tam dojeżdża. Magda mnie wprowadza do środka, pomaga mi zdjąć buty, bo nie jest mi łatwo się schylać. Z bardzo egoistycznych powodów potrzebuję, żeby ktoś ze mną był.

– Czujesz się stary?

– Ależ skąd. W szatni, gdzie się przygotowujemy, jest tylko jedno krzesło, na którym siadam. Ale jeśli wchodzi inny pan, to natychmiast się zrywam, żeby mu ustąpić miejsce, chociaż niektórzy są ode mnie młodsi. Postanowiłem walczyć z tym odruchem.

– To uprzejme.

– Ale ostatnio na tyle źle się czuję, że naprawdę trudno jest mi zdjąć buty na stojąco. A nawet na siedząco nie jest łatwo.

– Dlaczego masz uszkodzone nerki?

FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI PRZEKRÓJ (3)

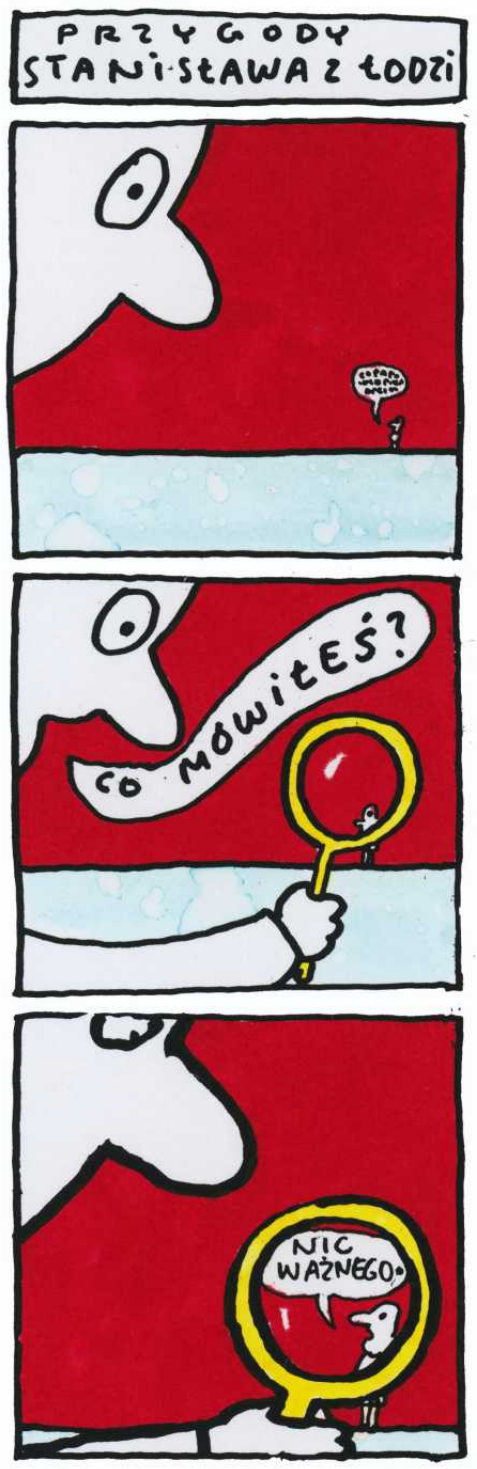

– Z powodu sepsy. Już są nie do naprawienia. Jeszcze działają, ale lekarze chcą mi je usunąć.

– I co wtedy?

– Prawdopodobnie ma się codziennie dializę. Możesz wypić pół litra wody dziennie i cały czas odczuwasz pragnienie. Życie staje się jeszcze większym koszmarem.

Magda

Liczę na to, że w końcu uda mi się jeszcze gdzieś pojechać, bo od kilku lat nie byłem poza Warszawą. Broń Boże, nie mówię o podróżach za granicę. Chciałbym pojechać do lasu. Miałem nadzieję, że pojadę latem. Kinga ma gospodarstwo agroturystyczne 400 km od Warszawy. Las, zwierzęta, kupiła traktor, a ja chciałbym pojeździć traktorem. Sprawdziła nawet, że w szpitalu w pobliskim miasteczku mógłbym mieć dializy, ale lato przeleżałem w szpitalu niestety.

– To czym jest życie w tej chwili? Myśleniem o bólu i o tym, co złego się wydarzy?

– Tak. Gdyby nie Magda, to prawdopodobnie bym się zabił. Wydaje mi się, że dzięki niej prowadzę bujne życie towarzyskie. Nie wiem, czy to nie dla Magdy tutaj przychodzą wszyscy. No i jest to poza tym, jak to się mówi, miłość.

– Według twojej definicji kochamy osobę, której miłość dodaje nam wartości i pewności siebie.

– Tak, Magda mi to wszystko daje. I więcej. Mamy podobny flow, jak mówi młodzież. Nie znosimy używać tych samych okropnych określeń, jak bliźniacze dusze, serducho czy pieniążki. Magda jest inspektorem pożarowym.

– Myślałam, że jest socjolożką.

– Jest inspektorem pożarowym tutaj w domu. Ponieważ nie mam węchu, jestem przerażony, że nie poczuję, że się coś pali. W związku z czym mam zupełnie obsesję na punkcie sprawdzania, czy wszystko wyłączyłem. Na szczęście nie palę już papierosów, więc nie boję się, że spłonę od niedopałka.

– Czy nie wystarczy zamontować czujnik dymu?

– Był zamontowany, ale się włączył, mimo że nic się nie paliło. Nie wiedziałem, co zrobić. Od tej pory Magda sprawdza, czy nie grozi nam pożar. Spotkała mnie w takim momencie życia, kiedy wydawało mi się, że już jest po mnie. Boją się, że w końcu mnie zostawi.

– Nie chcecie się pobrać?

– Musiałbym się najpierw rozwieść z żoną, a potem ożenić się z Agnieszką...

I tu następuje zaskakująca scena, która okaże się jednak dramatyczna i która sprawia, że nie bardzo wiem, jak się zachować. Bo oto na schodach za moimi plecami stoi wzburzona kobieta, która ciska słowami: „Proszę mnie nie łączyć z tą historią!".

Agnieszka

Poznali się, kiedy Marek wyprowadził się z domu od żony i córek. Agnieszka miała 28 lat, wróciła właśnie z Japonii i za namową koleżanki zgodziła się przyjąć Marka pod dach wynajmowanego mieszkania. Deklarowali wówczas wzajemną przyjaźń, ale po kilku dniach wspólnego mieszkania skonsumowali swój związek. Agnieszka uznała, że to nieuniknione, więc „trzeba mieć to z głowy".

Magdzie Żakowskiej opowiadał, że przez pierwsze pięć lat życia z Agnieszką był pogrążony w kompleksach i stresie. Agnieszka bowiem jest artystką. Chodził z nią na wernisaże, z których „nic nie rozumiał, na których zawsze pojawiał się ktoś z zagranicy i wszyscy mówili w obcych językach oprócz niego".

– Agnieszka poznała mnie z czołowymi polskimi artystami i kuratorami sztuki. Wstydziłem się przy nich swoich rysunków w „Polityce", bo w zderzeniu z ich twórczością czułem się jak ubogi krewny z prowincji – dopowiada.

Lubił mieszkać sam, ale jej obecność nie była uciążliwa.

– Bardzo dużo wyjeżdża. Na przykład chciała spędzać zimę w dżungli gdzieś w Ameryce, więc potrafiło jej nie być pół roku. A poza tym miała bardzo dużo znajomych, którzy stali się moimi znajomymi, co zapewniało mi życie towarzyskie.

Rozstali się, bo nie był gotów sformalizować ich związku, ale kiedy zachorował, zamieszkali znów razem we wspólnym domu.

– Po wylewie bałem się już być sam w domu, a wspólne mieszkanie okazało się korzystne dla nas obojga.

Reasumując: dzięki Agnieszce i jej towarzyskim relacjom przeniósł się z „Polityki" do „Przekroju",

Dla Agnieszki wymyślił cykl przygód o Stanisławie z Łodzi, bo wydawało mu się, że taka konwencja i ten typ humoru bardziej jej się spodobają niż jego satyryczne komentarze na drugiej stronie „Polityki".

Przy Agnieszce zaczął rysować lepiej.

W wydanej w 2013 roku „Książce, którą napisałem, żeby mieć na dziwki i narkotyki" powiedział: „Właściwie powinienem spisać testament, bo rzeczywiście wszystko, co zrobiłem, odkąd ją znam, powinno być po mojej śmierci jej własnością. Ona kierowała wszystkim, co zrobiłem od ponad 10 lat".

I oto słyszę ją za swoimi plecami. Odwracam głowę, by zobaczyć wysoką, wzburzoną kobietę w zaplecionym warkoczu, w jasnej koszuli i spodniach albo tunice, nie pamiętam. Piękną w swoim szczerym uniesieniu, które wydaje się być złością, ale intuicja podpowiada mi, że to nie złość powoduje jej wybuch.

– Uratowałam mu życie! I teraz on mnie zmusza do czynności opiekuńczych wbrew mojej woli, bo ja się wcale na to dobrowolnie nie piszę – wybucha.

– Wiem, uratowała mu pani życie, gdy dostał udaru – zauważam.

– Przeszłam gehennę z nim. Natomiast on jest tak niewdzięczną istotą, że wolałabym, żeby w ogóle o mnie nie wspominał. Bo to by było okrutne wręcz, dlatego że dla niego nie istnieję. Po prostu jestem oczywistością, że może na mnie liczyć, że będę mu wszystko podawać...

– Jak ma o pani nie wspomnieć, skoro mieszkacie razem? – zauważam przytomnie.

– No tak, przymusowo.

– Jak przymusowo? Przecież wynajęliście mieszkanie, kochaliście się. Tego, proszę pań-

eprasa.pl 5935e39405

stwa, nie można pominąć w opowieści o Marku – odpieram i zauważam, że Marek milczy.

– Ale nie było mojej przyjaciółki, z którą by mnie nie zdradził. Nie wytrzymałam tego. Udało mi się wyjechać za granicę. I w końcu dostał wylewu, i postawił mnie w sytuacji, kiedy nie może mieszkać sam, bo się zabije.

Ja mam za dobre serce. Ja bym chciała, żeby on żył jak najlepiej i w ogóle… – Agnieszka ma łzy w oczach.

– Magda jest teraz moim wybawieniem, bo ja tu żyłam jak niewolnica. Musiałam zrezygnować z pracy, ze wszystkiego.

– Dlaczego musiałaś – przechodzę na „ty", bo trudno w takich emocjach podchodzić do siebie z kurtuazyjną grzecznością.

– Bo inaczej by umarł. Jakbym go zostawiła, toby umarł.

– W sensie: jakbyś go zostawiła fizycznie i wyprowadziła się stąd?

– Tak.

– To jest bardzo wzruszające.

– No wiem, mam nadzieję, że ten gagatek na to zasługuje.

Możliwe, że przeginam, ale pytam: „Kochasz go?".

– Kocham, pewnie jak brata. Ja w ogóle nie wierzę w miłość. Miłość to jest pułapka i syndrom sztokholmski. Pierdolę, w co ja się wpakowałam. – Odwraca się i stanowczym krokiem wchodzi na piętro. Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

Marek doda później do tej historii, że Agnieszka często wyjeżdża, że zbudowała sobie pracownię 100 km od Warszawy, ma sporo ziemi, tam jej się najlepiej pracuje i tam lubi być.

Miłość

Marek od roku nie rysuje ani nie maluje i nie dlatego, że nie widzi na jedno oko. Ten deficyt podobno wcale mu nie przeszkadza, tym bardziej że drugim okiem zdarza mu się widzieć w trójwymiarze. Zwyrodnienie plamki żółtej zdiagnozowano u niego osiem lat temu, ale gdyby poszedł do lekarza szybciej, szanse na uratowanie wzroku byłyby większe.

– Nikomu nie powiedziałem, że gorzej widzę. Byłem przekonany, że to chwilowe i jak zwykle skończy się na strachu. A kiedy poszedłem do okulisty, było trochę późno. Podobnie jak z rakiem. Chory człowiek przede wszystkim czeka. Najpierw, że mu samo przejdzie, potem na lekarza, na wyniki zleconych badań, potem znów na lekarza, który wysyła na kolejne badania. I na takim czekaniu na diagnozę mija czas.

Marek marzy, że zakwalifikuje się na eksperymentalną terapię leczenia makrofagami we Wrocławiu. Ale od miesiąca czeka na zaświadczenie od lekarza, że wszystkie dostępne terapie okazały się w jego przypadku nieskuteczne.

– To moja ostatnia nadzieja. Te makrofagi mogą wykończyć bakterie, których nie mogę się pozbyć antybiotykami. Ale denerwuję się, że lekarz napisze, że nie podjąłem się wszystkich terapii, bo przecież nie wycięto mi jeszcze nerek – Marek jest zrezygnowany i mam wrażenie, że nie wierzy, że leczenie we Wrocławiu dojdzie do skutku.

Magda stara się go pocieszyć, zapewnia go, że usunięcie nerek nie jest metodą leczenia.

Pytam ją, czy nie czuje się pielęgniarką swojego chłopaka. – Nie. – Uśmiecha się, a Marek wtrąca: – Gdyby nie Magda, nie wiem, jak bym przeżył szpital i każdy dzień. Dobrze, że mieszka blisko, ma nienormowany czas pracy i możemy ze sobą rozmawiać, chodzić na obiady, na kolacje albo do Klubu Komediowego.

Dociekam, czy nie bała się związać z chorym człowiekiem.

– Kiedy poznaje się człowieka z potencjałem na relację do końca życia, to ocenia się ją w kategoriach albo zero, albo jeden. Jeden zdarza się bardzo rzadko, więc jeśli się zdarzy, to kupuje się tego człowieka ze wszystkim.

Opowiadam im o spotkaniu z 91-letnim prof. Zygmuntem Baumanem i jego niedawno wówczas poślubioną żoną prof. Aleksandrą Kanią. Podziwiałam ich za to, że się pobrali mimo widma końca miłości, osamotnienia, żałoby i tęsknoty. „I co? Pozostawać w samotności ze strachu przed ponownym osamotnieniem? To bez sensu. Lepiej przeżyć wspólnie coś, co nada życiu sens" – mówiła profesorka. I dalej: „Trzeba przyjąć, że miłość jest warta cierpień, które jej towarzyszą. To, co się przeżywa dzięki miłości, jest wspaniałe – Zygmunt mówi, że to jest second lease of life, taki drugi dar życia".

Rady jej męża były dość kategoryczne: „Jak się boisz odpowiedzialności czy zranienia, to nie zawracaj sobie głowy miłością. Zamknij się, zamontuj sobie w drzwiach lepsze zamki, żeby żaden intruz nie wszedł, i machnij ręką na to. W końcu jest bardzo wielu ludzi, którzy przeżyli życie bez miłości".

– A ty, Magda, się nie boisz? Nie myślisz o tym, że ta miłość się skończy? – zadaję to pytanie, chociaż obawiam się, że mogę ją zranić.

Jest w niej subtelność i ten rodzaj spokoju, przy którym druga osoba może nabrać pewności siebie i zaufać, że będzie dobrze.

Magda znów się uśmiecha. – Nie boję się właśnie dlatego, że wszystko się kończy, to wiadomo, tym bardziej żyję tym, co trwa, nie chcę tracić tego czasu.

Za fajne ciuchy do trumny

Marek uważa, że nie ma tematów, z których nie powinno się śmiać. Zauważam, że nie chichoczemy z jego choroby, ale okazuje się, że trochę się mylę.

– Kiedy już trafiam do szpitala i nie ma odwrotu ani możliwości ucieczki, zaczynam oswajać się z sytuacją i z miejscem i pojawiają się elementy komiczne. Na przykład, kiedy leżałem w szpitalu w Katowicach, długo nie mogłem w nocy zasnąć. Potwornie się męczyłem, ale kiedy już mi się udało, to obudziła mnie pielęgniarka, żeby mi podać tabletki na sen.

Marek się nie śmieje, ale ja owszem. I dzielę się tragikomicznym obrazkiem ze szpitala, w którym pacjenci ze schorzeniami neurologicznymi palili przed bocznym wejściem papierosy wspólnie z lekarzami nakazującymi im rzucenie palenia.

Jednak jakoś tak się dzieje, że wątki naszej rozmowy często zbaczają na ścieżynę wiodącą od Tanatosa do Erosa i z powrotem.

Tym razem Marek dzieli się ze mną praktyczną uwagą, że gdyby chciał popełnić samobójstwo, wystarczyłoby, by odkręcił jedną z dwóch rurek, jakie ma wmontowane pod obojczykiem.

– Czasami nie chcę żyć, bo nie jestem samodzielny i moje życie zależy od maszyny, do której muszą mnie podłączyć rurkami wystającymi z mojego ciała. Przecież to jest horror po prostu – wyznaje.

Próbuję w ramach oswajania demonów zapytać, czy ma przyszykowane ubranie do trumny, i zauważam, że poprzeczka jest postawiona dość wysoko. Bo przecież legenda głosi, że Jarosław Iwaszkiewicz zażyczył sobie pochówku w galowym ubraniu górniczym.

– Nie wiem, w co mnie ubiorą córki, ale fajnych ciuchów mam całkiem sporo, chociaż może szkoda, co? – Marek pytająco patrzy na Magdę i chyba się uśmiechają.

– Ale wiesz, ciekawe jest to, że teraz jeszcze bardziej się stroję, niż się stroiłem, kiedy miałem libido. To zagadka, jak to się ma do siebie – zastanawia się.

Próbuję rozwiązać ją biologią ewolucyjną, wspominając barwne samce, tyle że biologia tłumaczy atrakcyjność fizyczną koniecznością przekazywania genów, a nie samozadowoleniem z własnej atrakcyjności.

Trzeba zatem oprzeć się nam na kulturze i poczuciu estetyki, ale to wyjaśnienie nie rozwiązuje kolejnej zagadki, czyli jak libido Marka ma się do jego twórczej mocy i niemocy. On sądzi, sięgając pamięcią w przeszłość, że jego początki działalności artystycznej wiązały się z podnoszeniem jego atrakcyjności dla świata, a ściślej mówiąc „dla płci przeciwnej, zwanej też piękną i słabą, a jednak najsilniejszą".

Nie bardzo nam jednak wychodzi drążenie tej kwestii, więc na powrót wracam do Tanatosa i dość oczywistego pytania, czy ostatnie doświadczenia i świadomość śmiertelności zmieniły jego stosunek do istnienia Boga.

– Nie, nie wierzę w życie po śmierci. Niezmiennie zachwyca mnie odpowiedz Sławomira Mrożka, który na pytanie, czy istnieje życie pozagrobowe, odpowiedział: „Wyłącznie!".

Zamierzam też zapytać o śmierć, niepokój, żal, strach i tak dalej, ale znów mnie uprzedza i deklaruje, że w ogóle się jej nie boi. Strach ogrywa Epikurem, który powiadał, że „śmierć nas nie dotyczy, ponieważ dopóki istniejemy, śmierci nie ma. A kiedy nadejdzie, my już nie istniejemy."

Polityka

Wydaje się, że Marek Raczkowski rozważa powrót do twórczości, bo kiedy skończymy rozmawiać, zamierza wziąć się do uporządkowania papierów zalegających na półkach dziesięciocentymetrowymi warstwami.

Przed nim kilka godzin darcia niepotrzebnych projektów, segregowania ich według tematycznych wątków i analizowania, co jest szkicem, co zrealizowanym projektem, a co zgubionym oryginałem. Powstałe kupki będzie rozkładał na stole, łóżku i fotelach. Musi też odsłuchać dyktafon, na którym nagrywa swoje pomysły, kiedy nie chce mu się ich szkicować. To krótkie dialogi i inne skojarzenia, sam jest ciekaw, co znajdzie.

Na razie swoje obrazy, rzeźby i opowiastki tworzy w głowie. Ale mimo uzależnienia od polityki i TVN 24 nie przechowuje w niej komentujących żartów inspirowanych obecną sytuacją polityczną.

– Rzeczywistość powyborcza jest przerażająca, a trudno cokolwiek komentować, kiedy jest się ciężko przerażonym. Jesteśmy w stanie sobie urządzić tutaj niezłe piekło i wszystko do tego zmierza, w dodatku wisi nad nami jeszcze wojna, co budzi we mnie trwogę, bo ja nie czuję się na siłach uciekać.

Co drugi dzień potrzebuję państwa, które mnie podłączy do maszyny, która mnie utrzyma przy życiu. I kiedy sobie z tego wszystkiego zdam sprawę, to naprawdę zaczynam się bać.

Magda pociesza mnie perspektywą ucieczki do Hiszpanii, co rzeczywiście może być pocieszające, ale raczej niewykonalne, bo dializy są potwornie drogie. 500 euro kosztuje jedna – twierdzi Marek, a ja liczę, że to 1500 euro tygodniowo, co mnożę przez liczbę tygodni w roku, co daje 78 000 euro rocznie. I nie umiem go podnieść na duchy głupawą nadzieją, że może wygra w totka.

– Nie wiem, co będzie, ale przecież w życiu chodzi o to, żeby jak najdłużej uciekać. A nie o to, żeby uciec ze świata definitywnie – kwituje, co właściwie brzmi optymistycznie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ"

NERKI

• Jak chorują nerki Polaków?
• Jakie badania zrobić, żeby sprawdzić, czy mamy chore nerki
• Prawdy i mity o jedzeniu na chore nerki

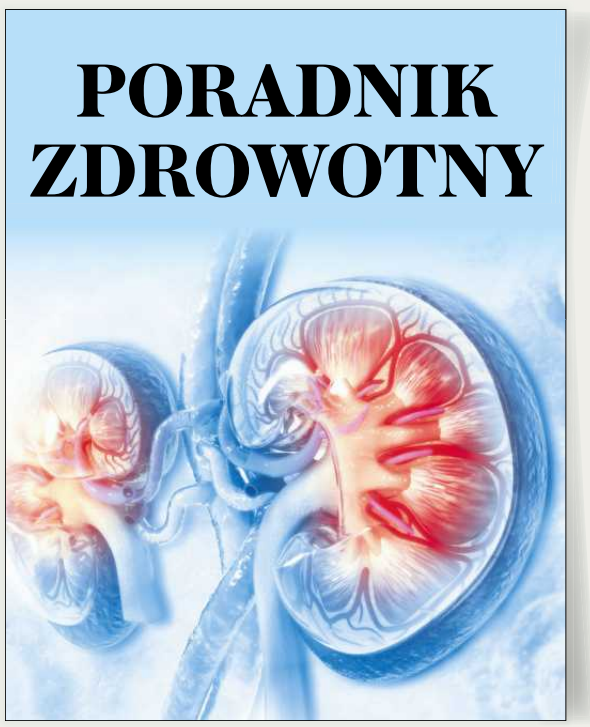

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

FOT. SHUTTERSTOCK

GENERACJA A

Bezsenność, obniżona empatia, orgazmy bez przyjemności. Psychiatrzy nabierają wątpliwości co do antydepresantów

Z **DR. RADOSŁAWEM STUPAKIEM** ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Na Zachodzie – głównie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – toczy się dyskusja o skutkach ubocznych leków antydepresyjnych z grupy SSRI i SNRI. W Polsce po takiej debacie ani widu, ani słychu.

– Faktycznie w tych krajach do mediów głównego nurtu zaczynają przebijać się głosy krytyczne. Ukazują się artykuły, które podają w wątpliwość skuteczność antydepresantów, wskazują na ryzyka związane z ich stosowaniem czy problemy przy odstawianiu takich leków.

Rozpakujmy ten worek. Z jakimi skutkami ubocznymi możemy mieć do czynienia w trakcie zażywania tych leków?

– To w dużej mierze ta sama lista objawów, na które antydepresanty mają pomagać, na przykład pogorszony nastrój, bezsenność, stany lękowe. Lecz bardzo ciężko – szczególnie w indywidualnym przypadku – obiektywnie oddzielić jedno od drugiego. Natomiast w badaniach ankietowych respondenci często opowiadają o spłyceniu emocjonalnym – czyli odczuwają mniej emocji negatywnych, ale również pozytywnych. Niektórzy opisują, że doświadczają nawet „zmiany osobowości". Że po antydepresantach stali się nieprzyjemni dla innych.

Z badań opublikowanych w „Translational Psychiatry" wynika, że antydepresanty mogą obniżać empatię. Można sobie wyobrazić, że może to prowadzić do zachowań agresywnych, jeśli o empatii myślimy jako mechanizmie hamującym agresję. Prawdopodobnie długoterminowo mogą się pojawiać problemy z funkcjonowaniem poznawczym: pamięcią, rozumowaniem, logicznym wnioskowaniem, uczeniem się nowych rzeczy.

A objawy – nazwijmy to – mniej psychiczne?

– Ponieważ antydepresanty działają nie tylko stricte na mózg, ale cały czas krążą we krwi, możemy mieć do czynienia z różnego rodzaju fizjologicznymi objawami: od przybierania czy tracenia na wadze, przez zaburzenia metaboliczne, po problemy z równowagą, za czym idą łatwiejsze upadki i częstsze złamania. Długotrwałe zażywanie tych środków może skutkować mniejszą mineralizacją kości, czyli zwiększać ryzyko osteoporozy. To z kolei, w powiązaniu z upadkami i złamaniami – szczególnie u osób starszych – może prowadzić do komplikacji kończących się śmiercią i przekładać się na krótsze życie starszych osób na antydepresantach. Choć bardzo trudno to jednoznacznie udowodnić.

Dlaczego?

– Takie dane pochodzą przede wszystkim z badań obserwacyjnych. Nie ma eksperymentów, w których na przykład przez 10 lat sprawdzano by wpływ danej substancji w porównaniu do placebo. Dane z analiz obserwacyjnych zawsze można zakwestionować, że tak naprawdę mamy do czynienia z efektem samego zaburzenia lub innym czynnikiem. A nie z czymś, co powodują leki jako takie.

Antydepresanty oddziałują też na naszą sferę erogenną, obniżając libido.

– Czego najlepszym dowodem jest stosowanie ich w ramach tak zwanej chemicznej kastracji przestępców seksualnych.

O ile z obniżenia popędu zdaje sobie sprawę każdy użytkownik antydepresantów, o syndromie PSSD, Post-SSRI Sexual Dysfunction, czyli zespole dysfunkcji seksualnych po odstawieniu antydepresantów, nie wie już prawie nikt.

– W amerykańskim podręczniku zaburzeń psychicznych DSM – jeśli się uważnie wczytać – można znaleźć na ten temat krótką wzmiankę. Natomiast PSSD nie funkcjonuje jeszcze jako taka oficjalna diagnoza w ramach DSM czy jego międzynarodowego odpowiednika ICD.

Co obecnie wiemy?

– Na pewno, że takie zjawisko istnieje. Nie zawsze musi być tak, że problem pojawia się w trakcie stosowania i z nami zostaje. Czasem dzieje się to dopiero po odstawieniu leków.

Badanie przeprowadzone wśród młodych – od 15 do 29 lat – zażywających antydepresanty wykazało, że ponad 13 procent z nich doświadczyło trwałych dysfunkcji seksualnych. Konkretnie drętwienia narządów.

– To i orgazmy pozbawione przyjemności są właśnie specyficznymi objawami PSSD. Ważne, że drętwienie genitaliów nie jest objawem depresji, więc trudno zrzucić je na efekt samego zaburzenia. Część psychiatrów i psychoterapeutów próbuje w ten sposób bagatelizować problem i nawet podważać, że PSSD istnieje.

Nie jest to też problem, który pojawia się na chwilę i znika.

Dr Radosław Stupak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- psycholog, pracownik Instytutu Psychologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, współpracownik International Institute for Psychiatric Drug Withdrawal.
- Obronił doktorat z psychologii pod tytułem „Model biomedyczny w psychopatologii i opozycja wobec niego. Perspektywa psychologiczna" w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ukończył studia doktoranckie z filozofii w Instytucie Filozofii UJ. Studiował na Petersburskim Uniwersytecie Państwowym, Uniwersytecie Radbouda, Uniwersytecie w Groningen, ukończył dwuletnie szkolenie z psychoterapii przy Collegium Medicum UJ.
- Publikuje w polskich i międzynarodowych czasopismach naukowych, obecnie, wraz z profesorem Pesachem Lichtenbergiem, przygotowuje specjalne wydanie „Journal of Humanistic Psychology" poświęcone nowemu podejściu do psychofarmakologii: „First-Person Psychopharmacology (1PPP): putting the psyche back into psychiatric pharmacology".

eprasa.pl 5935e39405

– U części pacjentów dysfunkcje seksualne po SSRI mogą utrzymywać się latami. Tak naprawdę nie wiadomo czy nie będzie to dla nich problem dożywotni. Natomiast u części osób z czasem obserwuje się poprawę.

Co od strony biologicznej odpowiada za te objawy?
– Tego nie wiemy. Są różne hipotezy i badania. Pierwsze dane dotyczące utrzymującej się dysfunkcji seksualnej po SSRI pojawiały się już w latach osiemdziesiątych w badaniach klinicznych przy wprowadzaniu antydepresantów na rynek. W MHRA, brytyjskiej agencji regulującej obrót farmaceutykami, takie doniesienia odnotowano w 1991 roku, a w 2006 zagadnienie pierwszy raz pojawiło się w literaturze medycznej.

Co wynika z dotychczasowych badań, jeśli chodzi o statystykę?
– Z wielu powodów ciężko o rzetelne dane. Ludzie dotknięci takim problemem niekoniecznie chętnie będą o nim mówić, ponieważ to coś wstydliwego. Z tego samego powodu lekarze niekoniecznie pytają o takie rzeczy, nawet jeśli zdają sobie, że ryzyko istnieje. Działa też pewien szantaż emocjonalny, że nie powinno się o PSSD mówić, czy informować o tym pacjentów, bo mogłoby to zniechęcać ludzi do leczenia. Z podobnych powodów może brakować chętnych do finansowania i prowadzenia badań na ten temat.

Mamy różne szacunki, w zależności od tego, jak definiujemy problem i w jaki sposób to mierzymy. Są badania, które pokazują, że PSSD dotyka około procenta – choć autorzy piszą, że ze względu na metodologię to zapewne zaniżone liczby. Inne wskazują, że problem może dotyczyć do kilkunastu procent osób. A w jednym z badań była to prawie połowa ludzi.

W każdym razie osoby poszkodowane zaczynają stawać się widoczne. Zaproponowano już nawet wstępnie kryteria diagnostyczne dla PSSD.

W „The New York Times" ukazał się reportaż „More Teens Are Taking Antidepressants. It Could Disrupt Their Sex Lives for Years". Dziennikarz porozmawiał z ponad 20 osobami, borykającymi się z PSSD. Bardzo poruszył mnie pewien wątek: z brakiem dostępu do własnej seksualności u nastolatków zanikała również potrzeba utrzymywania bliskich więzi, fantazja czy kreatywność.
– Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy to wynik właśnie tej dysfunkcji seksualnej, bo tego typu działania niepożądane mogą pojawiać się też niezależnie od wpływu leku na samo funkcjonowanie seksualne. Ale jeśli popęd seksualny czy dążenie do reprodukcji jest jedną z podstawowych motywacji stojących za różnymi działaniami – również w wypadku takich zwierząt, jak ludzie – to faktycznie konsekwencje obniżenia go mogą przejawiać się w innych obszarach funkcjonowania, na przykład w relacjach, a ostatecznie przekładać nawet na budowanie tożsamości.

Zwłaszcza gdy mówimy o nastolatkach.
– Co innego 40-letnia osoba, która już doświadczyła rozwoju psychoseksualnego, a później widzi, że coś – być może właśnie przez antydepresanty – u niej zanika. A co innego, gdy mówimy o osobach, którym te teki są przepisywane, kiedy mają 10, 12, 14 lat. Taki człowiek, ze względu na działanie antydepresantów, może nie doświadczać w pełni tej fazy rozwojowej, w której seksualność zyskuje na znaczeniu. To może w dużym stopniu oddziaływać na kształtowanie osobowości.

„The Guardian" opublikował apel naukowców o zaprzestanie stosowania antydepresantów u dzieci i nastolatków.
– Dotychczas za jeden z niewielu leków o potwierdzonej skuteczności u młodych osób w depresji uważano fluoksetynę, czyli popularny Prozac. Natomiast naukowcy dowiedli, że efekt ten zapewne wynikał z „novelty bias".

Czyli zniekształcenia wynikającego z nowości.
– Kiedy jakiś lek jest wprowadzany na rynek, badania nad nim prowadzą niemal wyłącznie jego producenci. Potem do badań dołączają inne firmy, które stosują daną substancję jako porównanie do tej swojej.

I zależy im, żeby ich lek był lepszy od tego wprowadzonego wcześniej?
– Badania publikowane w najważniejszych czasopismach naukowych na świecie pokazują, że w badaniach sponsorowanych przez producentów ich własne leki wypadają lepiej niż w badaniach prowadzonych przez inne podmioty. W związku z tym, gdy badań przybywa, średnia skuteczność się obniża. W grę mogą wchodzić też inne zjawiska. Jak robimy metaanalizę, czyli systematycznie analizujemy wiele badań, widzimy, że z czasem te różne substancje wyglądają na coraz mniej skuteczne. Podobny efekt, z podobnych powodów, występuje w odniesieniu do badań skuteczności nowych metod psychoterapii.

Tak jest z fluoksetyną?
– Nowsze metaanalizy dotyczące dzieci i nastolatków wykazują brak przewagi nad placebo albo minimalną przewagę. Już kilka lat temu w metaanalizie Cochrane – instytucji uważanej przez długi czas za wyrocznię, jeśli chodzi o ocenę skuteczności różnych interwencji medycznych – wprost wskazywano, że należałoby zastanowić się, czy w ogóle należy te leki stosować, bo przy minimalnych korzyściach lub ich braku, bilans zysków i strat może być niekorzystny. Jeśli chodzi o dzieci, ta relatywnie niewielka skuteczność antydepresantów w porównaniu do placebo, o której możemy mówić w odniesieniu do dorosłych, jest jeszcze niższa.

Co to znaczy „relatywnie niewielka skuteczność"?
– Ogólnie, u dorosłych możemy mówić o średniej wielkości efektu rzędu 0,3, co przekłada się na różnicę dwóch punktów skali Hamiltona, gdzie maksymalny wynik to ponad 50. Taka różnica jest nieistotna klinicznie, to znaczy w praktyce niedostrzegalna przez lekarza. W przypadku dzieci badań jest znacznie mniej i do tej pory właściwie tylko fluoksetynę uważano za lek o potwierdzonej skuteczności – w wypadku innych substancji nie udawało się wykazać przewagi nad placebo.

Równocześnie w odniesieniu do młodych mamy znacznie więcej dowodów pozwalających twierdzić, że te leki mogą zwiększać ryzyko samobójstw czy zachowań agresywnych i autoagresywnych. O ryzyku samobójstw z powodu przyjmowania antydepresantów już w 2004 roku informowała FDA – amerykańska Agencja Żywności i Leków.

Czyli mamy substancję, która zapewne wiąże się z wieloma skutkami niepożądanymi, a równocześnie do końca nie wiemy, czy pomaga. Tymczasem dwa miliony amerykańskich dzieci w wieku 12-17 lat funkcjonuje na SSRI.
– W wytycznych Mental Health GAP z 2023 roku WHO traktuje stosowanie antydepresantów wśród dzieci i młodzieży raczej jako ostatnią deskę ratunku, jeśli interwencje psychologiczne nie odniosą żadnego efektu. I też wyłącznie wraz z terapią. Dotyczy to osób od 13 roku życia. U młodszych przy diagnozie depresji w ogóle odradzane są antydepresanty. W zaburzeniach lękowych nie zaleca się farmakoterapii u dzieci i młodzieży. Dziś idziemy krok dalej, dyskutując o tym, że być może w ogóle nie powinno się ich dzieciom i młodzieży podawać w wypadku diagnozy depresji.

FOT. SHUTTERSTOCK

Jaka jest aktualna wiedza na temat skutków odstawienia leków SSRI?
– Wiemy, że im dłużej ktoś je bierze, tym większe ryzyko, że mogą wystąpić poważne i bardzo uciążliwe objawy odstawienia. Utrzymujące się tygodniami, miesiącami, a w pojedynczych przypadkach nawet latami. Psychiatria długo nazywała to „dyskontynuacją". Może dlatego, że brzmi trochę mniej pejoratywnie i inaczej się kojarzy niż „objawy odstawienia".

O jakich konkretnie objawach mówimy?
– Odstawienie leków może prowadzić do wielu problemów z funkcjonowaniem przypominających stan sprzed leczenia. Ale często pojawiają się opisy czegoś, czego ludzie nigdy wcześniej nie doświadczali – tak zły nastrój, taki lęk, taka bezsenność, jak nigdy wcześniej przed braniem leków. Plus mamy różne specyficzne objawy typu *brain zaps*. Chodzi o wrażenie wyładowań elektrycznych w mózgu. Również inne, bardziej „fizjologiczne" objawy.

Jak często to występuje?
– Nie wiadomo. To znów zależy od tego, kto i jak bada. Z badań ankietowych wynikać by mogło, że jakieś objawy odstawienia będzie miała około połowa osób, a z tej połowy około połowa określa je jako bardzo ciężkie. Ale te szacunki mogą być zawyżone ze względu na metodę badania. Z drugiej strony szacunki opierające się na wynikach przede wszystkim ośmiotygodniowych badań klinicznych, mówiące o kilku procentach przypadków, są bez wątpienia zaniżone. A zdecydowana większość badań klinicznych dotyczących antydepresantów to właśnie takie krótkie badania.

Na dobrą sprawę w dużej mierze na podstawie takich ośmiotygodniowych badań zalecamy stosować leki pół roku, rok czy nawet wiele lat. Tymczasem organizm przyzwyczaja się do obecności jakiejś substancji. Dążąc do homeostazy, uruchamia szereg procesów działających w przeciwnym kierunku. Nagłe odstawienie jakiejś substancji jeszcze bardziej rozregulowuje system. Dlatego dziś pojawiają się pomysły, aby znacznie wolniej zmniejszać dawki leku przy odstawianiu.

Zazwyczaj lekarze zmniejszają dawkę o połowę, później bierze się ćwiartkę tabletki i załatwione.
– Co może wywoływać bardzo poważne objawy odstawienia, które później można interpretować jako nawrót choroby dowodzący, że stosowanie leków jest ciągle konieczne. A to mogą być po prostu objawy odstawienia, które dałoby się złagodzić, rozkładając proces na dłuższy okres. Na przykład zmniejszając dawkę o 10 procent aktualnej co miesiąc. Proponuje się więc takie „hiperboliczne" odstawianie.

Nie spotkałam się z tabletkami o tak małych dawkach czynnej substancji albo podzielonymi na wiele części.
– Na polskim rynku nie ma leków w dawkach, które umożliwiałyby w miarę łatwe i bezpieczne odstawianie, co zmusza ludzi do samodzielnego krojenia tabletek albo tworzenia roztworów wodnych. Trzeba samemu bawić się farmaceutę. A na przykład w Holandii mamy tak zwane *tapering strips*, gdzie dawki są tak właśnie przeliczone.

Polscy psychiatrzy przekonują się do takiej ścieżki odstawiania leków?
– Jest z tym duży problem. Na początku 2024 roku w prestiżowej serii The Maudsley ukazał się podręcznik „The Maudsley Deprescribing Guidelines: Antidepressants, Benzodiazepines, Gabapentinoids and Z-drugs" dotyczący odstawiania leków psychiatrycznych. W Polsce nie został nawet przetłumaczony. Mało kto też o nim wie. Najwyraźniej żadnej organizacji psychiatrycznej w Polsce nie zależy na tym, żeby wiedza umożliwiająca bezpieczniejsze odstawianie leków dotarła do ludzi i lekarzy. Natomiast w Australii czy Wielkiej Brytanii mamy już inicjatywy zmierzające do tego, żeby w ramach ich systemów ubezpieczeń takich jak nasz NFZ finansować przeszkolenie lekarzy i oparte na nim świadczenia. Żeby psychiatrzy potrafili nie tylko zapisywać leki, ale też je odstawiać.

Z doświadczenia wiem, że wiele osób odstawia leki na własną rękę, co zazwyczaj źle się kończy.
– Liczne przypadki śmierci samobójczych mogą być związane ze zbyt szybkim odstawianiem leków, to znaczy zmniejszaniem dawek w zbyt szybkim tempie, również na polecenie lekarzy. U części osób objawy odstawienia prowadzą do pojawienia się myśli samobójczych, nawet jeśli przed braniem leków nigdy ich nie doświadczyły. Dlatego należy edukować psychiatrów o tym jak bezpieczniej te leki odstawiać, zachęcać do współpracy z pacjentami przy odstawianiu, a nie traktować tego jako tabu.

Jednocześnie mamy sporą grupę osób, którym antydepresanty diametralnie polepszyły jakość funkcjonowania czy wręcz ich uratowały. Niektórzy psychiatrzy twierdzą, że antydepresanty można stosować bezpiecznie do końca życia.
– Jeśli ktoś czuje się dobrze na lekach – a tym bardziej, gdy obiektywnie funkcjonowanie tej osoby wskazuje na to, że one faktycznie jej słu-

eprasa.pl 5935e39405

żą – nikogo nie należy zmuszać do rezygnowania z nich. „Bezpieczeństwo" w tym kontekście to raczej kwestia bilansu zysków i strat.

Z drugiej strony przeświadczenie, że chce się antydepresanty brać już zawsze, może wynikać nie tyle z pozytywnego działania leku, ile z lęku przed jego odstawieniem?
– Zapewne to czasami wynika z przeniesienia poczucia bezpieczeństwa na tabletkę. A czasami ze wcześniejszych nieudanych prób odstawienia. Jeśli lek był nieprawidłowo odstawiany, a objawy odstawienia zostały zinterpretowane jako nawrót depresji, taka osoba mogła nabrać przekonania, że faktycznie najlepiej, jeśli będzie na lekach do końca życia. Problemem jest, gdy wcale nie czuje się na nich jakoś dobrze, doświadcza działań niepożądanych, ale ze względu na objawy odstawienia ma poczucie, że bez leków będzie jeszcze gorzej.

Dlaczego u nas się o tym nie dyskutuje? W USA ludzie dużo wcześniej masowo zaczęli brać leki SSRI i dlatego szybciej dostrzegli negatywne konsekwencje ich zażywania?
– Jeśli chodzi o skalę stosowania antydepresantów, dopiero „gonimy" Zachód. Tam mamy już całe pokolenie wychowane na lekach. My być może dopiero będziemy mieli pierwsze takie pokolenie, które w dużej mierze dorasta, stosując różnego rodzaju leki psychiatryczne. Z drugiej strony, patrząc szerzej, w Polsce w latach 60. czy 70. nie było takiego ruchu walk o prawa obywatelskie, z jakim mieliśmy do czynienia w USA czy w Europie Zachodniej. W ramach tych ruchów różne tendencje antyestablishmentowe częściowo pokrywały się z postrzeganiem psychiatrii jako jeszcze jednej instytucji społecznej kontroli i opresji.

W Polsce nie mamy tradycji kwestionowania psychiatrii jako instytucji?
– Co więcej, u nas często przedstawia się psychiatrię wręcz jako instytucję, która pomagała opozycjonistom albo chroniła ludzi przed poborem do wojska. Także w środowisku naukowym i psychiatrycznym nie mieliśmy takich postaci jak Szkot Ronald David Laing, Amerykanin Thomas Szasz czy Włoch Franco Basaglia, którzy stworzyli bazę, do której mogą się odwoływać następne pokolenia badaczy myślących krytycznie o psychiatrii i jej reformie. Mamy więc tego rodzaju różnice kulturowe.

Kolejna rzecz: specyfiką Polski i w ogóle szerzej krajów postkomunistycznych jest to, że w momencie transformacji ustrojowej otworzyliśmy się na kapitał płynący z Zachodu, w tym kapitał koncernów farmaceutycznych. Te firmy – finansując różnego rodzaju działania i konkretne jednostki – mogły bardzo intensywnie wpływać na kształtowanie narracji i łatwo przejąć rynek. A ze względu na to, że Polska jest mniejszym krajem niż USA czy Wielka Brytania, szczególnie biorąc pod uwagę różnice w sile i wartości walut na początku lat 90., łatwiej było różne instytucje i narrację kontrolować.

Jak mocno polskie środowisko psychiatryczne uwikłane jest we współpracę z przemysłem farmaceutycznym?
– Wiele osób współpracuje z koncernami. Oczywiście to samo w sobie nie przesądza o nieetycznych czy nieprawidłowych działaniach, ale niewątpliwie miewamy do czynienia z konfliktem interesu.

Niektórzy lekarze dostają od koncernów granty na badania, wynagrodzenie za sponsorowane wykłady i różnego rodzaju kampanie, w których biorą udział. Czasem po prostu podpisują się pod badaniami prowadzonymi przez koncerny.

Może powinniśmy mieć pretensje nie tylko do nich, ale również do mediów, że opisując jakieś badania czy nowe tezy, nie dodają, że ten czy tamten przywoływany autorytet współpracuje z Big Pharmą.
– Zgadzam się, że media powinny tego pilnować. Jeśli o jakiejś nowej wspaniałej substancji czy klasie leków słyszelibyśmy od kogoś, kto jest podpisany jako osoba współpracująca z producentem, odbiór tych informacji mógłby być trochę inny, niż kiedy ta osoba przedstawiona jest tylko jako wybitny lekarz czy naukowiec. Rzecz w tym, że niektórzy lekarze czasami zapominają o tym informować nawet w swoich publikacjach naukowych.

Ale specjaliści na szczeblu niższym niż ten ekspercki i medialny nie muszą opierać się na wiedzy ze studiów czy na tekstach popularnonaukowych. Mają dostęp do najnowszych badań. A obowiązkiem lekarza jest aktualizowanie wiedzy.
– Teoretycznie mają, ale taki – brzydko mówiąc – szeregowy psychiatra zazwyczaj nie spędza wieczorów, czytając najnowszą literaturę naukową. W dużej mierze podążą po prostu za tym, co słyszy od tak zwanych *key opinion leaders*, czyli wpływowych psychiatrów współpracujących z koncernami, którzy często występują w roli autorytetów i ekspertów.

Oni na kongresach i konferencjach, na których psychiatrzy mogą aktualizować swoją wiedzę, wygłaszają wykłady, często sponsorowane przez producentów różnych substancji. Decydują o tym, co można mówić, a czego nie. Narzucają określone rozumienie różnych zjawisk. Edukują innych psychiatrów i opinię publiczną.

To nie tak, że ci szeregowi psychiatrzy są jacyś cyniczni. Oni często w dobrej wierze robią to, co zalecają im wytyczne pisane również przez tych kluczowych liderów opinii.

Czyli mówimy o ogromnym wpływie koncernów farmaceutycznych na edukację lekarzy.
– Te mechanizmy doprowadziły do kryzysu opioidowego w USA i na szeroką skalę były stosowane w promocji benzodiazepin. Ale są jeszcze inne czynniki utrudniające zmiany: części lekarzy trudno się przyznać przed samym sobą, że przez dłuższy czas tkwili w błędzie. W grę wchodzi dysonans poznawczy, obrona poczucia własnej wartości, samooceny czy lojalności wobec kolegów z branży.

Czy w polskim środowisku związanym ze zdrowiem psychicznym rzeczywiście się na ten temat nie rozmawia?
– Rozmawia, ale w kuluarach. Środowisko jest w dużej mierze podzielone. Istnieją różne grupy interesu reprezentujące różne perspektywy – bardziej biologiczne albo psychospołeczne lub psychodynamiczne czy poznawczo-behawioralne. Niektóre problemy mogą być zamiatane pod dywan albo wywlekane w ramach środowiskowych sporów o wpływy. Są osoby, szczególnie młodsze, które nie ufają bezkrytycznie autorytetom, mają poczucie, że coś tu nie gra, albo nawet rozpoznanie, co konkretnie jest nie tak.

Dlaczego nie słyszymy ich głosu?
– Z typowych przyczyn. Jedni nie mają możliwości przebicia się, inni niekoniecznie chcą ryzykować, występując przeciwko znacznie silniejszym instytucjonalnie aktorom, część wybiera cynicznie ścieżkę kariery, stawiając na lojalność i posłuszeństwo.

W październiku „The Wall Street Journal" opublikował bardzo ciekawy artykuł „Girl, Take Your Crazy Pills! Antidepressants Recast as a Hot Lifestyle Accessory", który ukazuje gwałtowny wzrost spożycia antydepresantów wśród 20-, 30-letnich kobiet. Autorzy korelują to z wiralowym wzrostem popularności SSRI w social mediach. Na TikToku hashtag „antydepresanty" został użyty ponad 1,3 miliarda razy.
– Na pewno można powiedzieć, że ta promocja leków i diagnoz odbywa się nie tylko przez oficjalne, instytucjonalne kanały, ale również przez media społecznościowe. Przyczyniają się do tego różnego rodzaju celebryci i influencerzy – niektórzy w ramach współprac z koncernami, inni z całkowicie szlachetnych pobudek.

Młode influencerki propagują leki przeciwdepresyjne, używając takich hashtagów jak #livelaughlexapro, #lexaprogirly i #zoloftgang. Przekształcając tym samym leki w symbole popkultury, część samorozwoju i „wellnessu". Co w tym szlachetnego?
– To często jest opisywane jako walka ze stygmatyzacją, budowanie społecznej świadomości i tak dalej. Cały ten trend można by nazwać kulturą terapii, tylko ja mam z tym pojęciem problem.

Dlaczego?
– Bo można odnieść wrażenie, że kluczowym problemem jest psychoterapia i to, że język psychoterapii przenika do naszej kultury. A psychobełkot bardzo często jednak towarzyszy neurobełkotowi, który ma niewiele wspólnego z faktyczną neuronauką i często odnosi się do różnych pozornych wyjaśnień mechanizmów związanych z diagnozami psychiatrycznymi.

Być może adekwatniej byłoby mówić o kulturze diagnoz psychiatrycznych czy szerzej – o psychiatryzacji życia społecznego. W którym coraz więcej zjawisk postrzegamy przez pryzmat rzekomo indywidualnych patologii, często dodatkowo bardzo silnie biologizowanych.

Biologizowanych?
– Chodzi o sprowadzanie różnego rodzaju trudności do problemów natury biologicznej, na przykład problemów z neuroprzekaźnikami czy innych dysfunkcji mózgu. Ten „mózg" jest wtedy najczęściej wyjęty z szerszego kontekstu. Czyli problemem nie jest to, że ktoś na przykład pracuje w złych warunkach. Tylko że ten ktoś ma rzekomo źle funkcjonujący mózg i najlepiej, żeby sam odpowiedzialnie zgłosił się na leczenie i go naprawiał, biorąc tabletki.

Można odnieść wrażenie, że młodzi ludzie chętnie łykają tę influencerską opowieść o wspaniałych tabletkach.
– Na naprawdę młodych ludziach mocno odcisnęła się pandemia i lockdowny. A mówimy o kluczowym momencie rozwojowym, jeśli chodzi o budowanie kompetencji społecznych czy własnej tożsamości. W tym zamknięciu część z nich szukała w internecie czegoś, co oferuje jakiś rodzaj poczucia przynależności, wspólnoty, zrozumienia, stabilności, a czasem też poczucia wyjątkowości.

Z jednej strony niektórzy nastolatkowie mierzą się z realnymi problemami ekonomicznymi lub mają wiecznie nieobecnych rodziców, często przepracowanych do tego stopnia, że zaniedbują emocjonalnie swoje dzieci. Jednocześnie, choć tyle mówi się o dobrostanie psychicznym i *worklife balance*, sami młodzi też żyją w klimacie ogromnej presji, „budowania przewagi konkurencyjnej", nadmiaru różnych zajęć przygotowujących do wyścigu szczurów. Do tego dochodzi niepewność przyszłości wynikająca z wojen czy wyzwań ekologicznych.

To wygląda na dobry grunt pod budowanie „psychiatrycznej tożsamości".
– W tak szybko zmieniającym się, niepewnym, stresującym i zagrażającym świecie ktoś, kto szuka odpowiedzi na pytanie „kim jestem?", może trafić na odpowiedź, że jest osobą cierpiącą na coś. „Mam diagnozę" – wtedy przynajmniej to wydaje się pewne i może dawać, choćby złudne, poczucie stabilności, ulgę.

Myśli pan, że korporacje farmaceutyczne przetrwają czasy rosnącej krytyki antydepresantów?
– Przetrwają. Przecież zawsze można wypromować kolejny lek jako ten, który tym razem już naprawdę będzie bezpieczny, skuteczny i nieuzależniający, w przeciwieństwie do tego poprzedniego.

Coś czuję, że tym lekiem będą psychodeliki.
– Może nawet nie same psychodeliki, ale jakaś nowa klasa leków, która powstanie z lekkiej modyfikacji tych substancji, żeby można je było opatentować.

Dlaczego nie klasyczne psychodeliki? W nic poza produkcją nie trzeba inwestować, a część promocji wykonają media przyciągnięte atrakcyjną opowieścią o wiedzy, jaką miały żyjący w zgodzie z naturą ludzie pierwotni czy o obalaniu konserwatywnego tabu. Oraz szczerze zaangażowani kontrkulturowi aktywiści.
– Przemysł farmaceutyczny raczej nie jest zainteresowany tym, żeby sprzedawać coś, co może zadziałać po dwu- czy trzykrotnym przyjęciu. Niektóre osoby związane z biznesem psychodelicznym mówią wprost, że nie opłaca się wprowadzać na rynek leku, który potencjalnie wystarczy przyjąć raz.

A co koncerny zrobią z krytyką antydepresantów? Będą się bronić czy machną ręką i skupią na szukaniu czegoś nowego?
– A jak inne branże reagują w takich sytuacjach? Wiemy, jak koncerny paliwowe siały wątpliwości co do wpływu dwutlenku węgla na klimat.

A koncerny tytoniowe dowodziły, że papierosy wcale nie uzależniają i nie powodują raka.
– Dziś może się nam wydawać, że związek tytoniu z nowotworami to oczywista oczywistość, ale jeszcze pięćdziesiąt lat temu wcale tak nie było, papierosy wręcz reklamowali lekarze. Znany psycholog Hans Eysenck w ramach finansowanych przez koncerny badań próbował wykazywać, że za związek palenia z rakiem odpowiada osobowość, co było częścią strategii siania wątpliwości. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych szefowie największych firm tytoniowych zeznawali przed Kongresem, że papierosy nie uzależniają.

Zastanawia mnie tylko, dlaczego w wypadku koncernów tytoniowych, paliwowych, motoryzacyjnych czy spożywczych nie mamy problemu z przyznaniem, że potężne organizacje dysponujące ogromnymi funduszami oddziałują poprzez lobbing, wpływ na naukę, media – a jeśli chodzi o koncerny farmaceutyczne w kontekście zdrowia psychicznego to wciąż temat tabu.

Gdyby do doktora Stupaka przyszedł jakiś polski polityk i poprosił o jedną radę, którą można by już teraz zacząć wcielać w życie?
– Ściśle w kontekście samych antydepresantów: należałoby zmienić wytyczne, żeby ograniczyć stosowanie leków, i zacząć szybko edukować lekarzy o metodach bezpieczniejszego odstawiania, co powinno być finansowane z NFZ. Ale to nie byłaby zmiana systemowa.

Czyli jaka?
– Jeśli będziemy żyć w bardzo nierównym, niesprawiedliwym świecie, to wynikających z tego problemów nie rozwiążemy, wysyłając każdego oddzielnie do psychiatry lub psychoterapeuty.

Pokazują to USA, Australia czy Wielka Brytania, gdzie pomimo wzrostu dostępności i stosowania farmakoterapii i psychoterapii kondycja psychiczna społeczeństw nie poprawia się, a pogarsza.

Skupiając się na jednostkach, w istocie, w takim częstym neoliberalnym manewrze, przerzucamy odpowiedzialność za strukturalne problemy społeczne na cierpiące z ich powodu osoby.

Ale przecież nie każdy kryzys psychiczny jest odbiciem społecznych niesprawiedliwości.
– Oczywiście, że nie każde cierpienie ma bezpośredni związek z sytuacją społeczną, ale niewątpliwie warunki ekonomiczne kształtują to, w jakiej kulturze żyjemy. A ona przekłada się na to, jak się czujemy, jak myślimy o sobie i innych, jak się traktujemy, do czego aspirujemy, czy sobie ufamy. Więc jeśli chcemy, żeby nasze zdrowie psychiczne było lepsze, musimy dążyć do tego, żebyśmy żyli w lepszym świecie.

Tylko tu rodzi się kolejny problem – jak wspólnie ustalić, czym miałby być ten „lepszy świat". ●

eprasa.pl 5935e39405

MASZ KSIĄŻKI? NAJLEPIEJ SIĘ NIE PRZEPROWADŹ

Pociesza mnie to, że zawsze będzie jakiś młody człowiek, który przyjdzie do mnie i powie: „Odkryłem wspaniałego autora. Nazywa się Hemingway”

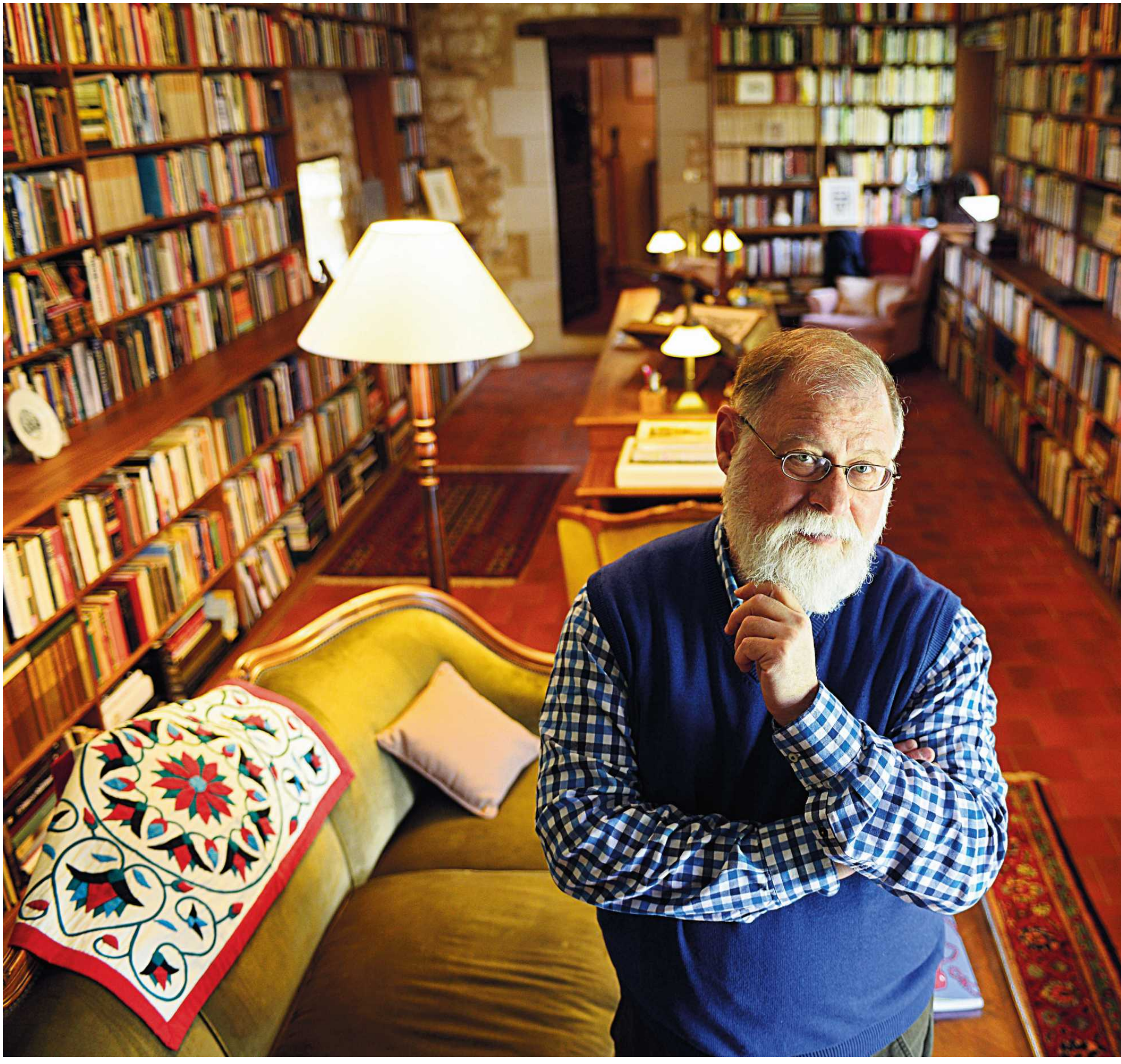

eprasa.pl 5935e39405

ZAJ

Z **ALBERTO MANGUELEM***
ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT

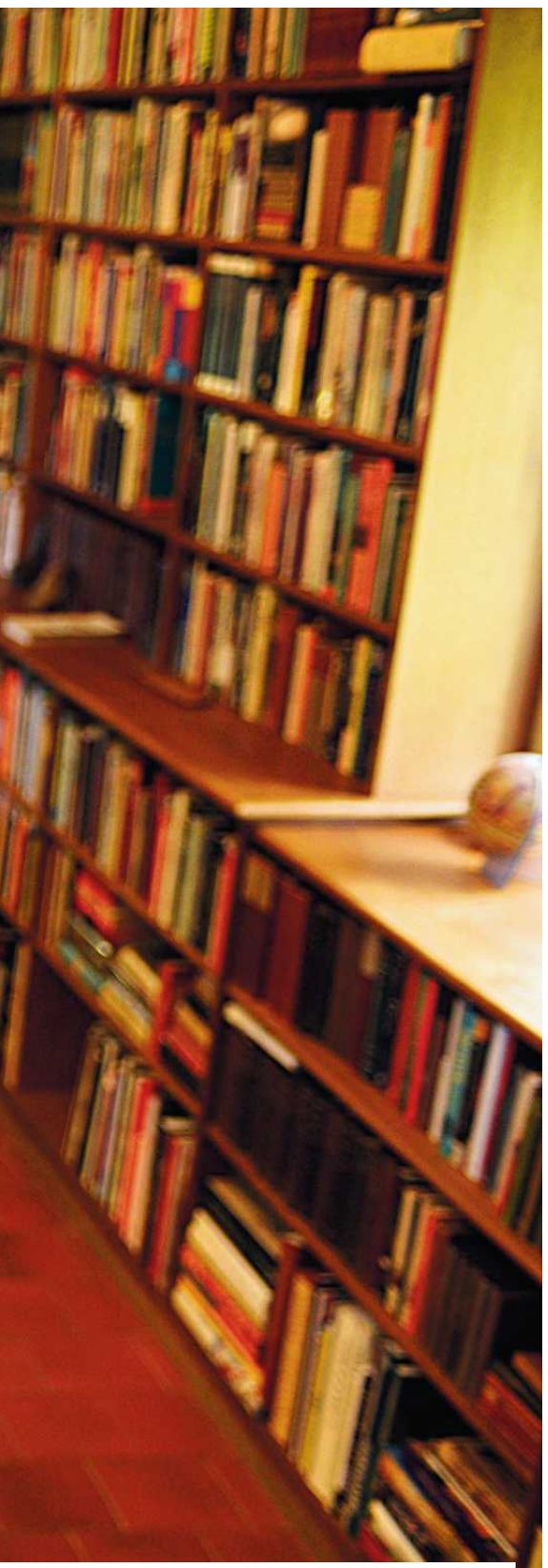

FOT. ULF ANDERSEN/GETTY IMAGES

*Alberto Manguel

• kanadyjsko-argentyński pisarz, tłumacz, redaktor i krytyk, który najchętniej określa się mianem „czytelnik". Był lektorem Borgesa, gdy pisarz zaczął tracić wzrok, oraz dyrektorem Biblioteki Narodowej w Buenos Aires. Po polsku ukazały się m.in. napisany z Giannim Guadelupem „Słownik miejsc wyobrażonych" (wielu tłumaczy) i „Historia czytania" (tłum. Hanna Jankowska).

Czytelnik. Tak mówi o sobie Alberto Manguel, twórca między innymi legendarnego „Słownika miejsc wyobrażonych". Był lektorem tracącego wzrok Borgesa i dyrektorem Biblioteki Narodowej w Buenos Aires. Uważany za jednego z największych intelektualistów naszych czasów.

Ile książek masz w swojej bibliotece?
– Trzydzieści, może czterdzieści.

Jak to?
– Przez lata gromadziłem książki. Doszedłem do ponad 50 tysięcy egzemplarzy. W 2023 roku niemal wszystkie podarowałem Lizbonie. Stworzyłem miejsce, które nazwałem Espaço Atlântida, czyli Przestrzeń Atlantydy. Działa w nim Centrum Studiów nad Historią Czytania.

Skąd ta nazwa? Biblioteki podobnie jak mityczny kraj, o którym pisał Platon, ulegają zniszczeniu i zapomnieniu. Może ta przetrwa.

Jak wybrałeś czterdzieści książek, które zostawiłeś?
– Każdy czytelnik potrafi w swojej bibliotece odnaleźć jej centrum; to, co stanowi o jej tożsamości. Moja tożsamość zależy od tych kilkudziesięciu książek, których lektury nigdy nie skończyłem. To między innymi „Alicja w krainie czarów" Lewisa Carrolla, „Człowiek, który był Czwartkiem" Chestertona, „Don Kichot" Cervantesa, a przede wszystkim „Boska komedia" Dantego.

Klasyka to książki, które przy każdej ponownej lekturze ujawniają przed nami nowe sensy, mówił Italo Calvino. Właśnie takie książki sobie zostawiłem.

Książki z dzieciństwa?
– „Alicję..." czytałem, gdy zbliżałem się do nastoletniości. Zostawiłem sobie też jedno z pierwszych wydań „Baśni" Grimmów. Wydane pismem gotyckim, z makabrycznymi ilustracjami.

Wiesz... To było trudne zadanie. Świadomie zdecydowałem się ograniczyć do zaledwie kilkudziesięciu tytułów. Inaczej nigdy nie udałoby mi się przeprowadzić ich selekcji. Zostawiłem też książki, które wciąż są mi potrzebne do pracy: Talmud, Biblię i „Oxford Dictionary of Islam".

Jaką dałbyś radę tym, którzy muszą się przeprowadzić i podobnie jak ty wybrać książki, które z nimi zostaną?
– Najlepiej po prostu się nie przeprowadzaj.

Oczywiście żartuję. Przenoszenie biblioteki to niełatwe zadanie. Kiedy myślę o swoich przeprowadzkach, przypomina mi się legenda o perskim wezyrze, który podczas przenoszenia swoją bibliotekę utworzył karawanę z 30 wielbłądów. Każdy z nich dźwigał książki, których tytuły zaczynały się od innej litery. Karawana szła w porządku alfabetycznym.

Konieczne jest ponowne przejrzenie książek, jedna po drugiej. Przyjrzenie się, zajrzenie do środka, sprawdzenie, jakie wspomnienia i emocje przywołują. Wtedy się okazuje, że o książkach nie myślimy w porządku alfabetycznym czy chronologicznym. Powiązania między nimi nie tworzą się ze względu na tradycje literackie, z których korzystali autorzy. Nawet jeśli jedna powieść jest literacko powiązana z inną, dla naszej emocjonalnej biblioteki może to nie mieć żadnego znaczenia.

Moment przyglądania się książce, obracania jej w dłoni to moment tworzenia wyjątkowej, prywatnej biblioteki. Takiej, jakiej nie ma nikt. Nie decydują tu narodowość, gatunek, temat, ale emocje, które w nas wywołuje.

Jest tylko jeden praktyczny aspekt. Warto pamiętać o wysokości półek i o tym, by książki, po które często sięgamy, były raczej na wysokości naszego wzroku. Ale zanim ułożymy je na półce, przeprowadzającego się czytelnika czeka fascynująca wyprawa w głąb samego siebie.

Wyrzucił pan kiedyś książkę?
– Książki mogę porównać do sierot, które przychodzą do kościoła. Każda powinna znaleźć w nim swoje miejsce. Każda, którą kupiłem, znalazłem czy dostałem w prezencie, uzupełniała bibliotekę. Tylko raz się zdarzyło, że odesłałem egzemplarz.

Kiedyś pewien wydawca przez pomyłkę przysłał mi dwa egzemplarze olbrzymiej monografii rolnictwa w Senegalu w latach 1820-1945. Mój partner powiedział, że co jak co, ale tym razem mam odesłać książkę. Trzy miesiące później musiałem napisać recenzję książki pewnego senegalskiego pisarza, która działa się mniej więcej w tych latach. Jak możesz się domyślić, monografia tamtejszego rolnictwa okazała się bardzo przydatna.

Czytasz e-booki czy potrzebujesz książek w papierze?
– Ja ich nie potrzebuję, ja je wybieram. Tak jak wybieram nie czytać glinianych tabliczek czy papirusowych zwojów. Nie czytam e-booków, bo jestem fetyszystą. Lubię obiekty. Lubię materializację. Tak samo jak nie lubię wirtualnego seksu. Chcę, żeby seks był namacalny. Podobnie jest z książką. To przedmiot, z którym wchodzimy w bardzo intymną relację. My wybieramy książkę, ale ona też jakoś nas wybiera, przyciąga, przechwyca. Niewiele jest obiektów o takiej magnetycznej sile jak książki. Nie z każdym pójdziemy do łóżka. I nie każdą książkę warto do niego zabierać.

Dzisiaj czytelnicy się skarżą, że w dobie smartfonów i serwisów społecznościowych spokojna lektura książek jest coraz trudniejsza.

Nie czytam e-booków, bo jestem fetyszystą. Lubię obiekty. Lubię materializację. Tak samo jak nie lubię wirtualnego seksu

– Czytanie nigdy nie było łatwym przedsięwzięciem. Na początku tekst pojawiał się w formie glinianych tablic, później na papirusowych zwojach, następnie w manuskryptach, kodeksach. Teraz pojawił się na ekranach. Czytanie ewoluuje wraz ze zmianami technologicznymi od zarania dziejów. Jednocześnie każda nowa technologia niejako uśmierca poprzednią. Drukowana książka zastąpiła manuskrypty. Ale w tej kwestii nie jestem pesymistą. Gdy pojawiła się fotografia, przewidywano, że oznacza to śmierć malarstwa. Nic takiego się nie stało, choć rzeczywiście malarze musieli na nowo się odnaleźć. Być może nie byłoby rozwoju malarstwa abstrakcyjnego bez fotografii i filmu.

Dzisiaj widzimy, że nowoczesne sposoby czytania doskonale potrafią koegzystować z tradycyjnymi. Biblioteki przekształcają się w mediateki po to, by różne sposoby prezentacji tekstu mogły istnieć obok siebie.

Ale przejście z ekranu do drukowanej książki nie jest proste.
– Platon w „Fajdrosie" ustami Sokratesa opowiada legendę o egipskim bogu Tocie, który ofiarował faraonowi Tamuzowi pismo. „Królu, ta nauka uczyni Egipcjan mądrzejszymi i sprawniejszymi w pamiętaniu; wynalazek ten jest lekarstwem na pamięć i mądrość*", mówi Tot. Jednak Tamuz odrzuca pismo. „Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć", mówi. Dla Tamuza to trucizna, nie lekarstwo. Faraon przewiduje, że przyszłe pokolenia będą się spotykać z niezliczoną ilością tekstów, nie będąc odpowiednio przygotowanymi. W efekcie ich mądrość będzie tylko pozorna.

Dzisiaj ponownie mierzymy się z zagadnieniem, o którym mówi Tamuz. Nie tylko rezygnujemy z kreatywności, ale też oddajemy ją w ręce maszyn. Nie pamiętamy numerów telefonów, jeździmy za pomocą GPS-u, nie jesteśmy zmuszeni do tworzenia, wymyślania. Pozwalamy sztucznej inteligencji tworzyć historię, przekazywać informacje. Myślę, że jest to pewnego rodzaju manifestacja samobójczych tendencji naszego gatunku.

To bardzo apokaliptyczna wizja.
– W moim wieku mam prawo być pesymistą.

Gdy Mussolini rósł w siłę, zapytano filozofa Benedetta Crocego o to, czy jest optymistą czy pesymistą. „Byłbym pesymistą, gdyby to mogło się do czegoś przydać", odpowiedział. Nie mam takiej energii jak Croce. Jestem pesymistą. Dostrzegam znaki, które wskazują, że nasz gatunek jest u kresu.

Wiele osób uważa, że literatura pozwala przewidzieć przyszłość. Czy możemy znaleźć w literaturze ostrzeżenia przed tym, co się teraz dzieje?
– Jeśli literatura przewiduje przyszłość, to jest jak Kasandra. Mówi o tym, co się wydarzy, ale w momencie, gdy jej słuchamy, nie umiemy uwierzyć w przepowiednie. „To tylko fikcja", mówimy.

Oczywiście, literatura od dawna ostrzegała nas przed tym, co się może wydarzyć. Przepowiednie znajdziemy choćby u Margaret Atwood w „Opowieściach podręcznej", książce napisanej w połowie lat 80. XX wieku. Nie możemy zapomnieć o „Roku 1984" Orwella czy „Kongresie futurologicznym", wybitnej powieści Lema.

U Philipa Rotha w „Spisku przeciw Ameryce" czytamy o tym, jak łatwo Stany Zjednoczone mogą się przemienić w kraj faszystowski. Wizje zamiany Stanów w kraj totalitarny znajdziemy w „Człowieku z Wysokiego Zamku" Philip K. Dicka, a w powieści Catherine Lacey „Biografia X" autorka tworzy całą fikcyjną historię podziału Stanów na dwie części: demokratyczną i teokratyczną.
– Wielu z tych autorów, zwłaszcza Roth i Lacey, jednak wierzy w zwycięstwo demokracji. Dlatego wydaje mi się, że wizja Lema była trafniejsza i jest mi bliższa. Nie ma we mnie nadziei.

Dorastał pan w Izraelu, później mieszkał w Argentynie, Francji, na Tahiti, w Anglii, Kanadzie... A gdzie dzisiaj?
– Dzięki Bogu w Portugalii.

Dlaczego „dzięki Bogu"?
– Bo to wciąż jest kraj demokratyczny. Nie wiem, jak długo potrwa ten stan, bo w Portugalii zachodzą zmiany podobne do tych, które obserwujemy na całym świecie.

Różnica między stanem świata teraz a stanem świata podczas II wojny światowej jest taka, że wtedy mimo wszelkiego zniszczenia i pogwałcenia praw człowieka przez Stalina, Hitlera, Mussoliniego, Franco czy Salazara nadal istniała nadzieja, że z odsieczą przyjdzie Ameryka. Nie gloryfikując amerykańskiego imperializmu, istnienie kraju, który za siłę ustanawiającą ład na świecie uważał demokrację, dawało jakieś nadzieje. Teraz już takiego gwaranta demokracji nie ma.

Mogę opowiedzieć dowcip?

Oczywiście.
– Gdy rozmawiam o tych sprawach z przyjaciółmi, to żartuję, że jest jeszcze nadzieja. Może odsiecz przyjdzie ze strony Liechtensteinu albo Luksemburga...

Czarny to humor. Nurtuje mnie pewien problem. Otóż z jednej strony mówimy o tym, że czytanie jest pożądaną praktyką, bo powoduje, że stajemy się mądrzejsi, lepsi, uważniejsi. W domyśle: bardziej demokratyczni...
– Kto tak mówi?

Wiele osób zajmujących się literaturą. Takie hasła można znaleźć w kampaniach promujących czytelnictwo.

eprasa.pl 5935e39405

– Czytanie daje nam możliwość nauczenia się pewnych rzeczy o przeszłości, zbliżenia się do doświadczeń naszych przodków, ale efektem niekoniecznie jest mądrość. Czytanie nie uchroni nas przed żadną tragedią. Niemcy w pierwszej połowie XX wieku uchodzili za najbardziej kulturalne, oczytane społeczeństwo w Europie.

Ale chcemy wierzyć w czytanie.
– W Świętego Mikołaja też. Nie ma nic złego w wierze.

Jako gatunek rozwinęliśmy siłę wyobraźni. To jedno z naszych najbardziej zaawansowanych narzędzi, które wykorzystujemy w życiu codziennym. Możemy dzięki temu doświadczać bez konieczności doświadczenia fizycznego. Historia to efekt naszej wyobraźni. Dlatego, choć religie zbudowane są na dogmatach, ich rozwój i codzienna praktyka wiernych opiera się też na mitach, parabolach, fabułach dochodzących do głównej narracji. Do ich powstania potrzebujemy wyobraźni.

Oczywiście literatura może sprawiać, że staniemy się mądrzejsi, będziemy mieli większą wiedzę. Ale czy będziemy umieli użyć tych narzędzi? Przekształcić je w praktykę?

Wierzę w to, że żyjemy w nocy Apokalipsy. Nadchodzi koniec naszego gatunku. Ale – mam taką nadzieję – do jego końca będziemy opowiadać sobie historie.

Pozwól, że opowiem kolejną anegdotę. Jest ostatni dzień życia Sokratesa. Już wypił truciznę. Wtedy przychodzi do niego student. Widzi filozofa grającego na flecie. Jest zdziwiony. „Po co to robisz?", pyta. „Bo chcę się nauczyć grać nową melodię", pada odpowiedź. Student nie rozumie, po co Sokrates to robi, skoro za chwilę umrze. „Jaki z tego pożytek?", pyta. Sokrates odpowiada: „Chcę poznać tę melodię przed śmiercią".

Nawet widząc kres, warto próbować. I my wciąż jesteśmy w momencie, gdy warto próbować.

Może ty już nie szukasz nadziei, ale nadal poszukują jej czytelnicy. Gdzie ją znajdą we współczesnej literaturze?
– Mam nadzieję, że jest nadzieja. Nadzieja jest w tym, że wciąż szukamy miłości. Warto przeczytać książkę Nadieżdy Mandelsztam „Nadzieja w beznadziei". To wspaniała opowieść dla tych, co chcą się dowiedzieć, czym może być nadzieja. „Jeśli nic więcej nie pozostało – trzeba wyć; milczenie jest przestępstwem wobec ludzkości"*, pisze żona zamordowanego w radzieckim łagrze Osipa Mandelsztama.

Ale pytasz o współczesne książki. Kiedy byłem młodszy, próbowałem czytać wszystko, co było wydawane. Teraz rzeczywiście czytam tylko nowe książki, często napisane przez przerażająco młodych pisarzy. Zachwyca mnie to, że wciąż rodzą się wspaniali pisarze. To akurat daje mi nadzieję.

Takim autorem jest Ferdia Lennon, irlandzki pisarz, którego ojciec pochodzi z Libii. W powieści „Glorious Exploits" cofa nas do roku 412 przed naszą erą. Lampo i Gelon, kochający Homera bezrobotni garncarze, wystawiają Medeę w kamieniołomie. Aktorami czynią miejscowych więźniów. To wspaniała powieść historyczna, napisana bardzo współczesnym, pomysłowym językiem.

Wiesz... nadal powstają ważne książki. Na pewno świetną pisarką jest Maaza Mengiste, etiopsko-amerykańska twórczyni. Chciałbym też wspomnieć o bardzo młodym argentyńskim pisarzu Michelu Nievie. Jego „Dengue Boy", który w 2025 roku wyszedł w angielskim przekładzie, to wspaniała historia, której główny bohater jest hybrydą komara i człowieka. Akcja powieści rozgrywa się w roku 2272, gdy jedynym miejscem nadającym się do życia jest Patagonia. To powieść o tym, na jak wiele sposobów umiemy niszczyć nasz świat...

I Daniel Kehlmann! Niemiecki pisarz...

W Polsce ukazał się jego „Tyll". Świetna lektura.
– Jego ostatnia powieść, „Lichtspiel", jest jeszcze lepsza. Absolutnie wybitny pisarz.

Jest tak wielu dobrych pisarzy, tak wiele książek... Zaskakuje mnie to, choć przecież nie powinno. Sokrates wciąż uczy się nowych melodii. Młodzi ludzie nie są głupi, doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ale mają w sobie upór i ciekawość Sokratesa.

Jednak gdy zniknie wyobraźnia...
– To może się nigdy się nie stanie, ale n ie wiemy, co będzie, gdy pozwolimy maszynom wyręczać nas w wyobrażaniu sobie świata. Przecież to jest jak historia o Golemie. Literatura od kilku wieków nas przed nim ostrzega.

Wyobraźnia pozwala ignorować granice, przekraczać bariery, podważać narzucane nam wizje świata. Każdy społeczny kryzys to kryzys wyobraźni. Bez niej będziemy bezbronni.

Skoro rozmawiamy o nadziei... Znasz anegdotę o Kafce i nadziei?

Tej pewnie nie.
– Kafka rozmawiał z przyjacielem Maxem Brodem. Brod był poirytowany pesymizmem Kafki. „Przecież jeśli to prawda, co mówisz, nie ma dla nas żadnej nadziei", irytował się. Na twarzy Kafki pojawił się wielki uśmiech. „Oczywiście, że jest nadzieja. Ale nie dla nas".

Byłeś dyrektorem Biblioteki Narodowej w Buenos Aires. Jakie są dzisiaj największe wyzwania dla takich bibliotek?
– Polityka. Jako dyrektor postanowiłem, że nie będę się zajmował polityką. Nie będę robił sobie zdjęć z prezydentem, nie będę wchodził do żadnej partii. Zwłaszcza że partie polityczne w Argentynie zachowują się jak kibole piłkarscy życzący śmierci drugiej drużynie. Interes takich instytucji jak Biblioteka Narodowa ich zupełnie nie interesuje. A gdy już zainteresuje, to zachowują się jak z przypowieści o matkach, które przyszły z niemowlęciem do Salomona. Z tą różnicą, że nie jedna, ale obie matki chcą pokroić dzieciątko.

Na całym świecie jesteśmy świadkami zwrotu przeciwko inteligenckiemu etosowi.
– Nie mogę zaprzeczyć. To zjawisko globalne. Politycy walczą z instytucjami, które uczą ludzi myślenia. Społeczeństwo ludzi myślących nie jest politykom potrzebne. Różnica między dawnym światem a współczesnym jest taka, że dzisiaj politycy już mogą robić, co chcą, nawet przy oporze tysięcy ludzi. W Stanach Zjednoczonych czy Argentynie prezydentom nie przeszkadzają przecież miliony protestujących, tysiące ludzi piszących książki czy tworzących muzykę.

Modernistyczna idea, że książki, czy szerzej: cała kultura, mają wpływ na politykę, dzisiaj wzięła w łeb. Możliwości realnej zmiany dokonanej za pomocą kultury są dziś niewielkie. Sięgnijmy po „Rok 1984" Orwella. Gdy O'Brien, członek Wewnętrznej Partii, torturuje Winstona Smitha, każe mu powiedzieć, że dwa plus dwa to pięć. Smith zaprzecza, ale do czasu. „Rzeczywiście je widział przez ułamek sekundy, dopóki coś się nie przestawiło w jego mózgu. Widział pięć palców i nie było to żadne zniekształcenie rzeczywistości", pisze Orwell. Po chwili złudzenie mija, ale ważne jest to, co wtedy mówi O'Brien: „W każdym razie teraz wiesz, że to jest możliwe"*. Pół Ameryki dzisiaj wierzy, że dwa plus dwa to pięć.

Nie tylko rezygnujemy z kreatywności, ale też oddajemy ją w ręce maszyn. Nie pamiętamy numerów telefonów, jeździmy za pomocą GPS-u, nie jesteśmy zmuszeni do tworzenia, wymyślania. Pozwalamy sztucznej inteligencji tworzyć historię, przekazywać informacje. Myślę, że jest to pewnego rodzaju manifestacja samobójczych tendencji naszego gatunku

Co teraz?
– Jesteśmy u kresu wielu rzeczy. Może jeszcze odkryjemy jakiś sposób używania kreatywności, by się temu przeciwstawić. Thomas Mann na wygnaniu napisał, że do czasu Hitlera humanizm poszukiwał sposobów na prowadzenie dialogu, który jest podstawą demokracji. Ale teraz – miał na myśli III Rzeszę – dialogu nie wystarcza, a humanizm musi przejść do działania. Przychodzi taki moment, gdy wartości, które chcemy bronić, muszą być bronione fizycznie. Humanistyka musi przejść do działania. To stara idea. Chrystus mówi przecież: „Nie sądźcie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz".

Kiedyś trzeba będzie wyjąć miecz i wyjść na ulice.

Może czas wystartować w wyborach na prezydenta Argentyny?
– Broń Boże! Havel we wspomnieniach zatytułowanych „Tylko krótko, proszę" opisuje, z jakimi przeszkodami spotykał się, gdy chciał budować demokratyczną społeczność. Na przeszkodzie stały mu dwie rzeczy: polityka i biurokracja. Myślę, że jest to książka, którą każdy polityk powinien przeczytać.

Nie mamy żadnych dobrych wiadomości dla czytelników. Nie chce pan być prezydentem Argentyny, zmierzamy ku apokalipsie... Może jednak coś optymistycznego na początek roku?
– Pociesza mnie to, że wciąż powstają dobre książki. I to, że zawsze będzie jakiś młody człowiek, który przyjdzie do mnie i powie: „Odkryłem wspaniałego autora. Nazywa się Hemingway". To daje mi nadzieję.

A jaka jest sytuacja w Polsce? Czytałem w „Guardianie", że przygotowujecie się do wojny? Gdzie jest w Polsce nadzieja?

Nie wiem. Może w tym, że Putin nie będzie żył wiecznie.
– Przyjdzie kolejny.

To nie pomaga mi w znalezieniu odpowiedzi na pytanie o nadzieję w Polsce.
– Był taki wspaniały argentyński pisarz Marco Denevi. W 1966 roku napisał niewielką, poetycką książkę, która powinna zostać przełożona na polski. „Falsificaciones". To apokryficzne teksty, które Denevi przypisuje innym autorom: Senece, Stendhalowi czy Cervantesowi. Wśród nich znajduje się wspaniały fragment zatytułowany „Monolog Kaliguli". Brzmi on tak: „Jeśli ja, pierwszy przed wszystkimi, jestem, kim jestem, kawałkiem gówna, to czego mogę oczekiwać od reszty Rzymian?".

To tyle w kwestii optymizmu. A co do wojny... Myśląc o wojnie, wiemy, że żadna nie jest ostatnią. Ale pociesza mnie fakt, że ludzie zawsze znajdują strategie przetrwania. Najpiękniejsze jest to, jak walczymy o przywrócenie rzeczy, które zostały zniszczone. Zniszczenie zajmuje sekundę. Odbudowa trwa przez wieki. I ciągle powtarzamy ten cykl. Myślę, że to jest najbardziej niesamowite w naszym gatunku. ●

• Za pomoc w organizacji rozmowy dziękuję Instytutowi Cervantesa w Warszawie

• Fragmenty „Fajdrosa" przytaczam w zmodyfikowanym przekładzie Władysława Witwickiego (tłumacz stosuje nieużywanego obecnie przekładu imienia boga „Teut"). Cytat z książki Nadieżdy Mandelsztam w przekładzie Andrzeja Drawicza. Fragmenty „Roku 1984" w przekładzie Julii Fiedorczuk. Fragment Ewangelii wg św. Mateusza za „Nową Biblią gdańską".

• Współpraca: Wojciech Capała

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34414869

NEWSLETTERY WYBORCZEJ
wyborcza.pl
Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny
Nasi najlepsi redaktorzy.
Możesz wybrać z bogatej oferty ponad **40** różnych newsletterów.
Zapisz się na:
wyborcza.pl/newslettery

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

ADAM MICHNIK POLECA

SZTUKA WYGRYWA. ŻYCIE NIE, NIESTETY

Zapytany, dlaczego zilustrował akurat „Apokalipsę św. Jana", odpowiedział:
– Bo to jest jedyna rzecz, która się spełni

• **Jan Lebenstein w warszawskiej Zachęcie, wiosna 1992 r.**
FOT. ANNA BIAŁA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Maria Anna Potocka*

Dzieło sztuki to donos artysty na samego siebie. Jest napisany w prywatnym języku, więc jego treść nie narzuca się nachalnie. Trzeba ją odkryć po tropach, jakimi są wspólnie rozumiane słowa czy fragmenty obrazów.

Dzieło sztuki to intrygująca łamigłówka. Aby ją rozwiązać, trzeba wyczuwać symbole, być uważnym na cudze stany psychiczne, a przede wszystkim chcieć podglądnąć drugiego człowieka. Bo artyści potrafią być ludźmi fascynującymi. Dlatego warto im zaglądać do duszy.

Są inni, widzą świat i naszą w nim obecność głębiej, upierdliwiej, bardziej bezkompromisowo. Otwierają to wszystko, co człowiek w swojej lękliwości i konformizmie sam przed sobą pozamykał. Sztuka, którą tworzą, to skuteczne narzędzie w potrząsaniu naszym samozadowoleniem i wygodą w patrzeniu po łebkach.

Artysta staje się sobą tylko wbrew temu wszystkiemu, co nakazuje żyć i myśleć w zgodzie z innymi. Kultura – a za nią cywilizacja – wybiera go i nagradza właśnie za tę niezdolność do bycia podobnym. Za przeciwstawienie się oczywistościom i demaskowanie ich manipulacji. Sztuka urealnia i odczarowuje sztuczność życia.

•

Jan Lebenstein jest świetnym przykładem takiej właśnie postawy. Tym bardziej ciekawym, że nie był jej beneficjentem, tylko całe życie płacił koszty przeciwstawiania się światu. A przecież nie oczekiwał niczego niezwykłego. „Chciałem tylko znaleźć kąt, w którym nikt nie będzie przeszkadzał..." (Lebenstein, „Demony", Muzeum Literatury, Warszawa 2005).

Był klasycznym outsiderem, który – jak wielu z nich – opuścił wspólny świat, ale nie potrafił w realu zbudować własnego.

Niektórzy artyści potrafią znaleźć szczęście i poczucie spełniania w postawie „wbrew". Ale większość nie ma tej umiejętności. Nie mogą już wrócić TAM. Ale równocześnie zmagają się z poczuciem sensu i radości TU, po tej prywatnej i już całkiem własnej stronie.

Takie „połowiczne rewolucje" dają wymarzone poczucie osobności, ale nie zapewniają spełnienia. Więc „emigrant egzystencjalny" zaczyna szukać dopełnienia i odprężenia w oszołomieniu, w ucieczce od siebie.

Powszechnie używanym wihajstrem tej operacji jest alkohol. To bardzo skuteczne narzędzie, szkoda że tak szkodliwe. W najnowszej sztuce polskiej ta autoterapia zabrała nam przedwcześnie kilku wybitnych artystów. Właśnie Jana Lebensteina, ale również Andrzeja Szewczyka i Mikołaja Smoczyńskiego.

Sprzeciw człowieka wobec pulpy społecznej nie pomaga w życiu prywatnym, bo w dużym stopniu je uniemożliwia. Nie pomagając człowiekowi, bardzo pomaga artyście. I na pewno na dobre wychodzi jego sztuce. Taki sprzeciw to wręcz jedyna droga do twórczości.

Jan Lebenstein otworzył tę bramę na oścież. Nie tyle zbuntował się wobec wspólnego świata, ile nie znalazł TAM dla siebie miejsca. Jego świat nie był na zewnątrz. Tkwił w środku jego wyobraźni, wyłaniał się z fantazji i delektował przeczuciem totalnej klęski. Ten wewnętrzny wszechświat pełen był demonów ukrytych w nas i czyhających wokół. Nie było w nim obietnicy szczęścia. Ale miał tę ogromną zaletę, że artyście wydawał się prawdziwy i bardzo własny.

•

Lebenstein, rocznik 1930 (zmarł w roku 1999), wszedł w sztukę kilka lat po wojnie. Jego profesorami na ASP w Warszawie byli Artur Nacht-Samborski i Eugeniusz Eibisch. Od tego pierwszego otrzymał ważną lekcję, że w obrazie nic nie powinno być niemądre lub dekoracyjne, że każdy kwiatek, pierś czy kreska mają mieć wyraźny głos i mocne znaczenie.

Nacht wychował ucznia znacznie bardziej w tej kwestii od siebie radykalnego. W obrazach Lebensteina nie ma ani jednej pustej czy przypadkowej rzeczy. Każdy łeb, każda pupa i plama bierze istotny udział w przekazie obrazu.

Od Eibischa mógł się Lebenstein nauczyć „sensu" faktury i operowania rozmyciem. Ta nauka zosta-

eprasa.pl 5935e39405

FOT. PAWEŁ KOZIOŁ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Otwarcie wystawy prac Jana Lebensteina, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, jesień 2004 r.**

ła przez niego wykorzystana przede wszystkim w obrazach olejnych. Skonsumował swoich profesorów bardzo dogłębnie i do żadnego nie stał się podobny.

W czasie jego studiów na akademii dominował koloryzm, mocno już wtedy przekombinowany i przenoszony. A pod koniec 1948 roku zaczęto artystom narzucać wymyślony przez polityków socrealizm.

Lebenstein nie poddał się żadnemu z tych nacisków. Nic dziwnego, bo już jako student czuł się zbyt osobny. Po studiach, w latach 50., malował abstrakcje. To był wtedy kierunek ucieczki dla artystów, którzy chcieli zapomnieć o wojnie i polityce. Abstrakcja dawała wówczas poczucie niezależności.

•

Na terenie abstrakcji Lebenstein znalazł dwie podpowiedzi istotne dla jego sztuki. Odkrył, że najbardziej odpowiada mu kompozycja z centralnie ustawionym „bohaterem" albo z centralnie skupioną energią. Obsesja środka i co za tym idzie – symetrii jest wszechobecna w jego sztuce. Sam był dla siebie człowiekiem stojącym w środku swojego outsiderskiego świata, więc jego sztuka podobnie się komponowała.

Drugą wskazówką, jaką dała mu artystyczna „rozbiegówka". była wyłaniająca się z abstrakcyjnych form i z gęstej magmy malarskiej postać człowieka. Ta postać – w najlepszych pracach – sprawia zawsze wrażenie wydobytej z chaosu, jakby niedokończonej w akcie stworzenia.

Wąska szczelina między nieistnieniem człowieka a sugestią jego istnienia w niedokończonej postaci okazała się dla Lebensteina doskonałym polem operacyjnym. Można tę jego strategię porównać do sztuki Jerzego Tchórzewskiego, niemal jego rówieśnika.

Ukazywanie we własnej sztuce postaci, która samą siebie stworzyła z materii własnego świata, można potraktować jako zapowiedź autoportretu. Ale oczywiście nie jest to stwierdzenie: „Tak wyglądam", tylko co najwyżej wyznanie: „Tak siebie widzę, z tego pochodzę, taka jest moja niewyrazistość, tak bezradny się czuję w świecie, który mnie stworzył". To autoportret duchowy, nie fizyczny.

Te pojedyncze figury należą do wczesnych, postabstrakcyjnych kompozycji. Głównym przekazem tych obrazów jest dożywotni wyrok samotności, na który zostaje skazany namalowany człowiek.

Ten osobnik, który postawił się w środku stworzonego przez siebie i dla siebie świata, musi być samotny. Dzięki temu może się wydobyć z chaosu codziennego istnienia i wejść w chaos istnienia prywatnego, trudniejszego, ale prawdziwszego.

Ten „stan istnienia" najlepiej realizował Lebenstein w technice olejnej, pozwalającej na „mięso" faktury. Te kompozycje nieuchronnie kojarzą się z frazą pogrzebową: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz". Z tym, że u Lebensteina namalowana istota nie obraca się w proch, tylko z niego powstaje.

Operację powstawania „czegoś z tego samego" doskonale podkreśla monochromatyczność kompozycji, operująca odcieniami „wszystkich" popiołów i prochów. Jedynie na szczycie ramion pojawiają się odblaski nadziei.

Można je różnie interpretować. Kusi skojarzenie z energią zobowiązującą do obecności. Lebenstein pokazał swoim życiem, że nie jest to wyzwanie łatwe do podjęcia.

Te szarobure istoty, z trudem powołane do życia, a właściwie balansujące na jego krawędzi, to krzyk Lebensteinowej rozpaczy. To najmocniejsze z jego dzieł. Rozmycie bytu było największą prawdą tego artysty. Natomiast nie najlepiej radził sobie z przedstawieniami realistycznymi „na ostro". Temu artyście najlepiej służyły niedomówienia obrazu, ponieważ wokół siebie i w sobie wyczuwał tylko nieostry realizm. Zbyt służebne naśladownictwo sprowadzało go na manowce.

• **Lebenstein, „Zoofilia", rysunek podkolorowany, 1968**

Stary dowcip:
– Ile zwierząt powinna mieć kobieta? – Cztery: jaguara w garażu, norki w szafie, psa na baby w łóżku i osła, który za to płaci. Kobieta Lebensteina tak mniej więcej traktuje swoich mężczyzn

•

W 1959 roku Jan Lebenstein zdobył Grand Prix na I Biennale Młodych w Paryżu. To pozwoliło mu osiąść we Francji. Nie była to emigracja w poszukiwaniu wyzwolenia politycznego, bo Lebenstein już dawno od wszystkiego uciekł i od wszystkiego się wyzwolił.

To było znalezienie miejsca, które mniej wchodziło człowiekowi na głowę. Bo niestety wiele aspektów polskości zmusza Pola-

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

ka do intelektualnego lub etycznego zajęcia stanowiska, którym, niestety, często jest tylko sprzeciw. Tym samym trudno człowiekowi urodzonemu w tym polskim kraju być w pełni outsiderem. Obca ziemia zwalnia z tej patriotycznej uwagi.

Francja była dla tego mistyka seksu miejscem wymarzonym, bo w tym kraju podobną miłością darzy się, a przynajmniej darzyło, ciało i kuchnię. Lebenstein jeszcze bardziej te światy zjednoczył, bo bohaterami swoich scenek erotycznych zrobił zwierzęta „jadalne". Stał się dyrektorem własnego zoo, w którym zlikwidował klatki i próbował zainicjować rajską swobodę i szczęśliwość.

Nie bardzo się to udało, bo jego gotowe na rozkosz zwierzęta – trzeba przyznać, niezbyt bystre i rozgarnięte – spotkały na tej drodze partnera w postaci kobiety. Czyżby ten ogród zoologiczny miał być wcieleniem Adama? Coś w tym mogło być. Bo jego kobiety – prawie zawsze nagie – występują w towarzystwie podporządkowanych istot z głowami różnych zwierząt.

Pojawia się kameleon, są prawie wszystkie gatunki rogate, zdarza się świnia. Czy to oznacza wyniesienie kobiety i podkreślenie jej człowieczeństwa w kontraście ze zwierzęcością mężczyzn? Raczej nie. Ona nie jest przez to lepsza. Natomiast jest odpowiedzialna za to, że z lęku przed nią, przed jej dominacją, mężczyźni zamienili się w otępiałe, monopożądliwe istoty. I to, co jest w tych kompozycjach najbardziej przykre, to bezruch tych zezwierzęconych samców. Prawie na każdym obrazie sprawiają wrażenie sparaliżowanych lękiem. To marzyciele czekający na łaskawy gest bogini.

Bardzo często wymowa prac Lebensteina kryje w sobie wyznanie, które w „Trzeciej Olimpii" pojawia się w całej swojej lubieżnej otwartości. Największą pokusą naszego świata jest nagie ciało kobiety. Ta broń znajduje się w rękach istot przejmujących panowanie nad światem.

Sztuka Lebensteina to mniej lub bardziej otwarte zmagania z własną słabością wobec kobiet. W niektórych obrazach artysta się rozmarza i nad nieruchomym ciałem kobiecym ustawia potężnego byka. Ale najczęściej to one są górą. Taka wszechwładna istota pozwoli silnemu bykowi co najwyżej się powąchać. Za to do małego, delikatnego ptaszka wysuwa, być może, chętny paluszek.

W swojej sztuce artysta przyjmuje wobec kobiet obie pozycje: tego, który przeprasza za swoją siłę, i tego, który próbuje wzruszyć swoją słabością.

•

Lebenstein nie najlepiej radził sobie z życiem i realną w nim obecnością. Dlatego stworzył tak intensywny i tak bardzo własny wszechświat dla swojego istnienia w sztuce. Tam czuł się prawdziwiej niż w realu.

W środkowym okresie swojej twórczości skupił się na tym, co go najbardziej fascynowało i z czym chyba nie najlepiej sobie radził, czyli na kobiecie. Jego sztuka próbuje odpowiedzieć na pytanie Brunona Schulza, które – ten najbardziej literacki ze wszystkich pisarzy – skierował do Zofii Nałkowskiej: „Jak w ogóle mam rozumieć fakt, że jesteś kobietą? Co chciałaś przez to powiedzieć?" (Nałkowska, „Dzienniki", 11.7.1933).

Odnoszę wrażenie, że Lebenstein znajdował odpowiedź na to pytanie, ale ta na pewno nie uszczęśliwiłaby subtelnego i nieśmiałego chłopca spod klepsydry. Próba ustawienia siebie – człowieka osobnego, wręcz obcego – wobec kobiet, istot należących do „tamtego" świata, jest największą akrobacją Lebensteinowej sztuki.

W jego obrazach pożądanie miesza się z lękiem i nawet z czymś dla kobiety niekoniecznie pochlebnym, czyli pytaniem: „Czy na pewno warto?". Artysta bał się kobiecej siły i zaborczości oraz miał jej za złe perfidną umiejętność zamieniania mężczyzny w z lekka ogłupiałe zwierzę. Warto przywołać pewien dowcip.

– Ile zwierząt powinna mieć kobieta?
– Cztery: jaguara w garażu, norki w szafie, psa na baby w łóżku i osła, który za to płaci. Kobieta Lebensteina tak mniej więcej traktuje swoich mężczyzn. Czy jego sztuka to wyraz podziwu dla jej siły czy też skarga ofiary?

•

Sztandarową kompozycją tego Lebensteinowego dylematu jest „Zoofilia", doskonała kompozycja z 1968 roku, w której mężczyznę i kobietę łączy byk wyrastający z męskich genitaliów i zanurzający swój lubieżny łeb w łonie kobiety. Ta praca brzmi jak otwarte przyznanie się mężczyzny do ukrytych marzeń, którymi ich obiekt nie wydaje się zachwycony, aczkolwiek podaje dłoń i nawet jakby przyciąga ten byczy penis ku sobie. Kolejne rozmarzenie?

Zgłębiając sztukę Lebensteina, naprawdę niełatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, co działo się w głowie tego artysty. Dlatego warto łączyć spojrzenia na co najmniej kilka obrazów. Bo para kobieta-mężczyzna to mantryczna kompozycja w sztuce Lebensteina. Próbował przeniknąć zależność - bliską zniewolenia - mężczyzny od kobiety. Całość zagadnienia sprowadzała się do tego, kim on wobec niej jest oraz co ona z nim robi. Te zagadnienia dręczyły i zapładniały tego artystę przez całe życie.

Nie za wiele wiemy o życiu prywatnym Lebensteina. Sądząc po częstotliwości powracania do tematu, w którym mężczyzna najczęściej pojawia się w roli podporządkowanego zwierzęcia, można przypuszczać, że artysta doznał od kobiety - lub kilku kobiet - upokorzenia. Albo czegoś takiego się obawiał.

Jego męscy bohaterowie wydają się z tą sytuacją pogodzeni. Okazują potulność wobec swoich władczyń; są oswojeni i oddani. Czasem - tylko na wyraźne zamówienie - wyzwala się w nich zwierzę seksualne. Ale też znające swoje miejsce i czujące kolczatkę.

•

Dobrze obrazuje to „Matrimonium I". Ta kompozycja zamyka swoją energię w kwadracie wyznaczonym przez rękę kobiety i kończynę ludozwierza. Patrzymy na stabilny, sodomiczny związek małżeński, nad którym czuwa dłoń kobiety.

Zadziwiające, że jej kobiecość jest w tym obrazie tak niejednoznaczna. Majestatyczna bogini z obrazu ma szczątkowe piersi i bardzo dwuznaczne łono, mocno kojarzące się z penisem. Być może w ten sposób chciał Lebenstein zasygnalizować siłę, którą odebrała mężczyźnie. Jedynie jej biodra rozkwitają kobiecością i zapowiadają płodność. Ale co to będzie za potomstwo...

Twarz kobiety to słońce otoczone promieniami. Jest to pradawny symbol życia i królewskości. Lebenstein zapewne często widział go na ekspozycji egipskiej w Luwrze, bo rozpromienione słońce reprezentuje boga Ra. Również Ludwik XIV, Król Słońce, przejął ten symbol za własny. Namalowanie twarzy kobiecej w ramach rozpromienionego słońca to wielki gest wobec postaci kobiecej. Szkoda jedynie, że wyraz jej twarzy jest trochę głupawy, a nos wygląda jak kinol klowna.

Nie mniej interesującą postacią, o ile nie bardziej, jest towarzysz rozpromienionej kobiety, intrygujący wielozwierz, z okrągłym okiem lwa i mocno naiwnym spojrzeniem, z pyskiem krowy, brodą capa i najprawdopodobniej miękkimi rogami. Sprawia wrażenie ciepłego, ale również przyczajonego. Wyraźnie zna swoje miejsce i granice swoich praw.

Ale mimo to delikatnie próbuje je badać. Wsuwa gatunkowo nieokreśloną łapkę pod pośladek swojej pani. Na wszelki wypadek nie patrzy w tamtą stronę, więc może udawać, że ręka wymknęła się jego uwadze. Na tyle, według Lebensteina, może sobie pozwolić mężczyzna napędzany pożądaniem kobiety.

Sztuka Lebensteina obrazuje wymyśloną przez tego artystę zawiłą grę genderową, w której pełną władzę i kontrolę nad akcją posiada kobieca samica. Przedstawienie tego nie byłoby możliwe w konwencji nabożnego realizmu. Tylko rozmycia, symboliczne przegięcia i sprośne dwuznaczności pozwalają na ukazanie tej skomplikowanej relacji w pełni jej treści.

•

Podsumowując tę zawiłą i jakże boleśnie prawdziwą twórczość Lebensteina, dostrzegamy ciekawy ciąg odkryć, gorzkich olśnień i ważnych porażek. Artysta wyszedł z abstrakcji i z niej wyprowadził swoją figurę, którą z malarskim wysiłkiem wydobywał z szarości i rzeźbił w fakturze farby.

Na tym etapie najprawdopodobniej próbował przeniknąć samego siebie. Myślał o istocie zanurzonej - wbrew swojej woli - w magmie istnienia. Efektem było dojście do męczącego go przez całe życie poczucia osobności. Powstało mnóstwo gorzkich obrazów, ale istota rzeczy, czyli odpowiedź na pytanie: „kim jestem i dlaczego jestem?" raczej się nie pojawiła. Albo - odkrycie tego byłoby niezwykle ciekawe - pojawiła się w wersji, którą bał się dalej rozwijać.

Zaprzestał analizy siebie jako indywiduum. Przeszedł na przyglądanie się sobie w kontekście. Jedynym kontekstem, jaki wyniósł ze świata realnego, było pożądanie kobiety. Rozpoczął się okres realistycznego obrazowania demonów seksu i kompleksów erotycznych. Powstawały „krasnoludki naturalnej wielkości". To niesamowite, co się kotłowało w wyobraźni tego artysty; „potrafiłem absolutnie wyłączyć się z zewnętrznego świata..." (Lebenstein, „Demony", jak wyżej).

Tylko tak mu się wydawało. Trzymał go w tamtym świecie zapach kobiety. Ten okres to walka z demonami wewnętrznymi. Chyba jej nie wygrał. Ale wygrała jego sztuka, bo w tym czasie powstały najbardziej wyrafinowane i perwersyjne kompozycje. Prywatne demony go jednak nie opuściły. Jedynie alkohol jako tako je uciszał i być może, niestety, urealniał. Ale w końcu, nie mogąc się z nimi rozprawić - tak samo jak wcześniej z sobą - porzucił je i poświęcił się demoniczności, która panowała w wyobraźni wspólnej.

•

Od końca lat 60. Lebenstein powoływał do „istnienia w obrazie" demony cudze, wymyślone przez kulturę i religię. Tu wprowadził kolejną strategię kompozycyjną. Jego własne demony występowały w teatrze życia. Pojawiały się w scenkach wyrwanych z jakiejś opowieści. Demony wspólne były często rysowane w pozycji motyla przyszpilonego do gablotki. Nie miały narracji, tylko katalog.

Powstawały bogate cykle rysunkowe. Lebenstein zilustrował między innymi „Bestiarium" Guya de Maupassanta, „Folwark zwierzęcy" Orwella, „Księgę Hioba" i „Apokalipsę św. Jana". Zapytany, dlaczego wybrał „Apokalipsę", odpowiedział: „No, bo to jest jedyna rzecz, która się spełni" (wywiad Andrzeja Przekazińskiego, 1986).

Tak się dopełniło życie, w którym udział sprowadzał się do uciekania w sztukę. ●

FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Maria Anna Potocka**

• krytyczka i kuratorka, autorka książek o filozofii sztuki, w latach 2010-24 dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Różycki*

Izjum

Ogryzione kości, szmaty, butelki,
porzucone łupy, ciężki sprzęt w rowie,
połamane gałęzie i odchody,
dużo odchodów – tak rozpoznasz ścieżkę,

którą uciekli w popłochu bogowie.
Przyszli tu, trzymali ludzi w piwnicy,
gwałcili, kastrowali, w ciele ogniem
wypalali znaki, żeby nas policzyć,

ale wygnaliśmy ich. Wciąż w powietrzu
czuć po nich smród. I wypalone pola,
połamany sad, ul unicestwiony.
Odchody wzdłuż ścieżki, którą odeszli.

Przestraszyli się nas, dotarło do nich,
że nie będą już nigdy nieśmiertelni.

***Tomasz Różycki** - ur. w 1970 r., poeta, eseista, tłumacz. Autor m.in. poematu „Dwanaście stacji" (Nagroda Kościelskich) i tomu wierszy „Kolonie" (finał Nagrody Nike). Za tom „Ręka pszczelarza" otrzymał Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za rok 2022. Wiersz pochodzi z jego tomu „Hulanki & Swawole", Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 124, Kraków 2024. W zeszłym roku także i on znalazł się w finale Nagrody Nike.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

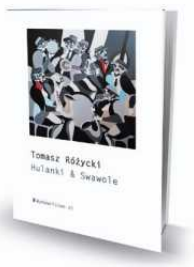

eprasa.pl 5935e39405

ALE HISTORIA

MEKSYK
ZANIM POWSTAŁO NARKOPAŃSTWO

Od ponad dwóch wieków przemoc jest nieodłączną częścią życia mieszkańców Meksyku. I nie ma nadziei, że to się zmieni.

Maciej Stasiński

Kilkanaście godzin po ataku na Wenezuelę i uprowadzeniu prezydenta Nicolása Maduro i jego żony Cilii Flores prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump zapowiedział działania również wobec innych krajów, z którymi, jak się wyraził, „trzeba coś zrobić". Chodziło mu o Kubę, Kolumbię i przede wszystkim Meksyk.

Tym ostatnim krajem od siedmiu lat rządzi populistyczna Partia Odrodzenia Narodowego MORENA Andrésa Manuela Lópeza Obradora, prezydenta w latach 2018–2024. Obrador, który wykreował się na świeckiego mesjasza i zbawiciela ludu, od początku swoich rządów konsekwentnie budował w Meksyku autokrację, niszcząc instytucje demokratyczne i państwo prawa. W 2024 roku przekazał władzę swojej wiernej współpracowniczce i wyznawczyni Claudii Sheinbaum. Pod rządami Obradora i Sheinbaum Meksyk coraz bardziej zsuwa się w bagno autokracji i bezprawia. Po interwencji w Wenezueli Donald Trump stwierdził w telewizji Fox News, że wprawdzie pani Sheinbaum jest „dobrą kobietą", ale Meksykiem „rządzą kartele, a nie ona".

I nie ma w tym przesady. Kartele, których w całym kraju jest dziś 32, od lat 80. szmuglują narkotyki do USA. Są uzbrojone po zęby, mogą kupić lub zastraszyć każdego policjanta, prokuratora, burmistrza czy gubernatora, sprawują faktyczną władzę w wielu stanach m.in. Sinaloa, Chihuahua, Guerrero, Michoacán, Tamaulipas i Sonora. W całym kraju zbudowały archipelag bandyckich państewek; podzieliły go na strefy wpływów, w których rządzą terrorem.

Przemoc jest wpisana w historię Meksyku, przez dziesięciolecia była częścią życia jego obywateli. Żeby zrozumieć, dlaczego, trzeba poznać dzieje tego kraju, zanim stał się narkopaństwem.

DYKTATURA DOSKONAŁA

Demokracja w Meksyku zakiełkowała dopiero w 2000 roku, gdy po 72 latach niepodzielnych rządów Instytucjonalnej Partii Rewolucyjnej (PRI), podczas których wybory były pozorowane lub fałszowane, po raz pierwszy wygrał kandydat opozycji. Już sama nazwa PRI wyrażała komiczny paradoks ustroju, który nastał po długiej i krwawej rewolucji meksykańskiej 1910–1920. Bo czy rządy partii zespolonej z państwem i kontrolującej korporacyjno-związkowe społeczeństwo mogą być rewolucją?

• **Rewolucja meksykańska 1910-1920. Wojska rządowe z bronią zdobytą podczas walk z przeciwnikami dyktatury**
FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 5935e39405

Ustrój stworzony przez PRI przeszedł do historii jako „dyktatura doskonała”. Tak go określił w 1990 roku Mario Vargas Llosa na kongresie intelektualistów „Wiek XX. Doświadczenie wolności” zorganizowanym przez „Vueltę”, pismo wielkiego poety i literackiego noblisty Octavio Paza.

– To nie komunizm jest dyktaturą doskonałą, nie Związek Sowiecki, nie Fidel Castro, tylko Meksyk – mówił Llosa. – To jest dyktatura zakamuflowana, która, choć usprawiedliwia się sama lewicową retoryką, wciąż jest dyktaturą. Na jej czele nie stoi człowiek, lecz partia i ta partia jest nie do ruszenia. Nie sądzę, by w Ameryce Łacińskiej był drugi reżim dyktatorski, który tak skutecznie i subtelnie werbuje i przekupuje inteligencję stanowiskami i urzędami, zachęcając ją do krytyki, jeśli tylko mu się to opłaca i nie zagraża jego istnieniu – stwierdził Peruwiańczyk.

Wystąpienie Llosy transmitowała oficjalna stacja „Televisa”, a wśród gości kongresu byli intelektualiści, m.in. Hugh Thomas, Jean-François Revel, Jorge Semprún, Michael Ignatieff, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz, Bronisław Geremek i Adam Michnik, który zapewne pamięta oburzenie gospodarzy. Także Octavio Paza, który, choć już w 1968 zerwał z reżimem i stał się jego surowym krytykiem, nie zgadzał się na zrównywanie jego ojczyzny z dyktaturami: – Meksyk to nie dyktatura, tylko hegemonia jednej partii. Nie mieliśmy tu dyktatur wojskowych. PRI nie zniosła wolności, choć nią manipuluje, i nie zlikwidowała społeczeństwa obywatelskiego – odpowiedział Llosie.

Nazajutrz odpór pisarzowi dawali jeden po drugim dygnitarze partii, prokurator generalny, gubernatorzy stanowi, ministrowie, szefowie instytucji kulturalnych i cała plejada prorządowych intelektualistów.

Llosa pospiesznie wyjechał z Meksyku, a kolejne debaty kongresu zostały przełożone i przeprogramowane. Jednak jego słowa o „dyktaturze doskonałej” dudniły odtąd niczym dzwon, ilekroć Meksyk był tematem debat.

„Dyktatura doskonała” nie okazała się wprawdzie wieczna, ale określenie doskonale opisywało reżim partii, która za demokratyczną fasadą i bez jawnej przemocy oplatała mackami wszystkie trzy władze w państwie, instytucje formalnie niezależne, a także kontrolne oraz związki zawodowe i stowarzyszenia. Jednocześnie tolerowała ograniczoną przestrzeń wolnego słowa i hojnie rozdawała pieniądze twórcom kultury.

Od początku miała polor ludowy. Obiecywała sprawiedliwość społeczną krajowi, który po czasach kolonialnych i wojnach domowych XIX wieku odziedziczył ogromne rozwarstwienie klasowe i materialne. Masy bezrolnych chłopów domagały się ziemi, a rosnące rzesze robotników przemysłu i górnictwa żądały płacy i praw.

Lewicową retorykę łączyła dyktatura z nacjonalizmem wymierzonym w potężny obcy kapitał i imperialne zakusy Stanów Zjednoczonych, które w połowie XIX wieku odebrały kształtującemu się dopiero niepodległemu Meksykowi połowę terytorium. Lament Porfirio Díaza, dyktatora rządzącego krajem na przełomie XIX i XX wieku: „Biedny Meksyk, tak daleko do Pana Boga, a tak blisko Stanów Zjednoczonych!” od półtora wieku jest dewizą nacjonalizmu meksykańskiego. Upaństwowienie przemysłu naftowego w połowie lat 30. ubiegłego wieku przez prezydenta Lázaro Cárdenasa, gdy wywłaszczono m.in. Royal Dutch Shell, Standard Oil Company, Sinclair Pierce Oil Company i wiele innych, oraz utworzenie państwowego monopolu Pemex, stały się aktem założycielskim państwa PRI.

TERAPIA REWOLUCYJNA

Ten ustrój nie wyszedł spod pióra meksykańskiego Napoleona, piszącego konstytucje dla kolejnych państw jak listy. Ani ideologicznego doktrynera oświeconego absolutyzmu wieku buntu mas. Był owocem brutalnej budowy niepodległego państwa znaczonej wojnami domowymi i krwią. Ta „upaństwowiona rewolucja” miała sens terapeutyczny.

Utworzona w 1929 roku PRI miała zjednoczyć skłócone nurty ruchu rewolucyjnego oraz poskromić ambicje samozwańczych wodzów i watażków, którzy zwalczali się od obalenia dyktatury Porfirio Díaza w 1910 roku. Odtąd wybory prezydenckie i parlamentarne odbywały się co sześć lat, ale wygrywał je niezmiennie kandydat PRI namaszczany przez odchodzącego prezydenta. Rywali opozycji, tolerowanej, ale trzymanej krótko, pokonywał zawsze druzgocącą większością głosów.

W przeciwieństwie do latynoskich junt wojskowych, które społeczeństwo „brały za mordę”, a przeciwników zamykały, zabijały lub wypędzały, PRI zbudowała ustrój z potężną władzą wykonawczą cywilnego prezydenta,

• **Wojska amerykańskie (po lewej) i meksykańskie lojalne wobec rządu, podczas poszukiwań generała Pancho Villi zwanego Centaurem Północy, bohatera ludowego, który wywłaszczał wielkie majątki i rozdawał ziemię chłopom**

FOT. LIBRARY OF CONGRESS/CORBIS/VCG VIA GETTY IMAGES

• **Porfirio Díaz (1830–1915), dyktator, który czteroletnią przerwą rządził Meksykiem od 1876 do 1911 roku**

FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

ale i zorganizowała społeczeństwo na podobieństwo korporacji – różnych klienteli, gremiów przedsiębiorców, związków zawodowych i stowarzyszeń. „Za mordę”, ale i „na żołd”, brała przede wszystkim postrewolucyjnych weteranów wraz z ich wybujałymi ambicjami politycznymi. Dzięki temu monarchia PRI, w której zmieniali się królowie, ale władza pozostawała w rękach partii, rządziła bez walk frakcyjnych i rozlewu krwi.

Takie państwo reprezentowało interesy elit porewolucyjnych, które objęły władzę i głosiły, że Meksyk musi zerwać z polityką i życiem publicznym minionych stu lat. Czyli z przemocą.

POLITYKA PLUTONÓW EGZEKUCYJNYCH

Zbrojny bunt i mord na rywalu lub przeciwniku to znak firmowy meksykańskiej historii od pierwszych chwil niepodległości wywalczonej po trzech stuleciach kolonialnego panowania Hiszpanii. Dzieje budowanego przez cały XIX wiek państwa to pasmo niekończących się wojen domowych, powstań, secesji, zdrad, obfitujących w zabójstwa i egzekucje. Mordowali się ojcowie założyciele i wodzowie niepodległej ojczyzny. Ginęli bohaterowie, których nazajutrz uznawali za zdrajców i łotrów nowi kandydaci na bohaterów.

W 1811 roku rozstrzelany został ksiądz Miguel Hidalgo, pierwszy bojownik o wolność Meksyku, który rzucił hasło do powstania przeciw Hiszpanii znane jako „Krzyk z Dolores”. Najpierw pozbawiono go święceń, potem po trzykrotnej salwie plutonu odcięto głowę i ku przestrodze wystawiono na widok publiczny. Hidalgo 13 lat później został uznany za pierwszego z ojców niepodległości.

W 1815 roku rozstrzelany został jego następca, też ksiądz i wódz wojskowy, José María Morelos, współautor powstałej rok wcześniej pierwszej konstytucji.

Przed plutonem egzekucyjnym zginął również w 1824 Agustín de Iturbide, kolejny bojownik o niepodległość i koronowany cesarz Meksyku Augustyn I. Natomiast w 1831 roku prezydent Anastasio Bustamante kazał rozstrzelać swego towarzysza i byłego prezydenta Vicente Guerrero, który podczas swoich krótkich rządów zniósł niewolnictwo.

Niemal przez cały XIX wiek trwał proces scalania w jednolite państwo wspólnot oddalonych od siebie i zróżnicowanych regionalnie i etnicznie. Powstawał kraj rozciągający się od Gwatemali na południu po dzisiejsze amerykańskie stany – Kalifornię, Newadę, Utah, Kolorado, Arizonę, Nowy Meksyk i Teksas na północy, a na wschodzie sięgający rzeki Missisipi. Pierwsze dwie konstytucje z 1814 i 1824 roku były bardziej manifestami woli kolejnych grup powstańców inspirowanymi hasłami rewolucji francuskiej i amerykańskiej oraz ideami republikańskimi, niż zbiorami praw możliwymi do przestrzegania.

Trzecia, z 1857 roku, była pierwszą nowoczesną konstytucją państwa liberalnego i republikańskiego, wzorowaną na amerykańskiej. Wprowadzała m.in. rozdział Kościoła od państwa, zlikwidowała osobne jurysdykcje kościele i wojskowe, ustanowiła równość wobec prawa i wolności obywatelskie, w tym wolność słowa i prasy.

Lata 1857–1868, pokrywające się z rządami Benito Juáreza, uznawane są za okres założycielski nowożytnego Meksyku. Ale i on został przerwany interwencją francusko-angielsko-hiszpańską w 1861 roku i restauracją cesarstwa pod berłem Ferdynanda Maksymiliana Habsburga, brata Franciszka Józefa. Ostatecznie liberalni republikanie Juáreza wypędzili interwentów i przywrócili republikę. Natomiast cesarza – a jakże – rozstrzelali.

W trwających dziesięciolecia wojnach o niepodległość zginęło przeszło 200 tysięcy osób, około 5 procent ówczesnej ludności. Względny pokój na 35 lat zaprowadził dopiero w 1876 roku dyktator, pozytywista i modernizator Porfirio Díaz.

KTO MIECZEM WOJUJE...

W 1910 roku wybuchła Rewolucja, którą Meksykanie piszą dużą literą i do której do dziś odwołują się wszystkie rządy. Pochłonęła około miliona ofiar, a jej bohaterowie padali w bratobójczych walkach jeden po drugim. Strzałem w tył głowy zamordowany został w 1913 roku Francisco Madero, pierwszy przywódca kraju po obaleniu dyktatury Profirio Díaza. Kazał go zabić jego własny generał Victoriano Huerta.

W 1919 roku w zamachu zleconym przez prezydenta Vegustiano Carranzę zginął chłopski rewolucjonista Emiliano Zapata „Atylla Południa”. Sam Carranza został w 1920 roku zastrzelony we śnie podczas zamachu zorganizowanego przez zbuntowanych generałów, m.in. Álvaro Obregóna, który niedługo potem objął fotel prezydenta.

Skrytobójczo zginął również Pancho Villa zwany Centaurem Północy, jeden z najsławniejszych

eprasa.pl 5935e39405

wodzów ludowych, który wywłaszczał wielkie majątki i rozdawał ziemię chłopom. W 1923 roku jego zabójstwo zlecili prezydent Obregón i jego następca generał Plutarco Elías Calles. Odrąbana głowa Villi znikła, a jego ciało przeniesiono do panteonu bohaterów rewolucji razem ze szczątkami Francisco Madery i Venustiano Carranzy.

Współcześnie przeniesieniu zwłok Zapaty do panteonu bohaterów rewolucji sprzeciwili się jego potomkowie, ponieważ nie chcieli, by leżał obok swego zabójcy.

Obregóna, który w 1928 roku ponownie wygrał wybory prezydenckie, jeszcze przez objęciem urzędu zastrzelił rebeliant katolicki podczas „wojny chrystusowej", buntu kleru przeciw antyklerykalnym i laickim reformom rządu prezydenta Plutarco Elíasa Callesa. Wojna trwająca od 1926 do 1929 roku pochłonęła 70-80 tysięcy ofiar.

„Bohaterowie dziejów Meksyku z pewnością umieli umierać, ale za życia potrafili również śmierć zadawać – piszą Manuel Villapando i Alejandro Rojas w książce „Śmierć w historii. Od Hidalgo do Trockiego". „Żadna z wybitnych postaci nie poszła spokojnie do grobu. Jedni zabijali, tłumacząc to racją stanu, inni brakiem państwa albo »dobrem ogólnym«, jeszcze innym ręka nie zadrżała, gdy rozporządzali życiem przeciwników. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Naród meksykański od czasów prekolumbijskich wykuwał się skąpany we krwi".

ZE ŚMIERCIĄ NAM DO TWARZY

Niektórzy uważają, że Meksykanie mają gwałtowną śmierć wpisaną w kod kulturowy. Ma to swe korzenie w czasach przedhiszpańskich, kiedy ludy mezoamerykańskie składały ofiary z ludzi nie z czystego okrucieństwa czy zemsty na pokonanym, ale w hołdzie bóstwom. Ten szczególny kult śmierci przewija się przez całe nowożytne dzieje cywilizacji meksykańskiej.

Reżim PRI chciał położyć kres temu korowodowi politycznych śmierci. Ale choć rządził głównie przez kolonizację instytucji, kooptację, przekupstwo i klientelizm, również potrafił być bezwzględny i brutalny, gdy czuł się zagrożony. W latach 60. i 70. ubiegłego wieku toczył tzw. brudną wojnę przeciw lewicowym partyzantom i ruchom protestu w różnych rejonach kraju (Chihuahua, Guerrero). Represje były umiarkowane, ale dwukrotnie wojsko i prorządowe paramilitarne bojówki zgotowały demonstrantom krwawą rzeź.

Za rządów prezydenta Gustavo Díaza Ordaza, 2 października 1968 roku, tuż przed otwarciem letnich igrzysk olimpijskich, armia zmasakrowała na stołecznym Placu Tlatelolco pokojową manifestację lewicowych studentów, żądających „rewolucji, nie olimpiady". Zginęło kilkaset osób. Trzy lata później, 10 czerwca 1971 roku, kolejny prezydent Luis Echeverría wysłał paramilitarne bojówki „Sokołów" przeciw studentom demonstrującym przeciw ustawie o szkolnictwie wyższym. Szwadrony rządowych pałkarzy zabiły na ulicach stolicy 120 osób.

Żadna z tych zbrodni nie została ukarana, ale obie masakry spowodowały odwrócenie się od reżimu znacznej części opinii publicznej.

Poza tym władza sprawowała surowy i skuteczny paternalizm. Większość społeczeństwa godziła się z „postępową" autokracją, choć ogromne nierówności materialne pozostały, bo dynamiczny, sześcio-siedmioprocentowy roczny wzrost gospodarczy w latach 1950–1980 bogacił głównie klanową i klientelistyczną elitę przedsiębiorców oraz władze państwowe, a nie większość Meksykanów.

GLOBALIZACJA I DEMOKRATYZACJA

Ten gmach począł się kruszyć w połowie lat 80. ubiegłego wieku. Po krachu finansowym w 1982 roku i wykupie meksykańskich długów przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Stany Zjednoczone realne płace spadły o kilkanaście procent. Jednocześnie w monopartii narastał nurt demokratyczny i lewicowy, domagający się powrotu do laickich i ludowych ideałów zdradzonej rewolucji. Coraz silniejsza stawała się też opozycyjna Partia Akcji Narodowej (PAN), niegdyś konserwatywno-katolicka, a z czasem coraz bardziej liberalna.

Wybory prezydenckie w 1988 roku miały po raz pierwszy trzech poważnych kandydatów. Faworytem był wywodzący się z PRI lewicowy rozłamowiec Cuauhtémoc Cárdenas, syn prezydenta Lázaro Cárdenasa, który w latach 30. m.in. znacjonalizował przemysł naftowy. I zapewne by zwyciężył, gdyby monopartia nie wstrzymała liczenia głosów. Po przeliczeniu połowy Cárdenas wygrywał zdecydowanie przed oficjalnym kandydatem PRI Carlosem Salinasem. Oszustwo było bezczelne, ale po nieśmiałych protestach demokraci Cárdenasa i konserwatyści zrezygnowali z wezwania ludzi do wyjścia na ulice w obawie przed wybuchem wojny domowej.

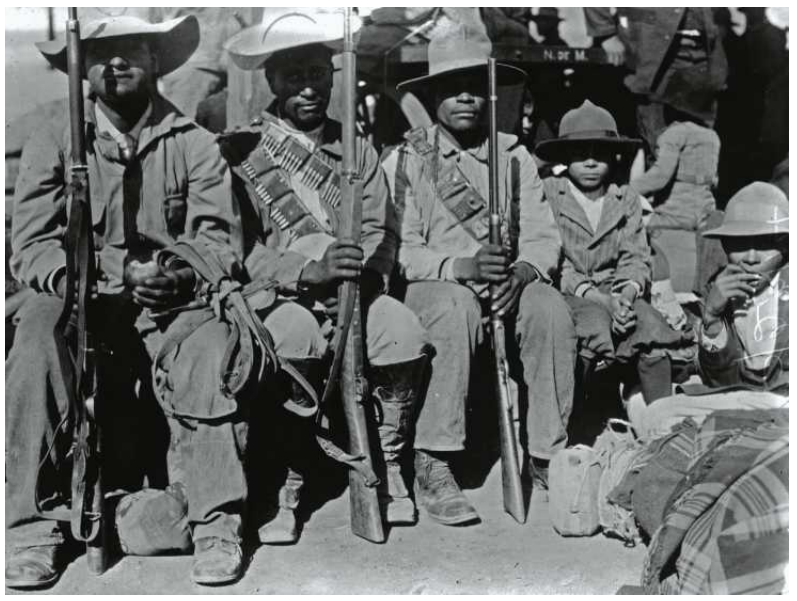

• **Żołnierze Pancho Villi podczas rewolucji meksykańskiej, zdjęcie zrobione prawdopodobnie w Gomez Palacio w stanie Durango w marcu 1914 roku**
FOT. HUM IMAGES/ UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

Cárdenas założył nową Demokratyczną Partię Rewolucji (PRD) i wygrał wybory na premiera dystryktu federalnego stolicy Ciudad de México. Startował jeszcze kilka razy w wyborach prezydenckich, a jego partia zadomowiła się na scenie politycznej, obok od dawna opozycyjnej konserwatywnej PAN.

Dyktatura trwała, ale w początkach lat 90. już mocno się chwiała. Powodem był kolejny krach finansowy w 1994 roku oraz gospodarcza integracja i globalizacja, która wymuszała modernizację autokratycznego, skostniałego systemu. Zawarty między Stanami Zjednoczonymi, Kanadą i Meksykiem traktat NAFTA, który wszedł w życie w 1994 roku, uruchomił największą na świecie, wartą wiele miliardów dolarów wolną od ceł współpracę trzech potężnych gospodarek na zachodniej półkuli.

Zabójstwo można zlecić już za 20 tysięcy pesos (100 euro), w stolicy kraju strach brać taksówkę, bo jazda może się skończyć rabunkiem albo śmiercią

W ślad za tym kolejny prezydent Meksyku Ernesto Zedillo, który rządził w latach 1994–2000 i, jak się okazało, był ostatnim z nadania PRI, przeprowadził kluczowe reformy konstytucyjne, wyjmujące kolejne cegły z gmachu wszechwładzy. Filarami przyszłej demokracji stały się niezależne instytucje: Sąd Najwyższy, organ organizujący i kontrujący wybory, a także reformy: administracji publicznej i prokuratury generalnej oraz prawa wyborczego, co otworzyło opozycji drogę do parlamentu i źródeł finansowania.

Tę dyskretną transformację Zedillo przygotował we współpracy z marginalizowaną wcześniej opozycją, zarówno lewicową, jak i konserwatywną, która już w 1997 roku zdobyła większość mandatów w parlamencie, a w 2000 roku po raz pierwszy od 70 lat wystartowała w wyborach prezydenckich na równych prawach z rządzącą PRI i je wygrała. Prezydentem został Vicente Fox z PAN.

NADZIEJA I ROZCZAROWANIE

Demokratyzacja Meksyku nie miała tak dobrej prasy na świecie, jak ta w Hiszpanii w latach 1976–1978, po śmierci generała Francisco Franco; w Chile po 17 latach dyktatury wojskowej gen. Augusto Pinocheta, czy jak przemiany w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej po zburzeniu muru berlińskiego i rozpadzie Związku Sowieckiego. Zapewne dlatego, że miękka dyktatura w Meksyku nie miała tak złej sławy jak junty latynoskie. Nie niosła na sobie odium zbrodni i przemocy jak reżim Pinocheta w Chile czy junta argentyńskich generałów. Nie biła też tak w oczy jak frankistowska, uważana za ostatnią anachroniczną dyktaturę w demokratycznej Europie. Upadek reżimu PRI w 2000 roku na pewno nie miał takiej wagi jak rozpad komunizmu, ale dla Meksyku był przełomowy.

Kolejne 18 lat demokracji przyniosło nieznaną wcześniej w życiu publicznym Meksyku normę: rządy i partie u władzy mogą się zmieniać w wyniku decyzji wyborców, a nie w drodze zamachu stanu, puczu pałacowego czy oszustwa. Przez dwie kadencje rządzili Meksykiem prezydenci z PAN – wspomniany Fox i Felipe Calderón, ale w 2012 roku do władzy wrócił kolejny z przywódców PRI, Enrique Peña Nieto.

Demokracja oznaczała wybory, pluralizm polityczny, wolne media, stworzenie instytucji demokratycznych, niezależnego wymiaru sprawiedliwości, a także wielopartyjny parlament federalny oraz parlamenty stanowe.

Powołanie instytucji i ustanowienie uczciwych reguł gry jednak nie wystarczyło. Gmach demokracji liberalnej nie okazał się wprawdzie wydmuszką, ale życie publiczne nie wypełniło go dostateczną treścią. Większość społeczeństwa nie poczuła, że żyje w lepszym świecie. Demokracja nie przyniosła ludziom namacalnych i wymiernych korzyści, ani też ładu, bezpieczeństwa, uczciwości w życiu publicznym, sprawiedliwości społecznej czy równości wobec prawa. W trakcie trzech kadencji demokratycznych rządów rozczarowanie rosło.

NARKOPAŃSTWO

Najgorszą plagą czasów demokracji okazał się narkobiznes, który za rządów PRI oczywiście również istniał, ale dopiero później rozpanoszył się na skalę niebywałą. Kartele szmuglujące od lat 80. marihuanę i kokainę zerwały się z uwięzi autorytarnej władzy, która z jednej strony ich pilnowała, ale z drugiej z nimi współpracowała. Kiedy zabrakło reżimu PRI, kartele wciąż zarabiały krocie. Obok szmuglu kolumbijskiej kokainy same zaczęły produkować syntetyczne narkotyki, które przemycają głównie do Stanów Zjednoczonych.

Z powodu braku silnej władzy centralnej gangi narkotykowe stały się organizacjami wszelkiej przestępczości. Okładały haraczami duże i małe przedsiębiorstwa, rabowały na przemysłową skalę ropę naftową i benzynę, handlowały ludźmi i przemycały ich przez granicę.

Za prezydentury Felipe Calderóna, który próbował im stawić czoła z pomocą armii, nastąpiło pandemonium zbrodni. W latach 2007–2014 w wojnie rządu z kartelami zginęło co najmniej 180 tysięcy osób, czyli prawie jedna piąta liczby ofiar Rewolucji i wojny domowej 1910–1920. Do dziś potworne żniwo rozpasanej przemocy nie maleje: rocznie ginie w Meksyku 30-35 tysięcy osób.

Zasięg zbrodni – zabójstw, samosądów, porwań, tortur i zbiorowych masakr, jest straszliwy, ale równie niszczące społecznie jest to, że pozostają one bezkarne. Ponad 90 procent zabójstw, napadów i rzezi nie jest w ogóle zgłaszana organom ścigania, a jeśli są badane, to z urzędu i bez powodzenia.

Sprawcy masakry 43 studentów szkoły agronomicznej w Iguali w 2014 roku do dziś nie zostali wykryci, mimo rzekomych wysiłków kolejnych rządów i prokuratorów. Ciała ofiar zniknęły, winnych nie znaleziono, zresztą nie wiadomo, czy naprawdę ich szukano. Śledztwa dziennikarskie wykazały, że w mord i jego tuszowanie zamieszane były nie tylko gangi ze stanu Guerrero, ale władze lokalne, policja i wojsko.

Zbrodnia w Iguali wstrząsnęła opinią publiczną, ale to tylko jedna z wielu rzezi, których ofiary wykopywane są ze zbiorowych mogił w całym kraju. Zabójstwo można zlecić już za 20 tysięcy pesos (100 euro), w stolicy kraju strach brać taksówkę, bo jazda może się skończyć rabunkiem albo śmiercią.

Skoro można bezkarnie zamordować kilkudziesięciu studentów, sprawić, że ich ciała znikną bez śladu i równie bezkarnie mordować kilkadziesiąt tysięcy osób rocznie od 20 lat, to nie dziwi, że Meksykanie mówią: „U nas życie nie jest nic warte". Czy w takim państwie mogą czuć się bezpieczni, chronieni przez państwo i prawo?

Korupcja za czasów PRI była powszechna, ale, podobnie jak bandytyzm, władza trzymała ją w ryzach. Natomiast w czasach demokratycznych, jak to określił wybitny publicysta Gabriel Zaid: „przestała być schorzeniem systemu, ale jest samą jego istotą".

Jeśli do zbrodni, systemowej korupcji i bezkarności, dodać to, że demokracja nie przyniosła Meksykanom rozkwitu gospodarczego i dobrobytu, to za co mają ją cenić?

Nie dziwi więc, że w 2018 roku wybory wygrał Andrés Manuel López Obrador, ludowy kaznodzieja, który, jak wielu „zbawicieli" przed nim, obiecał odrodzenie narodowe, sanację państwa, nadejście nowej ery rządów i szczęścia ludu. I wziął się za rujnowanie wciąż młodej demokracji, co w ciągu sześciu lat rządów w znacznej mierze mu się udało. Tylko zbrodni nie poskromił. Przeciwnie, sprzymierzył się z bandyckim archipelagiem. ●

1 RP

Wkrótce w Magazynie o tym, jak kartele przejmują kontrolę nad Meksykiem

eprasa.pl 5935e39405

JAK ZASZCZUTO ALEKSANDRA FORDA

Po Marcu '68 „car kinematografii" niemal z dnia na dzień wyleciał z partii i wszelkich funkcji.

Marek Beylin

Kto dziś jeszcze kojarzy, zwłaszcza w młodszych pokoleniach, władcę polskiej kinematografii w latach 50. i 60. XX wieku? I zarazem reżysera znaczącego dla rozwoju sztuki filmowej w Polsce. Zapewne Aleksander Ford kołacze się jeszcze w pamięci jako pan od „Krzyżaków", sławnej pierwszej polskiej wielkiej historycznej produkcji filmowej, którą przez lata obejrzało ok. 30 mln osób. Jednak dziś, gdy książka Sienkiewicza zekranizowana przez Forda wypadła z listy lektur szkolnych, głośny niegdyś film mało kogo obchodzi. Współcześnie jest więc Ford jako tako pamiętanym nazwiskiem, głównie w branży filmowej, i nieznaną postacią.

W 1967 roku władze PRL rozpoczęły operację, polegającą na powolnym wymazywaniu „cara kinematografii", jak go nazywano, z publicznego obiegu i społecznej pamięci. Zakończyła się ona sukcesem.

Anatomię tej antysemickiej szczujni, kulminującej po Marcu 1968 roku, przedstawiają Karol Szymański i Grzegorz Piotrowski w książce „Nic mnie już tu nie trzyma", pokazując zarazem, jak kampania antysemicka gnoiła polskie kino, chcąc odebrać mu resztki autonomii.

Bo w 1968 chęć pozbycia się Polaków i Polek pochodzenia żydowskiego szła w parze z wolą rządzącej partii komunistycznej, by wziąć pod but kulturę i uniwersytety. Władza chciała domknąć dyktaturę, likwidując pozostałości swobód, wywalczonych przez społeczeństwo w 1956 roku. O ile jednak udało się partii wygnać Forda – jak wiele innych osób – z Polski i zepchnąć go w niebyt, o tyle komuniści ponieśli porażkę w sprawie pełnego podporządkowania sobie kultury, w tym kinematografii, oraz życia naukowego. Mimo starań nie znaleźli wystarczająco licznych kontrelit, całkowicie posłusznych i cynicznych, które by zastąpiły istniejące środowiska twórcze i uniwersyteckie. Co po latach przyczyniło się do upadku PRL.

FILMOWIEC Z KPP

Sam Ford długo nie spodziewał się swego upadku, od powojnia był niezastąpioną postacią polskiego filmu, należał też do elity komunistycznego świata. Był swój, a jego żydowskie pochodzenie długo nie miało konsekwencji, choć aparat PZPR, partii rządzącej, nigdy nie wyzbył się antysemityzmu. Co ułatwiło robotę głównemu organizatorowi antyżydowskiej ruchawki, Mieczysławowi Moczarowi, który chciał przekształcić partię komunistyczną w bolszewizm łączący nacjonalizm z antysemityzmem. W czym nawiązywał do koncepcji Stalina z ostatniego okresu jego życia.

Reżyser dobrze się nadawał na ofiarę takiego przedsięwzięcia. Urodził się w 1907 roku jako Mojżesz Liwszyc; Ford to był jego artystyczny pseudonim jeszcze sprzed wojny, zmienił go w urzędowe nazwisko w 1952 roku. Udanie debiutował w latach 30. filmem „Legion ulicy" o życiu młodych sprzedawców warszawskich gazet. Potem przyszła klapa; jego komedię „Nie miała baba kłopotu" uznano za nędzną nawet w porównaniu z poślednią jakością ówczesnej polskiej kinematografii.

A potem znów sukces: jego fabularyzowany dokument „Droga młodych" (Mir kumen on) zrobiony w jidysz opowiada o biednych żydowskich dzieciach, które w sanatorium w Miedzeszynie odzyskują radość życia. I pragną sprawiedliwej przyszłości. Ten film uderzał i w polski antysemityzm, wówczas powszechny, i niósł socjalistyczne przesłanie. Cenzura zakazała dystrybucji „Drogi młodych", film oglądano na prywatnych pokazach oraz poza Polską; uznano go za dzieło doniosłe.

Radykalny społecznie Ford związał się w latach 30. z Komunistyczną Partią Polski, co wraz z reżyserską renomą wyznaczyło jego losy w powojennej Polsce. Na początku wojny brał udział w obronie Warszawy w cywilnych oddziałach stworzonych przez PPS. Potem wraz z żoną i dzieckiem uciekli do sowieckiej strefy okupacyjnej. Pracował w wytwórni filmowej, a gdy formowała się dywizja im. Tadeusza Kościuszki pod wodzą gen. Zygmunta Berlinga, stał się jednym z tych polskich filmowców, którzy rejestrowali jej frontowe walki. W tej roli brał m.in. udział w krwawej bitwie pod Lenino. Toteż w komunistycznej Polsce, już w 1944 roku, został szefem polskiego filmu. Tę pozycję, potem nieformalną, zachowa do 1968.

NACZELNY REŻYSER PRL

Nie był lubiany w branży. Jak wynika z relacji, obnosił się ze swoją władczością, nie lubił sprzeciwów, wolał nakazywać niż dyskutować, zachowywał się często jak aparatczyk. Krytykował młodsze pokolenie reżyserskie, m.in. Andrzeja Munka czy Andrzeja Wajdę, za nazbyt, jego zdaniem, radykalne rozliczanie się z polskością, z kultem bohaterów i męczennictwa, co zbiegało się w pewnym stopniu z krytyką ze strony części komunistycznej partii, zwłaszcza raczkującego już we wczesnych latach 60. moczaryzmu.

Ale nie sposób było odmówić Fordowi zasług twórczych i politycznych. W 1949 stworzył „Ulicę Graniczną", jedno z pierwszych dzieł na świecie o Zagładzie. Film „Piątka z ulicy Barskiej" (premiera w lutym 1954), opowiadający o ponurym życiu młodych ludzi w powojennej Warszawie, stanowił ważny akt wyzwalania się polskiej kinematografii z socrealizmu. Był też Ford reżyserem pierwszego głośnego „półkownika"; w 1958 roku kierownictwo partii zakazało dystrybucji jego „Ósmego dnia tygodnia", ekranizacji opowiadania Marka Hłaski o młodej parze poddanej licznym przejawom społecznej prze-

• **Aleksander Ford (1907-1980) za kamerą podczas kręcenia w 1959 roku ekranizacji „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Ford znalazł się pod specjalnym nadzorem, spływała na niego masa donosów, w tym „Literata", czyli Zygmunta Kałużyńskiego. Partia nasiliła ataki na kinematografię, oskarżano zespoły o rozpasanie ideologiczne i finansowe

eprasa.pl 5935e39405

mocy i pozbawionej nadziei na przyszłość. Decyzja partii wpisywała się w odwrót od i tak relatywnych swobód twórczych uzyskanych w Październiku '56.

W tej sprawie Ford starał się odpierać presję partii. Zaraz po wojnie wprowadził do kinematografii zespoły filmowe, które po 1956 dysponowały pewną swobodą twórczą i finansową. Mogły też jako ciała zbiorowe sprawniej borykać się z naciskami partii i cenzury. Zespoły były więc ważnym pośrednikiem między władzą a środowiskiem twórczym, przyczyniały się także do jego integracji. Ford, założyciel zespołów, bronił ich istnienia do końca swej kariery w PRL. I zespoły przetrwały tak Forda, jak komunistyczny reżim.

OSACZONY „SYJONISTA"

Początek partyjnej nagonki na Forda skleił się właśnie z atakami na zespoły filmowe i jego w nich roli. Ale działo się to powoli, najpierw były propagandowe pomruki, które z wolna przeobraziły się w rozpasane szczucie. Służba Bezpieczeństwa zaczęła zbierać „haki" na Forda od połowy lat 60. Poszło o niezrealizowany propagandowy dokument na 20-lecie PRL w 1964 roku. Rzeczywiście, Ford go nigdy nie zrobił, odwlekał to przedsięwzięcie, bo, jak się zdaje, kolejne scenariusze nadzorowane przez wszystkie możliwe instancje władzy były koszmarne, poniżej godności artysty, nawet lojalnego wobec partii. W efekcie sporo pieniędzy wyrzucono na śmietnik. Toteż aparat bezpieczeństwa miał jasną tezę: Ford dokonał politycznego sabotażu, a przy okazji grubo na nim zarobił.

Ale to były tylko pomruki; burza nadeszła w czerwcu 1967, gdy Izrael pokonał w sześciodniowej wojnie państwa arabskie, które go zaatakowały. Polska wraz z całym blokiem sowieckim stanęła po stronie arabskiej, a w kraju rozwijała się antysemicka histeria partii. Sygnał do niej dał Władysław Gomułka, I sekretarz PZPR, w pamiętnym wystąpieniu 19 czerwca. Padły słowa o zdradzieckiej „V kolumnie", czyli „syjonistycznych Żydach" urządzających „libacje" na cześć Izraela. I o tym, że takich osób Polska nie potrzebuje. Do tego grona należał Ford, wraz z dużą częścią środowisk twórczych i intelektualnych. Przemówienie Gomułki zapoczątkowało pełzającą antysemicką czystkę oraz wzmożoną aktywność SB w poszukiwaniu „syjonistów".

Ford znalazł się pod specjalnym nadzorem, spływała na niego masa donosów, w tym „Literata", czyli Zygmunta Kałużyńskiego. Partia nasiliła też ataki na kinematografię, oskarżano zespoły o rozpasanie ideologiczne i finansowe. Było jasne, że odpowiedzialność za tę demoralizację spada na Forda. Coraz bardziej osaczanego. Pozostał jeszcze członkiem partii i wciąż pełnił różne kierownicze funkcje, ale to był pozór. Dla aparatu stał się przede wszystkim „syjonistą", wrogim Żydem. Pod koniec 1967 roku władza przerwała jego już zaawansowane przygotowania do filmu „Dr. Korczak". Scenariuszowi zarzucono m.in., że marginalizuje pomoc polskiego ruchu oporu w getcie, choć zgodnie z prawdą wsparcie to było śladowe.

Ta antysemicka i totalitarna kampania kulminowała po wydarzeniach Marca 68. Nastąpiły procesy karne, czystki na uniwersytetach, w kulturze, właściwie we wszystkich dziedzinach życia. Jednym z prominentnych oskarżonych był Ford, który doświadczył pełnego zestawu propagandowej wrogości. A zasadzała się ta propaganda na mnożeniu ohydy. Ford jawił się w niej nie tylko jako wrogi Żyd czy, jak pisano wtedy, „syjonista", lecz również jako żydowski nacjonalista sprzymierzony z Niemcami przeciw polskiemu narodowi.

Zresztą, ta propagandowa formuła o kolaboracji z Niemcami żyła w atakach na środowiska opozycyjne do końca PRL, a potem rozkwitła za rządów PiS i trwa w tej partii do dziś. PiS przejął również zasadę zlepiania różnych oskarżeń w jeden pakiet, by wzbudzić jak największy wstręt wobec przeciwników.

WYGNANIEC BEZ ŻADNEJ NADZIEI

Po Marcu 68 Ford wyleciał z partii i wszelkich funkcji. Ale nigdy się nie ugiął, na zebraniach, podczas których go atakowano, odpierał zarzuty i dowodził swoich racji. Co, rzecz jasna, mu nie pomogło. A symbolicznym końcem jego funkcjonowania w Polsce było zniszczenie dekoracji do „Dr. Korczaka". Przypadkiem obserwował to Andrzej Wajda: „rozbierali [je] w takim popłochu, żeby jak najszybciej usunąć jakiekolwiek ślady" – opowiadał później.

Toteż Ford poczuł się zbędny. Uznał, że stracił ojczyznę, taką Polskę, w której bez przeszkód mógł być Polakiem pochodzenia żydowskiego. I twórcą. Podjął więc decyzję o emigracji. Wyzwolił się od antysemickiego reżimu, lecz wszedł na nową drogę udręki.

Wyjechał wraz z żoną i synem w marcu 1969 najpierw do Niemiec, a potem do Izraela. Ale nigdzie nie osiadł na stałe, jeździł po Europie i USA, szukając szans na robienie filmów. Zwłaszcza o Korczaku oraz „Kręgu pierwszego" według powieści Aleksandra Sołżenicyna, o naukowcach-więźniach w ZSRR, pracujących dla NKWD w tzw. szaraszce, instytucie badawczym założonym w łagrze. Tyle że nie miał pojęcia, jak funkcjonuje kinematografia w kapitalizmie, jak trudno zdobyć pieniądze na projekty, zwłaszcza gdy przychodzi się z innego świata bez nimbu sławy. Toteż Ford, niegdyś dygnitarz prowadzący wystawne życie, biedował. Nie godził się bowiem na chałtury i poboczne zajęcia. Utrzymywała go żona.

Ale wyrąbał sobie drogę do reżyserii. Jednak oba jego filmy, „Krąg pierwszy" z 1973 roku oraz „Jest pan wolny, doktorze Korczak" z 1974, okazały się klapą artystyczną i komercyjną. Rozpadło się też jego małżeństwo. Ford stał się nieszczęsnym wygnańcem, żyjącym w klęsce bez nadziei na przyszłość. W 1980 roku powiesił się w motelu na Florydzie. ●

Karol Szymański, Grzegorz Piotrowski

„Nic mnie już tu nie trzyma. Emigracja Aleksandra Forda do Izraela na tle wydarzeń Marca 1968 w kinematografii polskiej"
Universitas 2025

Jasne strony dziejów

Życzenia na Nowy Rok i kolejne

Skoro historia to „polityczne złoto", a o teraźniejszości i przyszłości decyduje przeszłość, to chciałbym, aby w roku 2026 i następnych nasz stosunek do historii był wysokiej próby.

Brzeziecki

W szczególności chciałbym:

Żeby Instytut Historyczny PAN, Instytut Studiów Politycznych PAN oraz instytuty historyczne na polskich uniwersytetach miały adekwatne do swych potrzeb budżety.

Żeby Ośrodek „Karta" miał się dobrze, a Polski Słownik Biograficzny mógł informować nas tylko o nowych tomach, a nie o swych kłopotach finansowych.

Żebyśmy się porozumieli co do tego, kiedy skończył się komunizm oraz czy i kiedy był tu jakiś postkomunizm (i kiedy się skończył).

Żeby ludzie, którzy w latach 80. XX wieku nosili pieluchy albo sklejali samoloty Łoś i RWD-5, nie opowiadali, że walczyli z komunizmem.

Żeby badaczki spod znaku nowej lewicy nie idealizowały naiwnie Wandy Wasilewskiej czy Heleny Wolińskiej jako emancypantek.

Żeby Władysław Frasyniuk, który walczył z komunizmem, zgodził się na udzielenie komuś biograficznego wywiadu-rzeki, albo żeby powstała jego kompletna biografia.

Żebyśmy o Karolu Wojtyle, jednym z najważniejszych Polaków XX wieku, umieli rozmawiać bez bałwochwalstwa, ale też uprzedzeń.

Żeby ukazały się biografie Jerzego Turowicza (pióra Anny Matei), Juliusza Mieroszewskiego (pióra Macieja Łuczaka) i Józefa Czapskiego (pióra Andrzeja Franaszka).

Żeby autorzy piszący o latach 90. XX wieku widzieli nie tylko „dziki kapitalizm", ofiary Balcerowicza, wykluczanie i bankructwa PGR-ów, ale także ogromny wysiłek setek tysięcy przedsiębiorczych Polaków, których ciężkiej pracy jesteśmy teraz beneficjentami, a także widzieli odpowiedzialność ówczesnej klasy politycznej, która mimo wielu słabości wspólnie realizowała strategiczne cele Polski.

Żeby młodzi Niemcy i Austriacy mogli dowiedzieć się ze swoich podręczników szkolnych o zbrodniach Niemców i Austriaków popełnionych w czasie II wojny światowej, tyle samo, co uczniowie w Polsce.

Żeby zaś młodzi Polacy zrozumieli to, czego uczy się ich w szkołach i wybierając się na film taki jak „Norymberga", nie kupowali sobie popcornu (ci, którzy widzieli film, wiedzą, o co chodzi).

Żeby nie atakowano badaczy opisujących rzetelnie stosunek Polaków do Żydów w latach 1939-1945.

Żebyśmy w kwestii Holokaustu i tego, co działo się w obozie w Auschwitz, trzymali się ustaleń Witolda Pileckiego.

Żeby nikt nie kwestionował ustaleń historyków, także z IPN, w sprawie tego, co stało się w Jedwabnem.

Żeby historycy o różnych poglądach znów, jak to było choćby dwadzieścia kilka lat temu, ze sobą rozmawiali i żeby w Muzeum Historii Polski odbyła się wielka debata, w której udział wzięliby m.in. profesorowie Jan Grabowski i Andrzej Nowak.

Żeby Węgrzy z historii całego XX wieku znali więcej pojęć niż „traktat w Trianon" i poznali los węgierskich Żydów i żeby inne narody Europy także rozliczały się z antysemityzmem.

Żeby ukraińscy historycy nie lansowali tezy o symetryzmie zbrodni na Wołyniu. Żeby w Polsce nikt nie upierał się, że akcja „Wisła" była konieczna i przeprowadzona humanitarnie.

Żeby historia nie dzieliła już Polaków i Ukraińców i żeby Igor Hałagida oraz Mirosław Czech patrzyli na pracę Grzegorza Motyki z większym zrozumieniem.

Żeby Ukraińcy nie czynili Polakom więcej problemów z ekshumacjami, zaś Polacy nie wystawiali Ukraińcom historycznych rachunków za wsparcie w walce o ich niepodległość, a nasze bezpieczeństwo.

Żeby nasze państwo i jego instytucje traktowały na równi wszystkich obywateli II RP, a nie upominały się tylko o krzywdy etnicznych Polaków.

Żeby rosyjskie archiwa stały się dostępne dla historyków, a na ich czele stanął Nikita Pietrow.

Żeby było dla wszystkich jasne, że Targowica była zła.

Żebyśmy nie upupiali historii i odróżniali od siebie historię, politykę historyczną oraz internetowe histo-polo. Innymi słowy: żeby np. niedźwiadek Wojtek nie okazywał się istotą armii gen. Andersa.

Żeby Brytyjczycy odtajnili dokumenty dotyczące śmierci generała Władysława Sikorskiego.

Żeby Anna Machcewicz, Maciej Janowski, Dariusz Libionka, Maciej Górny, Rafał Wnuk, Antoni Dudek, Paweł Machcewicz, Sławomir Poleszak, Janusz Marszalec, Rafał Wnuk, Piotr M. Majewski, Michał Przeperski, Marcin Zaremba pisali jeszcze więcej książek i byli za nie nagradzani.

Żeby Andrzej Friszke cieszył się zdrowiem. W pierwotnej werski tego felietonu życzenia zdrowia złożyłem także Andrzejowi Paczkowskiemu, mając oczywiście świadomość, że jest w ciężkim stanie. Niestety, Profesor zmarł 3 stycznia 2025 roku, nie sądziłem, że tak szybko nas opuści. Gdziekolwiek teraz jest, nadal życzę mu wszystkiego najlepszego i pocieszam się tym, że zna już odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie go nurtowały.

Żeby „Ale Historia" i inne działy historyczne w polskich mediach trwały i były miejscem ciekawych dyskusji. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

1 RP

eprasa.pl 5935e39405

ORĘDOWNIK OPCJI POLSKIEJ

We wrześniu 1939 Wasyl Mudryj zapowiedział: „Naród ukraiński spełni obowiązki wobec państwa polskiego”.

Ola Hnatiuk
Mirosław Czech

„Margrabia [Aleksander Wielopolski] postanowił porozumieć się z państwem rosyjskim i państwo to we wszystkim poszło mu na rękę. Natomiast społeczeństwo polskie odrzuciło reformy Wielopolskiego, wzgardziło ugodowością [cara] Aleksandra i wszystko zniszczyło. Mudryj poszedł na ugodę z państwem polskim, zgłosił pełną lojalność, wygrał swoje atuty, a państwo nasze nie dało mu nic w zamian. Pomimo to jednak, że rząd nasz zrobił właściwie wszystko, co mógł, aby utrudnić Ukraińcom stanowisko ugodowe, społeczeństwo ukraińskie ugody nie odrzuciło i dziś jeszcze mogłoby dla niej być pozyskane, gdybyśmy nareszcie zmienili postępowanie w tej sprawie”.

Tak bilans dwóch lat polityki normalizacji stosunków polsko-ukraińskich w II RP oceniał Adolf Bocheński, wybitny pisarz polityczny młodego pokolenia („Aleksander Wielopolski i Bazyli Mudry”, „Polityka”, 1937 nr 24).

Dalej było tylko gorzej. W latach 1938–1939 władze „rozwiązywały zagadnienie ukraińskie” poprzez niszczenie cerkwi na Chełmszczyźnie i Wołyniu, „rewindykowanie” do polskości prawosławnych jako byłych unitów, czyli przymusową konwersję religijną, a w Galicji Wschodniej – przez polonizację szlachty zagrodowej oraz „umacnianie polskości” w formie kolejnej fali pacyfikacji i masowych represji. Polityka ta miała na celu zmianę struktury narodowościowej całego tego obszaru – uzyskanie większości polskiej.

Mimo to podczas ostatniego posiedzenia Sejmu II RP (3 września 1939), Mudryj złożył jednoznaczną deklarację: „W dniu 24 sierpnia 1939 r. odbył się we Lwowie Krajowy Kongres Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO), na którym jednogłośnie przyjęto rezolucję, że w teraźniejszych ciężkich dla Rzeczypospolitej Polskiej czasach naród ukraiński spełni obowiązki obywatelskie krwi i mienia wobec państwa. […] My, Ukraińska Reprezentacja Narodowa, jako polityczna emanacja UNDO, także członkowie Ukraińsko-Narodowej »Obnowy«, oświadczamy, że obecnie nie czas na wzajemne spory polityczne i że decyzję powyższą wraz ze społeczeństwem ukraińskim w całej pełni wykonamy i poniesiemy wszystkie ofiary dla zwartej obrony państwa”.

Analogiczną deklarację złożył poseł Stepan Skrypnyk w imieniu Ukraińskiego Zjednoczenia Wołyńskiego. Do obrony państwa wezwali metropolici Andrzej Szeptycki i Dionizy Waledyński – zwierzchnicy Cerkwi greckokatolickiej i prawosławnej. Nie były to słowa bez pokrycia – w trakcie kampanii wrześniowej w szeregach Wojska Polskiego walczyło

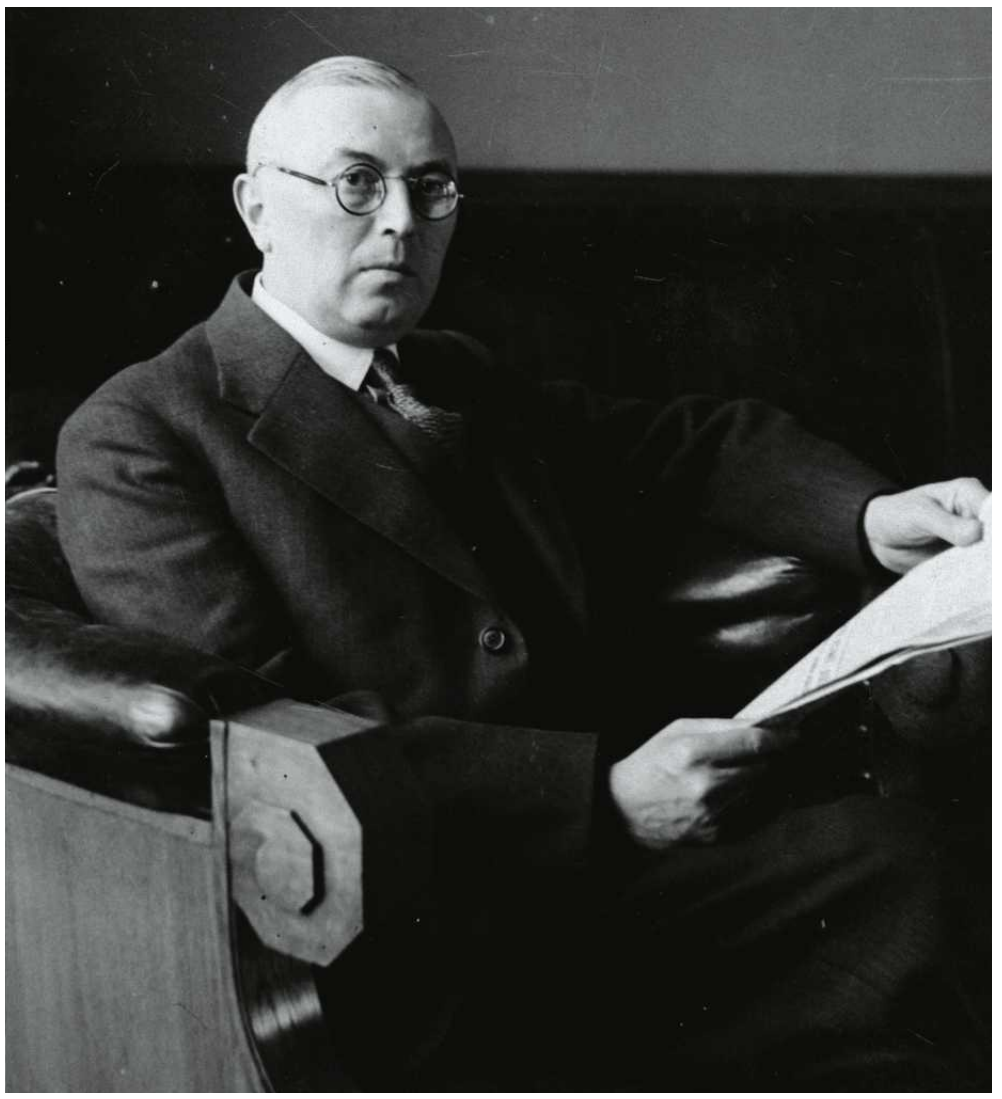

• **Wasyl Mudryj (1893–1966), ukraiński publicysta, działacz społeczny i polityk, tuż przed wybuchem II wojny światowej wicemarszałek sejmu** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

około 120 tys. Ukraińców (większość z Galicji Wschodniej), z tego od 8 do 9 tysięcy poległo.

Mudryj nie był Wielopolskim (szef władzy wykonawczej w Królestwie Kongresowym w przededniu Powstania Styczniowego i wróg numer jeden powstańców). Lidera UNDO poparło własne społeczeństwo i w zdecydowanej większości stanęło w obronie Polski. A jednak jego wystąpienie z 2 września okazało się podzwonnym udziału Ukraińców w polskim życiu politycznym i kresem „opcji polskiej” w polityce ukraińskiej na kolejne pół wieku.

W pytaniu o przyczyny takiego obrotu rzeczy kryje się również kwestia bardziej zasadnicza, mianowicie możliwości uprawiania przez Ukraińców polityki demokratycznej w II RP. Bo Wasyl Mudryj był demokratą integralnym.

BEZ ZGODY UKRAINA SIĘ NIE ROZWINIE

Urodził się w rodzinie chłopskiej, ukończył gimnazjum w Tarnopolu, rozpoczął studia we Lwowie, które przerwał wybuch I wojny światowej. Po zajęciu Galicji Wschodniej przez Rosjan (1914) znalazł się pod okupacją. Czas wojny przeżył w Płoskirowie (dziś – Chmielnicki). Po proklamowaniu Ukraińskiej Republiki Ludowej (styczeń 1918) pełnił funkcję szefa wydziału oświaty w miejscowym ziemstwie, od jesieni 1920 kierował całym ziemstwem.

Był świadkiem jednego z największych pogromów antyżydowskich, którego dokonały oddziały Armii URL (15–17 lutego 1919, blisko 2 tysiące ofiar śmiertelnych). Kilka lat później opisał przebieg wydarzeń i swoje wrażenia we wspomnieniach, a doświadczenie z tym związane – antysemityzm wśród swojego narodu i własnej bezradności — ukształtowało jego podejście do współżycia z Żydami.

Analizując stosunki narodowościowe w Ukraińskiej SRR („Diło”, kwiecień 1927) stwierdził, że Ukraina Naddnieprzańska „nie może się rozwijać w należyty sposób, nie może wewnętrznie się skonsolidować, dopóki między ukraińską większością a mniejszościami narodowymi, zamieszkującymi jej terytorium, nie będzie harmonii i zgody. Dopóki Ukraina nie stanie się taką samą ojczyzną dla Żyda, Mołdawianina, czy też Greka, jak dla Ukraińca”.

W 1921 r. powrócił do Lwowa i od raz włączył się w życie społeczne: pełnił funkcję kwestora i sekretarza Tajnego Uniwersytetu Ukraińskiego (1921-1925). Następnie kierował „Proswitą”, największą ukraińską organizacją oświatową w Galicji Wschodniej. Pracował jako dziennikarz najważniejszej ukraińskiej gazety „Diło”, ukazującej się we Lwowie. W 1927 r. został jej redaktorem naczelnym, pełniąc tę rolę do 1935 roku, kiedy objął przewodnictwo w UNDO.

Druga połowa lat 20. to gwiezdny czas Mudrego jako analityka politycznego i publicysty, specjalizującego się w problematyce ZSRR i Ukraińskiej SRR. Jego artykuły nawet dziś robią wrażenie głębią analizy procesów politycznych i społecznych w Sowietach. W odróżnieniu od wielu mu współczesnych, z rezerwą traktował politykę ukrainizacji, zapoczątkowaną w 1923 roku. Trafnie rozpoznał też jej moment jej zakończenia – usunięcie Ołeksandra Szumskiego (przywódcy ukraińskich „narodowych” komunistów) z funkcji komisarza oświaty w połowie 1926 r. Suchej nitki nie zostawiał na sowieckiej polityce, wskazując na kolonialną i imperialną istotę kolektywizacji i represji wobec ukraińskiej inteligencji.

Mudryj, ukraińskie partie polityczne, Cerkiew greckokatolicka i prawosławna nie mieli wątpliwości, że w latach 1932–1933 Stalin sztucznie wywołał głód w Ukraińskiej SRR. Jego celem było unicestwienie ukraińskiego chłopstwa i ruchu narodowego. W tym czasie Mudryj kierował Komitetem Pomocy Głodującej Ukrainie w Polsce, koordynującym działalność podobnych organizacji w Europie, USA i Kanadzie. Błyskawicznie wydał pracę o przyczynach i przebiegu Hołodomoru w oparciu o relacje świadków i artykuły z prasy zagranicznej.

NA LIŚCIE WROGÓW POLSKI

W 1928 r. redaktor naczelny „Diła” został pierwszym wiceprzewodniczącym UNDO. Od tamtej pory wywierał zasadniczy wpływ na program i linię polityczną UNDO. Nigdy nie został „ukąszony” przez sowietofilstwo – na co cierpiało w latach 20. wielu galicyjskich, wołyńskich i chełmskich Ukraińców. Jego publikacje odegrały ważną rolę w odwrocie od tej tendencji. Dostrzeżono to w Moskwie: w lutym 1935 roku NKWD rozpoczęło „agenturalne rozpracowanie” Mudrego. Kolejną sprawę NKWD założyło w lutym 1941 r., tym razem w Kijowie. Sowieckiego więzienia uniknął, bo nigdy nie dał się złapać czekistom – ani w trakcie rewolucji bolszewickiej, ani podczas II wojny światowej.

Odsiedział natomiast półtora miesiąca w polskim areszcie (31 października – 13 grudnia 1930) oskarżony wraz z całym kierownictwem UNDO o rzekome przygotowywanie powstania zbrojnego w celu oderwania Galicji Wschodniej od Polski. Za przestępstwo zdrady głównej, groziło od 10 lat do kary śmierci. Śledczy nie zdołali tego udowodnić, choć bardzo się starali. Akt oskarżenia wobec przywódców UNDO miał być wstępem do procesu pokazowego na wzór procesu brzeskiego przywódców polskiej opozycji.

Władzom chodziło o symboliczne zwieńczenie pacyfikacji – masowych represji przeciwko ludności ukraińskiej, instytucjom gospodarczym, społecznym, oświatowym i kulturalnym z okresu od września do listopada 1930 r. Propaganda rządowa, a w ślad za nią późniejsza historiografia, utrzymywały, że pacyfikacja to odpowiedź na akcję sabotażową podziemia nacjonalistycznego. W publikacji źródłowej („Pacyfikacija Hałyczyny 1930” Lwów 2019) Roman Wysocki pokazał czarno na białym, że podziemie ukraińskie żadnej „akcji sabotażowej” nie planowało.

Pacyfikacja była częścią strategii Piłsudskiego, dążącego do zlikwidowa-

eprasa.pl 5935e39405

nia opozycji politycznej i ustanowienia dyktatury. Prócz polskich polityków w więzieniu w Brześciu osadzono 5 ukraińskich parlamentarzystów, w tym 4 z UNDO. Politycznie chodziło o „likwidację UNDO", jak stwierdzono w ściśle tajnym dokumencie policji państwowej we Lwowie.

Sanację interesował również efekt elektoralny – zmobilizowanie do oddania głosów na BBWR pod hasłem konsolidacji narodowej w obliczu „zagrożenia ukraińskim terrorem". Poskutkowało – w Galicji Wschodniej nawet endecja wzywała do zjednoczenia się we wspólnym froncie przed „ukraińskim hajdamactwem".

UNDO znalazło się na liście wrogów Polski jesienią 1928 roku po tym, jak kilku prominentnych członków z prezesem Dmytrem Łewyckim na czele wzięło udział w posiedzeniach Unii Międzyparlamentarnej i Kongresie Mniejszości Narodowych w Genewie (Łewycki został zastępcą przewodniczącego kongresu). Były to pierwsze od 1923 r., gdy Rady Ambasadorów włączyła Galicję Wschodnią do Polski, wystąpienia polityków galicyjskich na forum międzynarodowym.

ORGANICZNICY I REWOLUCJONIŚCI

Aktywność UNDO na arenie międzynarodowej zadziałała na sanację jak czerwona płachta na byka. Z Łewyckim przeprowadzili rozmowy ostrzegawcze Kazimierz Świtalski (minister wyznań o oświecenia publicznego i zaufany Piłsudskiego), Ignacy Daszyński (marszałek Sejmu) i Henryk Józewski (wojewoda wołyński). „Galicjanie – zagroził Józewski – pragną być w stanie wojny z nami, więc nic dziwnego, że będziemy zmuszeni paraliżować działalność polityczną i organizacyjną ich posłów i senatorów". Jak powiedzieli, tak zrobili. Sankcje prokuratorskie otrzymali niemal wszyscy parlamentarzyści Zjednoczenia, prawie wszyscy członkowie władz tej partii zostali aresztowani.

Pacyfikowaną Galicję Wschodnią próbowano odgrodzić od świata, nie dopuszczając tam zagranicznych dziennikarzy, dyplomantów i obywateli państw zachodnich.

Na nic się to jednak nie zdało: informacje i fotografie z pacyfikowanych ukraińskich wsi dotarły na Zachód. Ukraińscy posłowie słali protesty do Ligi Narodów, organizacji międzynarodowych i parlamentów krajowych. Szczególnie aktywnie bronili opresjonowanej ludności parlamentarzyści brytyjscy z Partii Pracy, którzy wystosowali do Genewy specjalną skargę na działania Polski.

Skutek był zatem odwrotny do zamierzonego – zamiast zlikwidowania UNDO i sparaliżowania działań na arenie międzynarodowej spowodowano rozgłos. Ukraińcy zapłacili jednak za to wysoką cenę.

UNDO, ukraińscy socjaldemokraci i radykałowie publicznie potępili „sabotaże", podobnie jak hierarchia Cerkwi greckokatolickiej z metropolitą Andrzejem Szeptyckim. Natomiast Jewhen Konowalec, komendant UWO i przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, uznał, że skoro polskie władze same się przyznały do masowych represji w odpowiedzi na „wielką akcję" ukraińskiego podziemia, głupotą byłoby temu zaprzeczać. Tym bardziej że sprawa wprost idealnie miała się nadawać do „skapitalizowania" – w kraju i za granicą.

Konowalca poparło młode pokolenie nacjonalistów, nawołujących do czynu w odpowiedzi na polskie represje. Uznał zatem, że nadszedł czas na „rewolucjonizowanie mas". Wygasił UWO (1932), ponieważ kontrolowali ją weterani walk o niepodległość z pokolenia Mudrego, sprzeciwiający się tej polityce. Mudry bezskutecznie przekonywał Konowalca do zmiany strategii.

OUN atakowała policjantów, urzędników i poczty. Głośnym echem odbił się napad na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim (grudzień 1932). Mudryj potępił ten akt w artykule „Gródek Jagielloński i jego memento". Wiosną 1933 r. krajowa organizacja OUN (kierowana wówczas przez Stepana Banderę) wystąpiła przeciwko akcji „Ukraińska młodzież Chrystusowi" zorganizowanej przez Cerkiew greckokatolicką. Apogeum „rewolucjonizowania mas" stał się zamach na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego (15 czerwca 1934), miesiąc później zaś na Iwana Babija – dyrektora gimnazjum ukraińskiego i zasłużonego działacza narodowego.

SOWIECI DOKŁADAJĄ DO PIECA

Mudryj ostro krytykował ideologię integralnego nacjonalizmu Dmytro Doncowa, zarzucając mu na III Zjeździe UNDO (grudzień 1928) zaszczepianie „anarchizmu w duszach swoich zwolenników, szczególnie wśród młodzieży". Taka „ideologia", czy też zdumiewający „światopogląd" doncowskiego nacjonalizmu „może długo podkopywać nasz organizm narodowy, jeżeli każdy młodzieniec będzie się kierować hasłami o nieistnieniu żadnych ograniczeń i całkowitej dowolności własnych czynów" – ostrzegał.

Mudryj przestrzegał też przed plagą prowokatorów kierowanych przez służby polskie i sowieckie, czego dowodów dostarczyły procesy członków OUN. W tym najgłośniejszy – proces samborski (wrzesień-październik 1933) – w sprawie zabójstwa Tadeusza Hołówki z sensacyjnymi zeznaniami Romana Baranowskiego, konfidenta i prowokatora od 1929 r. Podobnie stało się podczas procesu warszawskiego Bandery i towarzyszy (1935), gdy światło dzienne ujrzała tajna korespondencja kierownictwa organizacji.

ińców w Polsce. Po podpisaniu deklaracji o nieagresji z Niemcami (26 stycznia 1934) i przystąpieniu ZSRR do Ligi Narodów Polska jesienią wypowiedziała tzw. mały traktat wersalski regulujący zobowiązania części państw w sprawie ochrony mniejszości narodowych. Po uchwaleniu konstytucji kwietniowej (1935) sanacja dążyła do wyrugowania UNDO z parlamentu. I jedynie interwencja Wielkiej Brytanii spowodowała, że jej reprezentacja znalazła się w sejmie i senacie.

Brytyjczycy bacznie obserwowali sytuację Ukraińców w Polsce, interweniując na ich rzecz w czasie pacyfikacji z 1930 r. Badania w archiwach na ten temat pozwoliły sprostować jeden z mitów na temat UNDO i ogólnie polityki ukraińskiej w II RP – ich rzekomej „orientacji" na Niemcy. Mudryj i kierownictwo UNDO nie było proniemieckie, swoją politykę wiązało z Wielką Brytanią i Polską.

Za dopuszczenie UNDO do parlamentu w wyborach w listopadzie 1935 władza zażądała czterech rzeczy: deklaracji lojalności wobec państwa polskiego, udzielenia poparcia rządowi i jego polityki zwiększenia zbrojeń oraz niezgłaszania Łewyckiego i wymuszenia na OUN zaprzestania terroru.

Ukraińcy warunki te spełnili. Deklarację lojalności złożył Łewycki; UNDO (aż do lutego 1939 roku) głosowało zgodnie z polityką rządu. Ukraińcy włączyli się też w zbieranie środków na Fundusz Obrony Narodowej. Łewycki złożył rezygnację z przewodnictwa partii, stanowisko po nim objął Mudryj. Nowy przewodniczący partii został wicemarszałkiem Sejmu, funkcję tę sprawował również po wyborach parlamentarnych w listopadzie 1938 r.

„Takiej tragedii narodowej jak obecnie, nie przeżywaliśmy w ciągu ostatnich dwóch stuleci" – pisał Wasyl Mudryj do przyjaciela w marcu 1940 roku

Po zabójstwie ministra Pierackiego policja rozbiła struktury krajowe OUN, również dzięki współdziałaniu z Niemcami, bo zamach został dokonany, kiedy minister gościł w Warszawie Josepha Goebbelsa. Służby bezpieczeństwa Polski i Niemiec porozumiały się w kwestii zwalczania ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego i komunizmu (kwiecień 1935). Podczas procesu warszawskiego sędzia uchylał wszelkie pytania obrońców o rolę Niemców w przygotowaniu zamachu.

W cieniu tych wydarzeń własną grę prowadzili Sowieci, którzy nie mogli uwierzyć we własne szczęście, gdy Polacy pacyfikowali Ukraińców. Centrum ich działań stała się ambasada w Pradze, skąd podejmowali akcje przeciwko Polsce i prowadzonym w tym czasie rozmowom o polsko-ukraińskim porozumieniu. Przewodził im Hołówko, rzecznik ugody z Ukraińcami i szef klubu BBWR, zabity pod koniec sierpnia 1931 r. Mudryj nie miał wątpliwości, że stali za tym Sowieci, podobnego zdania był też polski wywiad. Znajduje to potwierdzenie w niedawno udostępnionych dokumentach sowieckiego wywiadu.

RROZWIĄZAĆ ZAGADNIENIE UKRAIŃSKIE"

Dojście nazistów do władzy w Niemczech miało negatywny wpływ na sytuację Ukra-

Po uchwaleniu ustawy amnestyjnej (1936) i wypuszczeniu kilkuset nacjonalistów z więzień terror niemal ustał. Ale do czasu, gdyż pod wpływem proklamowania autonomii Rusi/Ukrainy Karpackiej jesienią 1938 r. marszałek Edward Rydz-Śmigły uznał, że Ukraińców w Galicji Wschodniej trzeba spacyfikować, OUN zaś zlikwidować. Do aresztów, więzień i podziemia znów powędrowały tysiące Ukraińców.

W zamian za „politykę normalizacji" UNDO otrzymało koncesje w sprawach gospodarczych, kulturalnych i oświatowych. Władze nie podpisały jednak żadnej umowy, nie chcąc czynić z UNDO partnera politycznego – tak istotę polityki piłsudczyków wobec Ukraińców sformułował Świtalski. Bo też w sprawach ukraińskich obóz Józefa Piłsudskiego działał dwutorowo: „normalizował" relacje z UNDO, a jednocześnie zamierzał „rozwiązać zagadnienie ukraińskie" jako takie.

SWÓJ OBOWIĄZEK SPEŁNIMY

Na początku grudnia 1938 roku Mudryj złożył do laski marszałkowskiej „Projekt ustawy konstytucyjnej Ziemi Halicko-Wołyńskiej", czym wywołał histeryczną reakcję endecji, sanacji i nawet socjalistów. „Ukraiński Henlein" (przywódca Niemców sudeckich) – to jeden z najłagodniejszych epitetów. Dla Ukraińców jednak hasło autonomii oznaczało rezygnację z dążenia do zjednoczenia (sobornosti) Ukrainy i wybór na rzecz „opcji polskiej". Za co UNDO ostro i solidarnie krytykowała z jednej strony OUN, z drugiej zaś Sowieci, sposobiący się do zawarcia układu z Trzecią Rzeszą w imię wyzwolenia braci Białorusinów i Ukraińców z „jarzma polskiej szlachty".

W styczniu 1939 r. rząd dwukrotnie obradował nad koniecznością „wzmocnienia polskości" w „Małopolsce Wschodniej". Był to szeroko zakrojony program. Gdy w połowie lutego sanacja publicznie ogłosiła, że wyłącznym gospodarzem państwa są Polacy, UNDO przeszło do opozycji.

Mudryj wstrzemięźliwie zareagował na powstanie autonomicznej Rusi/Ukrainy Karpackiej. O autonomii zdecydowała Trzecia Rzesza, nie zgadzając się na aneksję tego terytorium przez Węgry. Był to element rozgrywki Berlina z Warszawą, minister Józef Beck bowiem uważał, że marzenie o Polsce mocarstwowej ziści się, gdy Polska będzie sąsiadować z Węgrami. Za przychylność dla tego rozwiązania Hitler wystawił „niewygórowaną cenę": powrót Gdańska do Rzeszy i zgodę Polski na eksterytorialny korytarz przez Pomorze.

Polska odrzuciła niemieckie ultimatum, więc Hitler samodzielnie podjął decyzję: 15 marca 1939 Trzecia Rzesza zajęła Czechy, ustanawiając tam Protektorat Czech i Moraw. Słowacja ogłosiła niepodległość, zaś Ruś/Ukrainę Karpacką okupowały Węgry. Autonomia ukraińska również ogłosiła niepodległość, lecz jej los był przesądzony – po trzech dniach walk jej niewielka armia została rozbita przez wojska węgierskie. Węgry zgodziły się na status satelity Trzeciej Rzeszy.

W obliczu tych faktów Mudryj określił strategię polityczną partii (22 kwietnia 1939). W świecie – dowodził – następuje zwarcie dwóch bloków: „totalitarno-nacjonalistycznego i wielkich mocarstw demokratycznych. ZSRR, państwo totalitarno-komunistyczne, formalnie skłania się w stronę państw demokratycznych, lecz faktycznie w dojrzewającym konflikcie stara się zostać »tym trzecim«, który z wojennej tragedii narodów i państw mógłby wyciągnąć jak najwięcej korzyści dla siebie i zrealizować w wyniku wojny swój ideał proletariackiej dyktatury na całym świecie".

I zadeklarował: „Swoje obowiązki wobec Państwa będziemy wykonywać tak, jak wykonywaliśmy dotychczas". Do członków stronnictwa zwrócił się o działanie zgodne z tą wytyczną, zaś do OUN, by zaniechała działań przeciwko Polsce: „Szczególnie wzywam wszystkich do bezwzględnej walki z tymi czynnikami, które dążą przy pomocy prowokacji do ściągnięcia na spokojnych obywateli ukraińskich wszelkich represji, a nawet przelewu krwi".

ZAPROSZENIE OD GIEDROYCIA

Sporządzona przez MSW ocena wystąpienia Mudrego, przyjętego przez Komitet Centralny UNDO przez aklamację, zdumiewa niebywałym wprost zaślepieniem. Deklaracja lojalności Mudrego rzekomo była utrzymana „w tonie bladym", „uchylającym się od jasnego stwierdzenia pozytywnego stanowiska i gotowości do obrony Państwa". Ponadto „linię UNDO" charakteryzował jakoby brak rezygnacji „z dalszej rachuby na Niemców jako naturalnych sojuszników sprawy ukraińskiej, stąd też UNDO nie zajmuje antyniemieckiego stanowiska mimo sprawy Rusi Podkarpackiej".

Napisało to ministerstwo, które w lutym 1939 roku podejmowało Heinricha Himmlera i do lipca 1939 r. przekazywało Gestapo informacje o ukraińskich nacjonalistach i komunistach, realizując w ten sposób umowę o współpracy sprzed czterech lat.

Na oczy przejrzano dopiero po katastrofie. Po wojnie Jerzy Niezbrzycki, były kierownik Referatu Wschód w Oddziale II Sztabu Głównego WP, wspominał, że politycy ukra-

eprasa.pl 5935e39405

ińscy we Lwowie nie mieli wątpliwości, że zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow oznacza wojnę i podział II RP między Trzecią Rzeszę i ZSRR. W tej sytuacji UNDO podjęło cytowaną na wstępie uchwałę o obronie Polski. Jednak wywiad wojskowy i MSZ aż do 17 września wierzył, że Sowieci są zbyt słabi, by mogli zagrozić Polsce. I nawet przez myśl im nie przeszło, że w tej sprawie Hitler i Stalin byli już po słowie.

Mudryj pozostał we Lwowie aż do kapitulacji garnizonu polskiego przed Sowietami (22 września), pieszo wydostał się z miasta i udał się w ryzykowną podróż do Krakowa, gdzie podjął próbę zorganizowania komitetu ukraińskiego. Od wiosny do jesieni 1940 roku pełnił funkcję członka Naczelnej Rady Opiekuńczej jako przedstawiciel ludności ukraińskiej (polską reprezentował i szefował Radzie hrabia Adam Ronikier).

Jerzy Giedroyć, pracujący w ambasadzie polskiej w Bukareszcie chciał ściągnąć Mudrego do Francji i włączyć do emigracyjnej Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej. W połowie grudnia 1939 r. ambasador Roger Raczyński informował premiera Władysława Sikorskiego o tym, że były wicemarszałek przebywa w Krakowie, gdzie „wypowiada poglądy bardzo propolskie”. Wedle Giedroycia inicjatywę storpedował minister Stanisław Kot, ludowiec i bliski współpracownik premiera.

Mudryj gotów był opuścić Kraków i dołączyć do emigracyjnego centrum Ukraińskiej Republiki Ludowej w Paryżu (petlurowcy). Na początku marca 1940 w liście do przyjaciela pisał: „Jak dotąd nie mogę się stąd [z Krakowa] wydostać. Na wiosnę zrobię wszystko, co tylko możliwe, by zrealizować moje mocne postanowienie o wyjeździe. Takiej tragedii narodowej jak obecnie, nie przeżywaliśmy w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Czym może się ona zakończyć – nie wiadomo. Nie sądzę jednak, bo nie mam po temu żadnych danych, żeby wszystko skończyło się dla nas dobrze”.

Do sprawy członkostwa Mudrego w emigracyjnej Radzie Narodowej RP powrócono na początku 1943 roku. Celem polskich władz było „posiadanie atutu objawu woli choćby części ludności ukraińskiej w zabiegach politycznych o przynależności ziem południowo-wschodnich do Polski” – jak pod koniec stycznia 1943 roku informował Dział Polityczny MSW. W tejże opinii dodano, że „ostatni raport ukraiński z kraju, charakteryzuje niektórych polityków, w szczególności Mudrego, daje świadectwo pełnej lojalności państwowej”.

Mudryj nie chciał być jednak przysłowiowym kwiatkiem do polskiego kożucha.

PRÓBY POROZUMIENIA

W przededniu niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki Mudryj stał się jednym z inicjatorów powołania Ukraińskiego Komitetu Narodowego, skupiającego partie i środowiska polityczne oraz znane osobistości. Komitet miał pełnić rolę ukraińskiej reprezentacji, jednak zniweczyło ten zamiar proklamowanie przez OUN-B (frakcja Bandery, reprezentowana w komitecie) państwa ukraińskiego we Lwowie 30 czerwca 1941. Dla Hitlera Ukraina była obszarem eksploatacji kolonialnej, bez prawa do samodzielności politycznej.

Mudryj trafił do aresztu domowego, dopiero pod koniec roku wrócił do Lwowa, gdzie pracował w podmiejskim kinie. Uczestniczył w rozmowach polsko-ukraińskich, prowadzonych przez dowództwo lwowskiej Armii Krajowej (gen. Kazimierz Sawicki) i część przedwojennych środowisk politycznych. Partnerami po stronie ukraińskiej byli metropolita Andrej Szeptycki, Mudryj, inni politycy UNDO i OUN-B. Rozmowy toczyły się wiosną i jesienią 1942 r., na początku kolejnego roku, a następnie od sierpnia 1943 roku do marca 1944 roku.

Nie przyniosły one rezultatu ze względu na różnice polityczne (przynależność Galicji Wschodniej i Wołynia). Od 1943 r. zaostrzała się konfrontacja zbrojna, której apogeum była antypolska akcja UPA na Wołyniu w 1943 roku oraz walki w Galicji Wschodniej i Lubelskiem w pierwszej połowie następnego roku.

W połowie lipca 1944 r. Mudryj został pierwszym wiceprezydentem Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (UGRW) – politycznej struktury powołanej dla kierowania walką podziemia przeciwko Sowietom i reprezentowania go przed zachodnimi Aliantami. Ukraińcy liczyli, że po pokonaniu III Rzeszy konflikt Aliantów z ZSRR stanie się nieuchronny. Radę powołano z inicjatywy OUN-B, lecz wbrew opinii historyków, rola Mudrego nie była dekoracyjna. Swój akces uwarunkował przyjęciem programu demokratycznego, dzięki czemu WiN i UPA zawarły porozumienie w Przemyskiem o zaprzestaniu wzajemnych walk (1945), zaś delegacja UGRW podjęła rozmowy z rządem londyńskim.

Mudryj znalazł się w amerykańskiej strefie okupacyjnej, szefował Centralnej Reprezentacji Emigracji Ukraińskiej powołanej dla ochrony Ukraińców przed deportacjami do ZSRR, i przygotowania ich migracji do USA i Kanady (główna fala 1948-1949). W połowie 1947 został wicepremierem Ukraińskiej Rady Narodowej, dwa lata później wyemigrował do USA, gdzie przez kilkanaście lat pełnił funkcję dyrektora wykonawczego Ukraińskiego Kongresowego Komitetu Ameryki – ukraińskiej reprezentacji narodowej w USA.

ZAFAŁSZOWANY OBRAZ PRZESZŁOŚCI

Pomimo roli, jaką odegrał Mudryj w historiografii polskiej pozostaje on postacią niejednoznaczną (wyjątek stanowi wydana przed ośmiu laty biografia pióra Pawła Samusia „Wicemarszałek Wasyl Mudryj (1893–1966): ugody polsko-ukraińskiej orędownik daremny”). Utrwalona w Polsce fałszywa opinia o zdominowaniu ukraińskiego życia politycznego w latach 30. przez nacjonalistów, słabości UNDO, orientacji partii na Niemcy (również III Rzeszę), abdykacji z podziemnej działalności w warunkach okupacji sowieckiej i niemieckiej. A także sojuszu z OUN-B wymaga zasadniczej korekty.

Przekonuje o tym lektura trzytomowej edycji spuścizny Mudrego z okresu międzywojnia, na potrzeby której opracowano publicystykę, niepublikowane zapiski i ocalałą z pożogi wojennej korespondencję. Przeprowadzono kwerendę w archiwach ukraińskich, polskich, brytyjskich, kanadyjskich, amerykańskich i szwajcarskich. Szczególnie pomocne okazały się dokumenty wywiadu sowieckiego, uważnie obserwującego i ingerującego w ukraińskie życie społeczne i polityczne. W jej świetle dzieje Ukraińców w II RP wyglądają zupełnie inaczej i właściwie powinny być napisane od nowa.

Błyskotliwe analizy, wystąpienia, zapiski byłego wicemarszałka Sejmu II RP dowodzą głębokiej tradycji ukraińskiej demokracji. Przeczą one zafałszowanemu obrazowi przeszłości, który odgrywa obecnie decydującą rolę w polityce polskiej wobec Ukrainy. Z tego właśnie powodu prezydent Karol Nawrocki odrzucił zaproszenie do złożenia wizyty w Kijowie. Ten bez wątpienia wrogi wobec Ukraińców gest jest zarazem nieodpowiedzialny względem Polski i jej racji stanu.

Jeśli tak dalej pójdzie, to po raz kolejny polscy politycy zakończą istnienie „opcji polskiej” w polityce ukraińskiej. Z wszystkimi wynikającymi z tego faktu fatalnymi konsekwencjami dla Polski i Ukrainy. ●

Wasyl Mudryj. Mystectwo możlywoho: demokrat w epochu dyktatur i totalitaryzmu, Lwiw, Wydawnyctwo UKU 2025 [Wasyl Mudryj. Sztuka tego, co możliwe. Demokrata w epoce dyktatur i totalitaryzmu, red. Ola Hnatiuk (w j. ukr.). Tom 1-3, Wydawnictwo Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego. Lwów 2025].

Antypolityka historyczna

Barchester i okolice

Anthony’go Trollope’a czytelnicy nazywali „męską Jane Austen”, choć na pewno nie był jej dokładną kopią.

Janowski

Tyle pisze się o Jane Austen – i słusznie! Zwłaszcza teraz, kiedy mija (16 grudnia ubiegłego roku) 250. rocznica jej urodzin. Połączenie zmysłu obserwacji, subtelności psychologicznej i mistrzostwa językowego wciąż budzi zachwyt czytelników. Zwięzłymi słowy, z delikatną, finezyjną ironią, pisarka potrafi oddać problemy uczuciowe i finansowe swych bohaterów, dyskretnie zaznaczając swoją własną opinię. Austen jest wielka i nie ma sensu, abym do laurowego wieńca jej sławy starał się nieudolnie dodać jeszcze jeden listek. Zrobię coś innego. Przypomnę innego pisarza, nieco późniejszego, który wprawdzie nie jest jej dokładną kopią, choć określano go jako „the male Jane Austen”, ale który być może pocieszy wszystkich jej wielbicieli, żałujących, że wielka pisarka pozostawiła jedynie kilka powieści.

Anthony Trollope (1815–1882) mógł szerzej niż ona obserwować świat: podróżował, pracował jako wyższy urzędnik pocztowy i to on zaproponował ustawianie na ulicach skrzynek na listy! Wśród licznych powieści osadzonych we współczesnej mu Anglii wyróżniają się dwa cykle. Akcja pierwszego, „The Chronicles of Barsetshire”, toczy się w dworkach i plebaniach fikcyjnego hrabstwa Barsetshire oraz w jego stolicy – diecezjalnym mieście Barchester, którego życie płynie wokół problemów i intryg katedralnego duchowieństwa (wraz z rodzinami – bo to Kościół anglikański). Tutaj podobieństwo do Jane Austen jest największe. Drugi cykl, „The Palliser Novels”, w 1974 roku zekranizowany przez BBC, ukazuje korytarze władzy: Whitehallu, Downing Street i Pałacu Westminsterskiego. Niektórzy bohaterowie powtarzają się w obu cyklach, pozostajemy więc w tym samym świecie przedstawionym.

Trollope ma tendencję do satyry, którą łagodzi życzliwą ironią. Wie, że świat jest skomplikowany; że krytykować jest łatwo, a znaleźć rozwiązania – trudno, że czasem nie jest jasne, czy nowe jest lepsze od starego. W pierwszej z „Kronik Barsetshire” zatytułowanej „The Warden” (kurator), pewien młody, szlachetny i zapalczywy człowiek zauważa, że pensjonariusze dobroczynnej kościelnej fundacji są wykorzystywani finansowo. Wartość gruntów należących do fundacji wzrosła bowiem w ciągu stuleci niepomiernie, zaś jej pensjonariusze nadal otrzymują taki sam wikt i opierunek jak przed laty. Młody człowiek podejmuje krucjatę w ich obronie. Nasuwa się myśl o „Ludziach bezdomnych” Żeromskiego: szlachetny doktor Judym w walce ze skorumpowanym środowiskiem lekarskim. U Trollope’a zaś młody idealista jest postacią pozytywną, ale niejednoznaczną. W swoim szlachetnym zapędzie potrafi niechcący kogoś skrzywdzić, a sami pensjonariusze zyskują wprawdzie materialnie, ale wpadają w centrum sporu politycznego, zaczynają się kłócić między sobą, tracą spokój ducha. Zyskali czy stracili? Autor nie rozstrzyga. Racje są podzielone.

Jednym z wątków drugiego cyklu jest historia zaaranżowanego przez rodziny małżeństwa nudnego, choć szlachetnego młodego arystokraty z niekochaną przezeń równie arystokratyczną narzeczoną, która musi zerwać ze swoim ukochanym dla obcego mężczyzny, nierozumiejącego romantycznej miłości. Powieściopisarz francuski zrobiłby z tego panią Bovary, tragedię kobiety niezrozumianej. U Trollope’a inaczej: obie strony mają poczucie obowiązku wynikające z wychowania i arystokratycznego konwenansu. Powoli tworzy się między nimi wzajemne przywiązanie i lojalność, a wreszcie głębokie uczucie. Tyle powieści przedstawia miłość zniszczoną przez konwenanse, że bardzo ożywczy wydaje się pomysł przeciwny: oto miłość rodzi się dzięki konwenansom.

Ponieważ Trollope wchodzi chwilami w politykę, częściej niż Austen przedstawia dylematy związane z życiem publicznym. Przez ukazanie podzielonych racji i wstrzymanie się od ostrych ocen, a także przez pewien typ zdystansowanego poczucia humoru bliski jest Bolesławowi Prusowi. Nie zagląda w jądro ciemności; nie jest Szekspirem, Dostojewskim ani Conradem. Nie musi. Jest za to doskonałym obserwatorem wyczulonym na kwestie psychologiczne, pobłażliwym, lecz nie cynicznym. Imponuje umiejętnością tworzenia interesujących, pogłębionych postaci kobiecych (znów pokrewieństwo z Jane Austen!). Kto lubi długie, dziewiętnastowieczne powieści płynące spokojnym, pełnym uroku nurtem złożonych zdań wiktoriańskiej angielszczyzny, temu lektura da wiele radości. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl 5935e39405

weekendówka 187

NA DÓŁ

Nowy Jork? Pekin? Tokio? Szanghaj? Delhi? Paryż? Londyn? Trudno dziś orzec, jakie miasto jest stolicą świata, niekwestionowanie najważniejszą metropolią globu, centrum, w którym bez mała ważą się losy cywilizacji.

Ale w XIX wieku takim ośrodkiem bez dwóch zdań był Londyn – stolica Brytyjskiego Imperium, do którego należała czwarta część powierzchni Ziemi, a zamieszkiwało je pół miliarda ludzi.

W połowie stulecia populacja Londynu wynosiła ok. 2,6 mln ludzi (do końca XIX wieku urośnie jeszcze do przeszło 6 mln). Miasto tętniło życiem, ulice pełne były wszelkiej maści furmanek, dorożek i omnibusów, a do samego londyńskiego City dziennie docierało pieszo około 200 tysięcy osób.

Jednocześnie dworce kolejowe usytuowane były na obrzeżach miasta – w 1850 roku z siedmiu londyńskich stacji jedynie Fenchurch Street znajdowało się w ścisłym centrum.

Stąd pomysł, by ułatwić komunikację z City i rozładować zatłoczone miasto. Człowiekiem, który postulował o to najgłośniej był prawnik, polityk i radca miejski Charles Pearson. Rodowity londyńczyk pierwszą odezwę w tej sprawie napisał w roku 1845, ale potrzeba było kilku lat, by pomysł został ostatecznie zatwierdzony.

Budowa sześciokilometrowej linii z Paddington (Bishop's Road) do Farringdon ruszyła w marcu 1860 roku. Projekt zakładał kosztorys ok. 1 mln funtów, ostatecznie wydano więcej, bo 1,3 mln. Głównym inżynierem, na którego barkach spoczęło zadanie wydrążenia tuneli (linię budowano metodą odkrywkową) w plątaninie rur kanalizacyjnych, wodociągowych i gazowych, został John Fowler, który później zasłynie projektem mostu kolejowego Forth Bridge w Szkocji.

Linię oddano do użytku 9 stycznia 1863 roku, a dzień później wagonikami przejechali pierwsi pasażerowie. Wielu, bo tamtej soboty z metra skorzystało ok. 38 tys. osób.

W pierwszym roku metro przewiozło ponad 9 milionów podróżnych – niestety nie było wśród nich Charlesa Pearsona, który zmarł niespełna cztery miesiące przed uroczystym otwarciem pierwszej na świecie linii metra. Wcześniej odmówił spółce Metropolitan Railway, która chciała wypłacić mu pieniężną gratyfikację za pomysł i kluczową rolę w realizacji projektu, ale już po otwarciu kolejki wdowa po Pearsonie otrzymała rentę w wysokości 250 funtów rocznie.

Dziś londyńskie metro liczy 11 linii, ma 272 stacje i trakcję liczącą 402 km. A my, z okazji rocznicy uruchomienia pierwszej w świecie podziemnej kolejki, zapraszamy na „Weekendówkę" podziemną. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

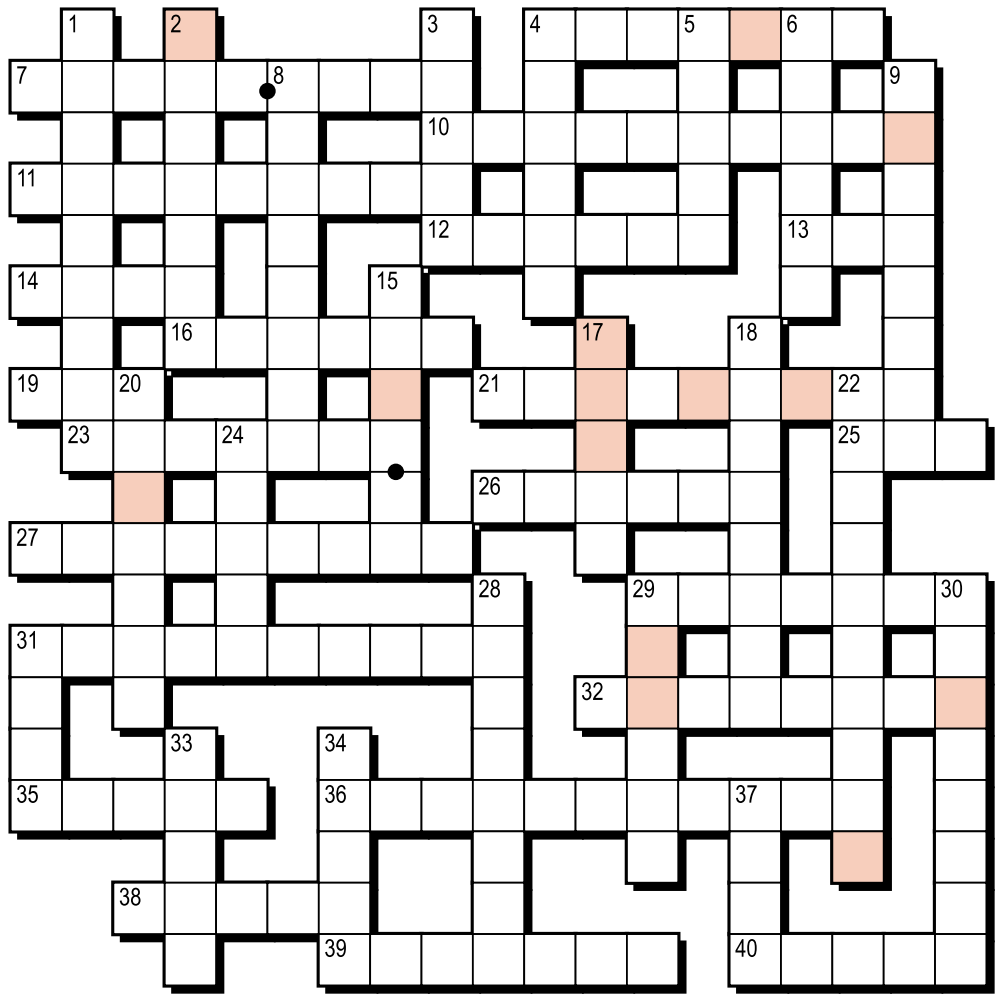

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 186 z 3.01:

Poziomo:
3) ulepek 8) bajaderka 11) mandarynka 12) bomboniera 13) rzecz 14) faworki 16) oczy 17) tort 19) syropek 21) żółtko 23) tiramisu 25) mina 26) chałwa 28) karmelki 30) miodek 31) baton 33) masa 34) czekolada 35) cassate 37) rosa 39) smak 41) kłamstewka 43) posiłek 44) Mieszanka

Pionowo:
1) sernik 2) ekler 4) landrynki 5) placek 6) kryształ 7) cukierek 9) aromat 10) ambrozja 11) marcepan 15) irys 18) ptak 19) sielanka 20) rumieńce 21) życie 22) oranżada 24) rurka 27) łąka 29) kokos 30) Mieszko 31) beczka 32) tusza 33) markiza 36) tytuł 38) serek 40) Mars 42) mus

Hasło:
SMAKOWITY DESEREK

KRZYŻÓWKA PODZIEMNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) podziemny – w niejednej galerii handlowej
7) „Podziemny krąg" w oryginale
10) podziemne ... techniczne (rurociągi, światłowody itp.)
11) przemieszczanie się np. 33 pionowo
12) podziemne – pod blokami, do pozostawiania aut
13) skarb Wieliczki
14) Persefona – mityczna ... podziemnego świata
16) podziemna ... zmarłych, np. Hades w mitologii greckiej
19) Edgar Allan, autor opowiadania „Studnia i wahadło"
21) prymitywne schrony podczas działań wojennych
23) podziemne ... dzikich os, pszczół ziemnych
25) jaskinia w Chęcinach (woj. świętokrzyskie), atrakcja turystyczna
26) zatrudniony w kopalni
27) „W podziemiach ...", powieść Antoniego Marczyńskiego (wpisujemy w mianowniku)
29) np. wyraz „loch" względem słowa „ciemnica"
31) odkrywkowe miejsce wydobycia drobnego materiału skalnego
32) jego dwunastą pracą było przyprowadzenie z podziemnych zaświatów psa Cerbera
35) Edward Norton lub Brad Pitt, zagrali w 7 poziomo
36) nieoficjalny, niekomercyjny, „podziemny" nurt w sztuce
38) Juliusz, autor powieści „Podróż do wnętrza Ziemi"
39) np. o rycerzach śpiących w pieczarach pod Giewontem
40) w czasie okupacji pobierana na uniwersytetach podziemnych (czyli tajnych)

Pionowo:
1) bez problemu odróżni chryzoberyl od kryształu górskiego
2) podziemny korytarz lub wyrobisko korytarzowe
3) drugi ... wydawniczy, publikacje z ominięciem cenzury, wydawane przez podziemne wydawnictwa w schyłkowej fazie PRL-u
4) Chuck Palahniuk jako autor powieści wspomnianej w określeniu 7 poziomo
5) wieś nieopodal Podziemnego Miasta Osówka w Górach Sowich
6) napór mas skalnych np. na strop sztolni
8) podziemny, wczesnochrześcijański – to katakumby
9) nauka o budowie i dziejach naszej planety
15) „... w grobowcach świata", w literackim dorobku Olgi Tokarczuk
17) pociągi kursujące w podmiejskich tunelach
18) pieczara, grota
20) ... geotermalna, wykorzystywanie ciepła z wnętrza Ziemi
22) zbudowały Morię – podziemne miasto ze świata Tolkiena
24) podziemna atrakcja turystyczna w Kamiennej Górze (Projekt ...)
28) podziemne części roślin, drzew
29) dawniej wydobywane w kopalniach w okolicach Olkusza
30) osłania twarz rębacza na przodku
31) podziemna ... wodna, namierzona przez radiestetę
33) podziemna – to 17 pionowo
34) np. podkop wykonywany przez więźniów
37) dawniej wydobywany w kopalniach koło Kletna i Kowar (Dolny Śląsk)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store

eprasa.pl 5935e39405